

Saul Bellow

Wspomnienia Mosby'ego

Mosby's Memoirs and Other Stories

Tłumaczyła Mira Michałowska

Wyprowadzka z Żółtego Domu

Sąsiedzi – a było ich w sumie sześciu białych ludzi nad brzegiem jeziora Sejo Desert – od pewnego czasu rozmawiali o tym, że stara Hattie już nie będzie mogła długo mieszkać sama. Życie na pustyni, nawet z piecem działającym na zasadzie wtłaczanego powietrza i z dostawą butanu sprowadzanego ciężarówką z miasta, stało się dla niej zbyt uciążliwe. W okolicy żyły wprawdzie kobiety znacznie starsze od Hattie. O dwadzieścia mil dalej mieszkała Amy Waters, wdowa po poszukiwaczu złota. Ale była to niewątpliwie z twardszej gliny ulepiona staruszka. Każdego dnia, i to przez okrągły rok, kąpała się w lodowatych wodach jeziora. Poza tym – w przeciwieństwie do Hattie – miała bzika na punkcie pieniędzy i wiedziała, jak nimi obracać. Hattie nie była wprawdzie pijaczką, ale bardzo często zaglądała do kieliszka i teraz znalazła się w kłopotach, a dobre chęci nawet najlepszych sąsiadów mają swoje granice.

Jednakże lubili ją. Trudno było nie lubić Hattie. Była to kobieta tęga, wesoła, trochę nalana, zabawna, chępliwa, miała szerokie, przygarbione plecy i sztywne, długie nogi. Pod sam koniec ubiegłego wieku skończyła średnią szkołę, a potem w Paryżu uczyła się gry na organach. Ale

teraz nie potrafiłaby odróżnić nuty od patelni. Przy kanaście robiła straszne awantury. Resztką pięknych włosów wiła jej się nad czołem w drobnych, siwych loczkach. Czoło miała nawet dosyć gładkie, ale skóra na nim była niebieskawa, jak odciągane mleko. Mimo ciężkich bioder szybko się poruszała długimi krokami, zgarbiona, nachylona do przodu w płaskich półbutach z gumowymi podeszwami.

Raz w tygodniu – bez pośpiechu, z pogodnym uśmiechem i jak gdyby mimochodem – ściągała z siebie krótką spódnicę i brudną kurtkę lotniczą z wełnianym kołnierzem i nakładała gorset, suknię i pantofle na wysokich obcasach. Kiedy stawała na tych obcasach, jej stare, tłuste cielsko drżało. Głowę ozdabiała dużym, brązowym szkockim beretem a la Rembrandt z tanią, podobną do oka broszką wpiętą starannie w sam środek. Pomadką kreśliła na ustach dwie równe kreski pozostawiając część górnej wargi w stanie naturalnym. Siadała za kierownicą starego samochodu, podobnego z kształtu do karety, i przemierzała – jadąc na pozór ostrożnie, ale w gruncie rzeczy z niebezpieczną szybkością – czterdziestokilometrowy odcinek wyboistej pustynnej drogi, żeby odnowić zapas whisky i mrożonych pasztecików. Szła do pralni automatycznej, do fryzjera, jadła – zakropiony dwoma koktajlami martini – obiad w Arlingtonie, a potem jechała zazwyczaj jeszcze na Miller Street, w pobliże dzielnicy slumsów, do hotelu

Silvermine, żeby spędzić resztę dnia na plotkach i popijaniu z przyjaciółkami składającymi się ze starych rozwódek, które podobnie jak ona osiedliły się na Zachodzie. Hattie już od dawna nie grała w karty, a chodzenie do kina nigdy jej nie bawiło. O godzinie piątej wracała do domu. Jechała z tą samą szybkością, równie spokojnie, prawie oślepiona dymem z trzymanego w zębach papierosa, od którego łyzy lały jej się z lewego oka.

W Sego Desert jedynymi jej sąsiadami byli Rolfe'owie i Pace'owie. Mieszkał tam wprawdzie także Sam Jervis, ale jako że był tylko starym eks-kolejarzem, który pracował dorywczo w jej ogrodzie, nie liczył się dla niej. Podobnie jak nie uznawała za sąsiadów Darly'ego, który zajmował się końmi Pace'ow, ani Szweda, telegrafisty. Pace prowadził pensjonat ze stadniną, Rolfe i jego żona byli ludźmi zamożnymi i nie trudnili się niczym. Tak więc nad jeziorem stały tylko trzy porządne domy: Pace'ow, Rolfe'ow i żółty domek Hattie. Pozostała ludność – Sam, Szwed, Watchtah, zawiadowca odcinka kolejowego, oraz Meksykanie, Indianie i Murzyni mieszkali w barakach albo wagonach kolejowych. Mało tam było drzew. Trochę bawełnie i bukszpanu. A niżej, aż po sam brzeg jeziora, rósł już tylko jałowiec i bylica. Jezioro było pozostałością morza, które niegdyś pokrywało cały ten wulkaniczny łańcuch górski. Dalej na północy znajdowały się kopalnie tungstenu, a w odległości piętnastu mil na południe leżała indiańska wioska – grupa baraków skleconych ze

spilśnionych płyt lub starych podkładów kolejowych.

Wśród tego jałowego krajobrazu Hattie żyła od lat bez mała dwudziestu. Pierwsze lato spędziła nie w domu, ale w indiańskim szałasie nad samym brzegiem jeziora. Mówiła, że nocą widziała gwiazdy przez dziurawy dach. Po rozwodzie zesła się z niejakim Wicksem, kowbojem. Oboje nie mieli złamanego grosza – był to czas wielkiego kryzysu – więc zamieszkali na jego ranczo i żyli z chwytności i sprzedaży kujotów. Raz w miesiącu jechali do miasteczka, wynajmowali pokój i urządzali sobie zabawę. Hattie opowiadała o tym ze smutkiem, ale nie bez dumy, i z licznymi upiększeniami. Wszystko, co jej się przytrafiło, przemieniało się natychmiast w coś innego. „Raz zaskoczyła nas burza – mówiła – więc pojechaliśmy, jak mogliśmy najszybciej, do najbliższego domu nad jeziorem i zapukaliśmy do drzwi”. To był żółty dom, ten, w którym teraz mieszkała. „Alice Parmenter wpuściła nas do środka i pozwoliła nam przespać się na podłodze”. W rzeczywistości zerwał się tylko dosyć silny wiatr – żadnej burzy nie było – a oni byli akurat w pobliżu żółtego domu. Alice Parmenter, która wiedziała, że Hattie i Wicks żyją ze sobą bez ślubu, zaofiarowała im osobne łóżka, ale Hattie powiedziała wyzywająco donośnym głosem: „Po co brudzić dwa komplety bielizny pościelowej?” Po czym ona i jej kowboj zajęli łóżko Alice, a ta przespała noc na kanapie.

A potem Wicks się ulotnił. Takiego kochanka jak on

nigdy nie było i nigdy nie będzie, mawiała Hattie. Wychował się w burdelu i dziewczyny nauczyły go tam wszystkiego, co trzeba. Prawdę mówiąc nie zdawała sobie sprawy z tego, co mówi, ale myślała, że takie gadanie zrobi z niej kobietę Zachodu. Pragnęła uchodzić za doświadczoną kobietę Zachodu, pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek innego. I mimo wszystko była poniekąd damą. Miała trochę dobrego srebra i dobrej porcelany i papeterie z wygrawerowanym imieniem i nazwiskiem, ale na półkach bibliotecznych w bawialni trzymała puszkę z fasolką, tuńczykiem i sałatką owocową oraz butelki z ketchupem i sosem tabasco. Przy jej łóżku leżała Biblia, którą dostała od swojego pobożnego brata Angusa – jej drugi brat był awanturnikiem – ale za małymi drzwiczkami nocnego stolika trzymała butelkę burbona. Jeżeli budziła się wśród nocy, pociągała sobie zdrowo, żeby móc na powrót usnąć. W schowku samochodu miała małe reklamowe buteleczki z różnymi trunkami na wypadek nieprzewidzianej przerwy w podróży. Po wypadku znalazł je stary Darly.

Wypadek nie przytrafił jej się w głębi pustyni – czego się zawsze obawiała – ale niedaleko domu. Tego wieczoru wypita u Rolfe'ow kilka koktajli i kiedy wracając do siebie przejeżdżała przez przejazd kolejowy, straciła panowanie nad wozem i ześliznęła się na szyny. Tłumaczyła się później, że stało się to dlatego, że kichnęła, co oślepiło ją i wtedy zbyt gwałtownie

przekręciła kierownicę. Motor zgasł i samochód znalazł się wszystkimi czterema kołami na szynach. Hattie wygramoliła się z wozu i zlazła z wysokiego nasypu. Ogarnął ją wielki lęk o samochód, o to, co z nią będzie, a może nawet o to, co już było. Puściła się na sztywnych nogach przez gęste zarośla i pobiegła na rancho Pace'ow.

Okazało się, że Pace'owie pojechali na polowanie pozostawiając na posterunku Darly'ego. Stał za barem urządzonym w starej chacie, która z pewnością pamiętała czasy rozstawnej poczty, i obsługiwał gości. Było ich dwoje, jakiś robotnik z kopalni tungstenu z dziewczyną.

– Darly, mam kłopot – powiedziała Hattie. – Pomóż mi, miałam wypadek.

O, jakże zmienia się twarz mężczyzny, kiedy kobieta chce mu coś ważnego powiedzieć. To właśnie stało się teraz z wychudzoną twarzą starego Darly'ego. Spojrzał na Hattie obojętnym, a raczej nawet niechętnym wzrokiem, kilka razy poruszył dolną szczęką, jego pomarszczone policzki poczerwieniały i zapytał: – Co się stało? Jaki wypadek?

– Utkwiłam na torach. Kichnęłam. Straciłam panowanie nad kierownicą. Ściągnij mnie stamtąd, Darly. Furgonetką. Zanim nadjedzie pociąg.

Darly odrzucił ścierkę i tupnął kilka razy wysokimi obcasami kowbojskich butów.

– No i coś ty zrobiła? – warknął. – Mówiłem ci, żebyś się nie ruszała z domu po zmroku.

– Gdzie jest Pace? Włącz alarm pożarowy i wezwij Pace'a.

– Nikogo dzisiaj nie ma na ranczo, tylko ja jeden – powiedział stary chudzielec. – Nie wolno mi zamykać baru, wiesz o tym doskonale.

– Proszę cię, Darly. Nie możemy przecież zostawić wozu na szynach.

– Nic na to nie poradzę – mruknął, ale wyszedł zza kontuaru. – Jak się to stało?

– Mówiłam ci już, że kichnęłam.

Wszyscy, jak później opowiadała, byli pijani w sztok, Darly, ten górnik i dziewczyna górnika.

Darly pokuśtykał do drzwi i zarygłował je. Rok wcześniej jedna z klaczy Pace'a kopnęła go łamiąc mu żebra, kiedy ładował ją na przyczepę, i wciąż jeszcze nie wylizał się z tego. Był za stary. Ale ukrywał, że każdy ruch go boli. Wąskie buty na wysokich obcasach pomagały mu w tym, a że każdy kowboj trzyma się krzywo, nikt nie przypuszczał, że Darly garbi się z bólu. W rzeczywistości nie był prawdziwym kowbojem. Co innego Pace, który wychował się w siodle. Darly przyjechał tu dość późno ze Wschodu i po raz pierwszy

siadł na konia, kiedy miał czterdzieści lat. Pod tym względem on i Hattie nie różnili się. Oboje nie byli autentycznymi tubylcami.

Hattie biegła za nim przez podwórze.

– Niech cię szlag trafi! – krzyczał Darly. – Wyciągnąłem czterdzieści dolców z tego durnia i gdybyś mi nie wlaża w paradę, wycisnąłbym z niego resztę wypłaty. Pace będzie wściekły jak jasna cholera.

– Musisz mi pomóc. Jesteśmy przecież sąsiadami.

– Nie możesz tu zostać. To już nie dla ciebie. A w ogóle to jesteś teraz stale na bani.

Hattie nie mogła sobie pozwolić na pyskówkę. Myśl o tym, że jej samochód stoi na szynach, doprowadzała ją do obłędu. Jeżeli nadjedzie pociąg towarowy i rozbije go, życie nad jeziorem Sego Desert stanie się niemożliwe. Dokąd by wtedy poszła? Wiedziała, że do tutejszych warunków też się już nie nadaje. Nigdy się do nich zresztą nie przyzwyczaiła, udawała tylko, że tak jest. A Darly? Dlaczego mówi jej takie przykre rzeczy? Dlatego, że on sam ma już sześćdziesiąt osiem lat i też nie ma dokąd pójść. Poza tym Pace'owie traktowali go bardzo źle. Ale Darly znosił to, bo jedynym wyjściem byłby Dom Starego Żołnierza. Poza tym od czasu do czasu któraś z wczasowiczek wlażała mu pod pierzynę. Miały ochotę na kowboja i były pewne, że on nim jest. A tymczasem Darly

z trudem zwlekał się co rano z łóżka. Ale gdzie mógłby jeszcze znaleźć babę? „Po każdym sezonie turystycznym – Hattie miała ochotę powiedzieć mu – musisz się zawsze położyć do Szpitala Weteranów, żeby cię postawili na nogi”. Ale nie śmiała go sobie w tej chwili zrażać.

Księżyc powinien był wzejść lada chwila. Zjawił się na niebie, kiedy jechali wyboistą drogą w kierunku przejazdu kolejowego, gdzie samochód Hattie sterczał na szynach. Darly prowadził furgonetkę bardzo szybko. Teraz skręcił gwałtownie i zatrzymał się opryskując błotem wóz górnika, który wraz z dziewczyną pojechał za nimi.

– Właż za kierownicę – powiedział do Hattie.

Przesunęła się na jego miejsce. Kiedy znalazła się sama, podniosła oczy ku niebu i szepnęła:

– Dobry Boże, spraw, żeby się okazało, że nie uszkodziłam osi i nie rozbiłam miski olejowej.

Kiedy Darly wśliznął się pod zderzak samochodu Hattie, chwycił go tak gwałtowny ból w żebrach, że aż mu dech zaparło, toteż zamiast złożyć łańcuch w pół, zamocował go za jeden koniec na całą długość. Potem wstał i przykuśtykał do Hattie w tych swoich przyciasnych buciorach. Ruch był jedynym sposobem na ból. Nawet woda już od dłuższego czasu nie przynosiła ulgi. Włączył holowniczą przekładnię i zaczął ciągnąć. Z wielkim brzękiem samochód Hattie ześliznął się z szyn i

wjechał dwoma przednimi kołami na drogę. Na twarzy Hattie malowały się na przemian lęk, wyrzuty sumienia i złość. Naciskała gaz tak gwałtownie, że silnik zalał się.

– Łańcuch jest za długi! – wrzasnął górnik z kopalni tungstenu.

Przód samochodu Hattie był już na nasypie, ale tylne koła wciąż tkwiły na szynach. Żeby wyjść, musiała spuścić okno, bo drzwi nie otwierały się od lat. Wygramoliła się z wozu i krzyknęła:

– Zadzwońię do Szweda. Niech da sygnał, bo zaraz nadjedzie pociąg.

– Dobra, idź i zrób to – warknął Darly. – Nic tu i tak po tobie.

– Darly, uważaj z moim wozem. Bądź ostrożny.

Dawne dno morskie było w tym miejscu płaskie i zapadnięte. Światła samochodu Hattie, furgonetki Darly'ego i Chevroleta górnika widoczne były na odległość dobrych dwudziestu mil. Hattie była zbyt przerażona, żeby sobie z tego zdawać sprawę. Myślała wyłącznie o tym, że jest nieznośną starą babą i że przez całe życie wszystko zawsze odkładała na potem. Wielokrotnie przyrzekała sobie, że skończy z piciem, ale piła dalej, no i teraz rozbiła samochód – co za okropny koniec, a najgorsze było to, że zasłużyła sobie na to wszystko. Zlazła na ziemię, podkasła spódnicę i zaczęła

przełazić przez łańcuch. Chcąc udowodnić, że łańcuch nie jest za długi, no i w ogóle skończyć z tą całą sprawą, Darly w tej samej chwili raz jeszcze nacisnął gaz. Łańcuch wyprostował się gwałtownie i uderzył w kolano Hattie. Runęła na ziemię i złamała sobie rękę.

– Darly, Darly! – wrzasnęła. – Upadłam. Uderzyłam się.

– Starsza pani potknęła się o łańcuch – zawołał górnik. – Daj do tyłu, a ja złożę łańcuch w pół i umocuję go. Bo tak nic z tego nie wyjdzie.

Pijany górnik położył się na plecach w miękkim, ciemnym popiele, jakim wysypana była droga. Darly cofnął furgonetkę, żeby zluzować łańcuch.

Darly pokieroszował także górnika. Włączył przekładnię, zanim ten cofnął rękę i zerwał mu skórę z kilku palców. Górnik bez słowa owinał rękę połą koszuli i powiedział:

– Teraz będzie dobrze.

Stary samochód stoczył się z szyn i stanął na poboczu drogi.

– No to masz tę swoją cholerną landarę – powiedział Darly do Hattie.

– A jest na chodzie? – zapytała. Cały jej lewy bok był czarny od pyłu, ale zdołała podnieść się o własnych

siłach. Stała teraz zgarbiona, ocieżała, na swoich sztywnych nogach.

– Na pewno złamałam sobie rękę, Darly – powiedziała. Chciała go koniecznie o tym przekonać.

– Nie zawracaj głowy – Darly był przekonany, że Hattie zgrywa się po to, żeby nie robił jej wyrzutów. Ból w żebrach wzmagił jego niecierpliwość. – Jezus, Maria, ty już nie dajesz sama rady. Musisz się stąd wynieść.

– Też jesteś stary – odparła. – Zobacz, coś mi zrobił. Nie powinieneś tyle pić.

To go dotknęło.

– Zawiozę cię do Rolfe'ow – powiedział. – Oni cię spili, więc niech się tobą zajmą. Mam dosyć tego zawracania głowy.

Wjechali ostro pod górę. Przymocowane do boku furgonetki łańcuchy, łopata i łom do podważania obijały się o jej metalową ścianę. Hattie była w rozpacz. Przyciskała do żeber bolące ramię i płakała. Kiedy przechodziła przez furtkę, psy Rolfe'ow zaczęły ją obskakiwać i lizać po rękach. Kuliła się wołając: – Leżeć, leżeć!

– Darly! – krzyknęła w głąb ciemności. – Darly, zajmij się moim wozem Ściągnij go z drogi. Weź go do siebie, proszę cię.

Ale Darly, w tym swoim wielkim kowbojskim kapeluszu nasuniętym na pomarszczone, stare czoło, mały, zły jak osa, nękany przeszywającym bólem żeber, dodał gazu i odjechał w szalonym pędzie.

– O Boże, co ja teraz pocznę? – jęknęła Hattie.

Kiedy Hattie weszła do ich domu, Rolfe'owie siedzieli przed kominkiem, na którym paliły się porąbane, smolne podkłady kolejowe i kończyli ostatniego przed kolacją drinka. Hattie wyglądała przerażająco. Z jednego jej kolana spływała krew, oczy miała malutkie z przerażenia, twarz szarą od kurzu.

– Słabo mi – powiedziała. – Miałam wypadek. Kichnęłam i straciłam panowanie nad kierownicą. Jerry, zrób coś z moim samochodem. Stoi na środku drogi.

Zabandażowali jej kolano, odwieźli ją do domu i ułożyli w łóżku. Helen Rolfe przyłożyła jej elektryczną poduszkę do ramienia.

– Ta poduszka jest okropna – żaliła się Hattie. – Ona włącza i wyłącza się automatycznie i za każdym razem wprowadza w ruch generator i zużywa strasznie dużo gazu.

– Nie bądź taka skąpa, Hattie – powiedział Rolfe. – Nie pora na to. Jutro rano zawieziemy cię do miasta do lekarza. Helen zadzwoni do doktora Strouda.

Hattie miała ochotę krzyknąć: – Ja skąpa? To wy jesteście skąpi. Ja po prostu nic nie mam. Ty i Helen kłóćcie się przy kanaście o każdy grosz.

Ale Rolfe'owie byli bardzo uczynni – jedyni życzliwi ludzie w całej okolicy. Darly zostawiłby ją na całą noc na podwórzu, a Pace sprzedałby ją handlarzowi kośćmi. Za dolara odstąpiłby ją rzeźnikowi, jak starą klacz.

Hattie nie chciała się więc sprzeciwiać Rolfe'om, ale kiedy tylko wyszli i zanim jeszcze doszli – w jaskrawym świetle księżyca wzdłuż żywopłotu bukszpanu – do swojego nowiutkiego samochodu, Hattie wyłączyła poduszkę i zaraz ciężki łomot i buzowanie generatora ustały. Po chwili poczuła przeszywający, głęboki ból w ramieniu, więc usiadła, wyprostowała się sztywno i przyłożyła rękę do pulsującego miejsca. Zdawało jej się, że wyczuwa sterczący kawałek kości. Przed wyjściem Helen Rolfe nakryła Hattie starą kołdrą, która należała kiedyś do jej przyjaciółki Indii, tej samej, po której Hattie odziedziczyła żółty dom i wszystko, co się w nim znajdowało. Czy aby India nie umierała pod tą właśnie kołdrą? Hattie była pewna, że poduszkę zdjętą z łoża śmierci przyjaciółki wyniosła na strych, a resztę pościeli złożyła do skrzyni. Skąd więc wzięła się nagle ta kołdra?

Nic innego nie mogła teraz zrobić, jak odsunąć ją od siebie tak, żeby nie dotykała jej twarzy. Ale niech jej przynajmniej grzeje nogi. Na to mogła się zgodzić, ale

tylko na to.

Coraz wyraźniej zdawało się Hattie, że widzi całe swoje życie, jak gdyby każdy moment od urodzenia aż po obecną chwilę został sfilmowany. Miała nadzieję, że po śmierci obejrzy sobie cały ten film. Wtedy zobaczy nareszcie, jak wyglądała z tyłu, kiedy na przykład podlewała kwiaty, kąpała się, spała, grała na organach, całowała się – zobaczy wszystko, nawet to, co zdarzyło się dzisiejszej nocy – wypadek, ból, ostatni zapewne już ból, bo dużo więcej nie będzie mogła znieść. Ile mogło ją jeszcze czekać zakrętów życiowych? Taśma na pewno już się kończyła. Takie leżenie po ciemku, takie snucie wspomnień to chyba najgorsza rzecz, jaka może przytrafić się człowiekowi. Lepsza już śmierć niż bezsenność. Hattie nie tylko kochała sen, ale wierzyła w jego uzdrowicielską moc.

Pierwsza próba nastawienia złamanej kości nie powiodła się.

– Zobaczcie, jak oni mnie urządzili – mówiła Hattie do odwiedzających ją przyjaciół i pokazywała im posiniaczoną pierś. Po drugiej operacji straciła niemalże zmysły. Trzeba było podnieść klapy szpitalnego łóżka, bo w nocy zrywała się i snuła po salach. Kiedy pielęgniarki zamykały ją w tym kojcu, przeklinała je.

– Kurwy! – wrzeszczała na nie. – Czy nie wiecie, że w demokratycznym kraju nie wolno nikogo więzić bez sądu?

Nauczyła się kląć od Wicksa.

– Ten to znał wyrazy – mawiała. Nauczyła się mówić tak jak on, zupełnie nieświadomie.

Przez wiele tygodni nie była całkiem przytomna. Kiedy spała, wyglądała jak nieżywa. Miała obrzękłe policzki, a jej usta – dawniej szerokie i uśmiechnięte – skurczyły się. Kiedy Helen zobaczyła ją, westchnęła.

– Może należałoby zawiadomić jej rodzinę? – zwróciła się do lekarza. Miał grubą, białą skórę. Włosy rudawe i bardzo suche. Czasami zwierzał się pacjentom: – Podczas wojny nabawiłem się tropikalnej choroby.

– A czy ma jakichś krewnych? – zapytał.

– Dwóch starszych braci. I dzieci kuzynów – odparła Helen. Zastanawiała się nad tym, kogo przywołano by do jej łoża śmierci (była już na to wystarczająco stara). Nią zająłby się Rolfe. Wynająłby prywatną pielęgniarkę. Hattie nie mogła sobie na to pozwolić. I tak wydała już więcej, niż ją było stać. Dostawała osiemdziesiąt dolarów miesięcznie z Filadelfijskiej Kasy Opieki. Miała trochę pieniędzy na koncie oszczędnościowym.

– Przypuszczam, że ten cały kłopot spadnie na nas –

powiedział Rolfe. – Chyba, że jej brat w Meksyku weźmie wszystko na siebie. Trzeba będzie zadzwonić do jednego z tych starych panów.

Ale w końcu nie trzeba było wzywać żadnego z krewnych. Hattie zaczynała wracać do zdrowia. Rozpoznawała już odwiedzających ją przyjaciół, mimo że wciąż jeszcze nie była całkiem normalna. Nie pamiętała też wszystkiego, co działo się w ostatnich tygodniach.

– Ile litrów krwi mi przetoczyli? – zapytała. – Zdaje mi się, że miałam pięć, sześć albo osiem transfuzji. Światło dzienne, światło elektryczne... – Usiłowała uśmiechnąć się, ale nie potrafiła jeszcze nadawać twarzy sympatycznego wyrazu. – Jak ja za to wszystko zapłacę? – dodała po chwili. – Litr krwi kosztuje dwadzieścia pięć dolarów. Ledwie starczy na to moich oszczędności.

Krew stała się jej głównym zmartwieniem, głównym tematem jej rozmów. Mówiła każdemu, kto ją odwiedzał:

– ... muszę im zwrócić całą tę krew. Wleli we mnie dziesiątki litrów. Dziesiątki. Mam nadzieję, że mnie niczym nie zarazili.

Mimo że była jeszcze słaba, zaczynała się uśmiechać, a nawet śmiać. Świszczało jej przy tym w piersi bardziej niż dawniej. Choroba nadszarpnęła jej płuca.

– Żadnych papierosów, żadnego alkoholu – powiedział lekarz do Helen.

– Panie doktorze – zdziwiła się Helen – czy pan naprawdę myśli, że ona może się nagle zmienić?

– Trudno, moim obowiązkiem jest zwrócić jej na to uwagę.

– Życie na trzeźwo nie będzie dla niej wielką pokusą – uśmiechnęła się Helen.

Jej mąż roześmiał się. Kiedy Rolfe śmiał się naprawdę serdecznie, jedno z jego oczu zachodziło mgłą. Jego szeroka, irlandzka twarz czerwieniała, a krótki, spiczasty nos białł.

– Hattie jest podobna do mnie – powiedział. – Będzie żyła tak długo, aż zgra się do nitki. A gdyby nasze jezioro zamieniło się w morze whisky, ostatkiem sił rozwaliby tę swoją chałupę, zbudowała z niej tratwę i odpłynęła na falach gorzały. Po co to całe gadanie o abstynencji?

Hattie też zdawała sobie sprawę z ich podobieństwa. Kiedy przyszedł ją odwiedzić, powiedziała do niego:

– Jerry, tylko z tobą mogę rozmawiać o moich kłopotach. Skąd ja teraz wezmę forszę? Jestem ubezpieczona. Płaciłam im co miesiąc osiem dolarów.

– To ci dużo nie da, Hat. A czy należysz do Niebieskiego Krzyża?

– Przestałam płacić składki dziesięć lat temu. Może mogłabym coś sprzedać?

– A co ty masz? – Rolfe roześmiał się tak gwałtownie, że opadła mu jedna powieka.

– No, wiesz. Mam przecież różne cenne przedmioty – oburzyła się Hattie. – Przede wszystkim ten piękny stary perski dywan po Indii.

– Węgielki z kominka wypaliły w nim setki dziur, Hat.

– Ten dywan jest w pierwszorzędnym stanie – zachnęła się Hattie. – Taka piękna rzecz nigdy nie traci wartości. A mój dębowy stół refektarzowy z hiszpańskiego klasztoru ma co najmniej trzysta lat.

– W najlepszym razie dadzą ci za niego dwadzieścia dolarów. A transport kosztowałby co najmniej pięćdziesiąt. Powinnaś sprzedać dom.

– Dom? – Owszem, zastanawiała się już nad tym. – Myślę, że dostałabym za niego dwadzieścia tysięcy. Jak sądzisz?

– Najwyżej osiem.

– Piętnaście – powiedziała obrażona, ale już silniejszym głosem. – India wpakowała w niego osiem tysięcy w ciągu ostatnich dwóch lat swojego życia. I nie zapominaj, że jezioro Sego jest jednym z najpiękniejszych miejsc na świecie.

– No tak, ale jak jest położone? Pięćset z czymś mil od San Francisco i dwieście od Salt Lake City. Kto by tu chciał mieszkać poza takimi wariatami jak ty i India? No i ja!

– Są rzeczy, na które nie ma ceny. Piękne rzeczy.

– Przestań się wygłupiać, Hattie! Dużo ci tam zależy na pięknych rzeczach. Tak samo jak mnie. Ja mieszkam tu, bo mi to odpowiada, a ty, ponieważ India zapisała ci swój dom. No i w samą porę. Inaczej nie miałabyś się w ogóle gdzie podziać.

Hattie poczuła się dotknięta jego słowami. Więcej, przestraszyła się. Umilkła i zamyśliła się głęboko. Lubiła Jerry'ego Rolfe'a i on ją lubił. Miał zdrowy rozsądek i w gruncie rzeczy wyraził jej własne, utajone obawy. Powiedział prawdę zarówno o śmierci Indii, jak i o żółtym domu. No, ale, pomyślała, nawet Jerry nie wie wszystkiego. Trzeba by było zapłacić architektowi z San Francisco co najmniej dziesięć tysięcy dolarów, zanim zacząłby myśleć o jej domu. Zanim narysowałby jedną linię.

– Jerry – zagadnęła po chwili przyjaciela. – Co zrobić, żeby zwrócić krew bankowi krwi?

– Mogę dać litr mojej – oko Rolfe'a zaczynało się znowu przymykać.

– Ty nie możesz. Przecież dwa lata temu wycięli ci guz.

Uważam, że Darly powinien się zgłosić.

– Ten stary dziad? – roześmiał się Rolfe. – Śmierci mu życzysz, czy jak?

– Nonsens! – warknęła Hattie i zwróciła ku niemu obrzękłą twarz. Gorączka i pot zniszczyły jej włosy. W tyle głowy skołtuniły się do tego stopnia, że trzeba je było zgolić. – Dużo nie brakowało, a Darly zabiłby mnie. Przez niego jestem w takim stanie. Musi przecież mieć w sobie trochę krwi, no nie? Goni za każdą dziwką, młodą czy starą.

– Nie zawracaj głowy, byłaś fest zalana.

– Od czterdziestu lat prowadzę na gazie i nic mi się nie stało. Ale kichnęłam nie w porę. Czuję się, jak groch przy drodze – Hattie wyglądała rzeczywiście fatalnie w tym szpitalnym łóżku. Ale po chwili na jej twarzy zakwitł szeroki, głupawy uśmiech. Nie potrafiła być długo nieszczęśliwa. Była niczym bylina – niemal niezniszczalna.

Co drugi dzień szła na gimnastykę rehabilitacyjną. Młoda terapeutka prostowała i zginała jej ramię w łokciu. Sprawiało to Hattie i przyjemność, i satysfakcję i najchętniej pozostawiłaby całą kurację zabiegom dziewczyny. Ale niestety, wymagano od niej samodzielnego wysiłku, a to okazało się niezbyt łatwe.

Zainstalowano jej blok i ujmując w każdą rękę koniec przeciągniętego przez małe, skrzypiące kółko sznura, musiała ciągnąć go raz w jedną, raz w drugą stronę. Głęboko przechylona do przodu, z papierosem w kąciku ust kaszłała, dławiąc się od dymu. Ale najważniejszego ćwiczenia unikała, jak tylko mogła. Polegało ono na przyłożeniu otwartej dłoni do muru, mniej więcej na wysokości biodra i – poruszając wolno palcami – przesuwaniu jej w górę do wysokości barku. Było to bolesne. Toteż przeważnie zapominała o tym ćwiczeniu, mimo że lekarz strofował ją:

– Hattie, nie chce pani chyba mieć przykurczu.

Oczy Hattie pociemniały z rozpacz.

– Panie doktorze – powiedziała po chwili – niech pan kupi mój dom.

– Jestem kawalerem. Na co mi taki duży dom?

– Znam dziewczynę, która jest w sam raz dla pana, doktorze. To córka mojej kuzynki. Czarująca i bardzo inteligentna. Właśnie zrobiła doktorat.

– Myślę, że pani też ma liczne propozycje małżeńskie – roześmiał się doktor.

– Tak, od zwariowanych szczurów pustynnych. Nie dają mi wprost spokoju. Ale jak zapłacę wszystkie rachunki – dodała po chwili – będę zupełnie spłukana.

Żeby mi się chociaż udało zwrócić krew szpitalowi, już bym się czuła lepiej.

– Hattie, jeżeli pani nie będzie słuchała terapeutki, to nie obejdzie się pewnie bez drugiej operacji. Czy pani wie, co to jest przykurcz?

Hattie wiedziała. Ale pytała samą siebie w duchu: „Jak długo jeszcze będę musiała zajmować się swoją osobą?” To, że wspomniał o możliwości drugiej operacji, rozżłościło ją. Na sekundę wpadła w panikę, ale nie dała tego po sobie poznać. W obecności tego młodego mężczyzny, który miał skórę jak kora dębowa, a włosy suche jak śmierć, zachowywała się zawsze jak mała dziewczynka. Powiedziała więc cienkim głosem: – Tak, panie doktorze. – Ale w jej sercu szalała burza wściekłości.

Dniem i nocą powtarzała sobie: – Widziałam Dolinę Śmierci, ale żyję.

Była słaba, była stara, z trudem kończyła zaczęty ciąg myślowy, czuła pustkę w głowie. Ale żyła. Oto było jej ciało, wypełniało pewną przestrzeń, dobre, przydatne ciało. I chociaż miała zmartwienia i problemy, i chociaż czasami odczuwała straszny ból w ramieniu, tak przejmujący, jak gdyby był ostatecznym, i chociaż włosy miała zniszczone i rozszczepione jak korzenie cebuli, i tak kruche, że łamały się od każdego pociągnięcia grzebieniem, siedziała na łóżku i prowadziła zabawne

rozmowy z odwiedzającymi ją przyjaciółmi. Z twarzą rozświetloną szerokim uśmiechem i sercem, które radowało się każdym dobrym słowem.

„Ludzie mi pomogą – myślała. – Martwienie się jeszcze nigdy nikomu nie wyszło na dobre. Zawsze w ostatniej chwili przychodził ratunek i to wtedy, kiedy spodziewałam się go najmniej. Marian mnie kocha. Helen i Jerry mnie kochają. Pół Porcji też mnie kocha.

Ludzie nie dadzą mi zginąć. Ja ich też Kocham. Gdyby sytuacja była odwrotna, czy ja bym im nie pomogła?"

Spoza horyzontu, z bezkształtnego bezmiaru, w który Hattie zapadała czasami, wyłaniała się ni stąd, ni zowąd twarz Indii, cień jej postaci. India była oburzona i besztła przyjaciółkę. Ale bez złości. Bez prawdziwej złości. Nikt prawie nigdy nie gniewał się na Hattie. Jedna India miała do niej różne pretensje.

– Ogród diabli biorą, Hattie – upominała ją. – Krzaki bzu zupełnie uschły.

– Co ja na to poradzę? Szlauch sparciał i złamał się. Nie sięga do kurka.

– No to wykop rów – powiedział duch Indii. – Każ staremu Samowi wykopać rów. Musisz uratować te krzaki.

Czy jestem nadal jej sługą? – zapytała Hattie samą

siebie. I odpowiedziała: nie, niechaj umarli chowają umarłych.

Ale Hattie nie potrafiła przeciwstawić się Indii ani teraz, ani dawniej, kiedy jeszcze mieszkały razem. Zadaniem jej było powstrzymywanie Indii od picia, ale bardzo często obie zabierały się do butelki tuż po śniadaniu. Zapominały się ubrać i – w samych tylko koszulkach – zataczały się po domu wpadając na siebie i biadały nad tym, że są takie słabe. Późnym popołudniem siadały w bawialni i czekały na zachód słońca. A ono kurczyło się i wypalało powoli na kruszących się grzbietach gór. Kiedy wreszcie gasło i zabierało ze sobą jaskrawe światło dnia, góry błękitniały i rozpadały się niczym hałdy węgla. Nie można się już było w nich dopatrywać profilów ludzkich twarzy. Krajobraz stawał się bardziej kojący, jezioro mniej niehumanitarne, mniej niedostępne. Wreszcie India odzywała się: – Czas zapalić światło. Wtedy Hattie pociągała naraz za łańcuszki kilku lamp, żeby wprowadzić w ruch generator. Zapalała niby to osiemnastowieczne lampy stojące, których abażury sterczały na boki niczym skrzydła ważek. Niewielki generator umieszczony w komórce za domem z początku dygotał konwulsyjnie, potem bluzgał, kaszlał i stukał, wreszcie w żarówkach zaczynały ukazywać się słabe płomyki światła.

– Hattie! – wołała India. Kiedy się napiła, była pełna skruchy, ale nawet jej skrucha była dla Hattie udręką. Im

bardziej India się złościła, tym silniejszy był jej brytyjski akcent. Po śmierci przyjaciółki Hattie znalazła kilka wierszy, w których India pisała o niej z czułością i wzruszeniem. Piękna to rzecz – literatura. No i dobre wychowanie. Ale Hattie mało interesowała się ideami, podczas gdy India objechała cały świat. Chętnie prowadziłyby rozmowy o wschodnich religiach, dziełach Bergsona i Prousta, ale Hattie nie miała do tego głowy, więc India zrzucała na nią odpowiedzialność za to, że pije.

– Z tobą nie ma rozmowy – twierdziła. – Nie masz pojęcia o literaturze i kulturze. A ja przeniosłam się tutaj dlatego, że nie nadaję się już do życia w mieście. Kobieta w moim wieku nie może sama chodzić wieczorem po pijanemu po ulicach. To zbyt niebezpieczne.

Hattie, kiedy rozmawiała z miejscowymi przyjaciółmi o Indii, mówiła zawsze: – Jest damą – (dając do zrozumienia, że ona, Hattie, także nią jest). – To szalenie inteligentna osoba (dlatego tak dobrze się rozumiały). Ale zupełnie niezaradna. To beznadziejne. Nie potrafiłaby już sama naciągnąć paska do pończoch.

– Hattie! Chodź tu, Hattie! Co z ciebie za leń!

India siedziała na łóżku rozebrana, z papierosem w drżącej, pomarszczonej, ozdobionej pierścionkami dłoni i wypalała w kołdrze liczne dziurki. Dumę Hattie też często raniła. Traktowała ją jak służącą.

Potem płakała i błagała przyjaciółkę o przebaczenie.

– Hattie, błagam cię, wybacz mi. Nie gniewaj się. Wiem, że jestem niezdolna. Ale szkodzę sobie tym bardziej, niż tobie.

Hattie łatwo nie ustępowała. Zadzierała głowę do góry, marszczyła nos, szeroko otwierała opuchnięte oczy i mówiła:

– Jestem dobrą chrześcijanką. Nie potrafię długo nosić urazy w sercu.

Powtarzając to kilkakrotnie, w końcu rzeczywiście wybaczła Indii wszystko.

No, ale Hattie nie miała ani męża, ani dziecka, ani zawodu, ani oszczędności. I nie wiadomo, co by się z nią stało, gdyby nie to, że India umarła i zapisała jej żółty dom.

Jerry Rolfe powiedział poufnie do Marian:

– Hattie nic nie umie. Gdybym nie zajął się nią i Indią w czasie czterdziestu czterech huraganów, jakie przeżyliśmy tu, obie umarłyby z głodu. Hattie była zawsze niechlujna i leniwa, a teraz nie chce jej się nawet wygnać krowy z obory. Zestarzała się. Powinna przenieść się na Wschód do tego swojego cholernego brata. Gdyby nie India, już dawno byłaby w przytułku. Poza tym cholernym domem India powinna była jej zapisać chociaż trochę

gotówki. Nie wpadło to do tego jej cholernego łba.

Gdy Hattie powróciła ze szpitala, zamieszkała u Rolfe'ów.

– No i co, stara foko, jeszcze im wszystkim coś nie coś pokażesz – przywitał ją Jerry.

I rzeczywiście. Sądząc po jej wesołym uśmiechu, po papierosie wetkniętym w kącik ust, po świeżo ufryzowanych i zaczesanych na czoło włosach, można sobie było wyobrazić, że wykaraskała się. Była blada, ale cała w chichotach, delectowała się burbonem, w którym pływała wiśnia i skrawek pomarańczy. Rolfe'owie pozwalali jej wypijać dwa takie koktajle dziennie. Helen zauważyła, że jest bardziej zgarbiona niż przed wypadkiem. Chodziła na lekko zgiętych z osłabienia nogach, z rozstawionymi kolanami.

– Kochana Helen, kochany Jerry, jestem wam szalenie wdzięczna. Tak się cieszę, że wróciłam znowu nad nasze jezioro. Zajmę się teraz porządnie domem. Jak to dobrze, że nie przegapiłam wiosny. Jest w tym roku jeszcze piękniejsza niż zawsze.

Podczas nieobecności Hattie padały ulewne deszcze. Lilie, które zakwitały tam tylko po wilgotnej zimie, zaczęły się wyłaniać z pulchnej gleby, szczególnie dokoła dołu z kompostem, chociaż rosły nawet na twardym jak

granit nieużytku. W ogródku Hattie zakwitły pustynne brzoskwinie i wielkie żółte róże, których zapach przypominał wilgotne listki herbaty.

– Zanim zrobi się upał i wyleżą grzechotniki – powiedziała Hattie – pojedźmy na ranczo Marky'ego i narwijmy sobie rzeżuchy.

Hattie snuła różne plany, ale upały nastąpiły tego roku bardzo wcześnie, a że Rolfe'owie nie mieli telewizji, przesypiała prawie cały dzień. Potrafiła się już ubrać bez pomocy, ale poza tym niewiele mogła robić. Sam Jervis zainstalował jej na werandzie wyciąg i od czasu do czasu przypominała sobie o nim i trochę ćwiczyła ramię. Przed południem, kiedy nie była jeszcze zmęczona, szła wolnym krokiem do swojego domu, rozglądała się i wydawała zarządzenia Samowi Jervisowi i Wandzie Gingham. Wanda, dziewięćdziesięcioletnia Indianka ze szczepu Szoszonów, była wciąż jeszcze doskonałą sprzątaczką i wcale nieźle szyła.

Hattie obejrzała dokładnie swój zaparkowany pod bawełnicą samochód. Włączyła motor. O tak, stara landara jeszcze sobie trochę pojeździ. Szczęśliwa i dumna przysłuchiwała się pomrukowi motoru. Sucha, zardzewiała rura wydechowa podrygiwała puszczając kłęby spalin. Hattie próbowała włączyć bieg i obrócić kierownicę, ale nie bardzo sobie dawała radę. Była jednak pewna, że to jedynie kwestia czasu.

Za domem, nad szambem, ziemia zapadła się trochę i zakrywające je podkłady kolejowe przegniły. Poza tym wszystko było w najlepszym porządku. Sam dobrze opiekował się ogródkiem. Założył nową zasuwę do furtki od płotu, bo konie Pace'a – może dlatego, że nie stać go było na odpowiednie karmienie ich – wdarły się na jej teren. Sam zastał je pasące się na trawniku i wygonił. Na szczęście nie narobiły większej szkody. Na moment ogarnęła ją wściekła złość na Pace'a. Była pewna, że umyślnie wpędził konie do jej ogrodu, żeby nażarły się za darmo. Ale uspokoiła się szybko. Wpadła w promienny błogostan. Była słaba, ale cieszyło ją wszystko, co miała. Więc przebaczyła nawet Pace'owi, który chętnie wykurzyłby ją z żółtego domu, który oszukiwał przy kartach, wykorzystywał ją, jak mógł, zawstydział i nabierał ją na każdym kroku. Wszystko, co robił, robił dla swoich koni. Miał bzika na ich punkcie. Rujnowały go. Trzymanie koni wyścigowych to igraszka milionerów, myślała.

Patrzyła teraz z dala na konie pasące się na polu Pace'a. Nieosiodłane klacze wydawały jej się bezwstydnie gołe, przypominały nagie kobiety. Kołysząc łagodnie lśniącymi bokami snuły się pomiędzy strzępiastymi liliami polnymi, które wyrastały z gęstej trawy. Kwiaty te miały bladożółty kolor, jak surowa wełna, ale pięknie pachniały. Klacze, gołe, łagodne, rozgarniały je pyskami. Ich powolny chód, ich doskonała uroda, dźwięk ich kopyt uderzających o

kamienie poruszał w duszy Hattie szczególną strunę. Wszyscy znali jej miłość do koni, ptaków i psów. Najbardziej kochała psy. Zobaczyła kawałek materiału, resztkę zielonego koca i zaraz przypomniał jej się pies Richie. To właśnie on pogryzł koc, wobec czego pocięła koc w paski i uszczelniła nimi drzwi. Wewnątrz domu znalazła inne ślady po Richie'm. Trochę sierści na pokryciu mebli. Hattie zamierzała pożyczyć odkurzacza od Helen, ale uprzytomniła sobie, że nie wystarczy prądu na wprowadzenie go w ruch. Na klamce drzwi do pokoju Indii wisiała obroża Richiego.

Hattie już dawno postanowiła, że kiedy nadejdzie godzina jej śmierci, każe się położyć do łóżka Indii. Dwa śmiertelne łoża w jednym domu to stanowczo za dużo. W oczach jej zaczynała malować się złość, zaciskała groźnie usta i przemawiała bezgłośnie do Indii: „Zaraz będziemy znowu razem, więc przestań mi zawracać głowę”. Wiedziała, że też będzie musiała wkrótce opuścić żółty dom. Myśląc o testamencie poszła do bawialni i westchnęła. Trzeba się będzie niedługo zająć tym na serio. W takich sprawach zasięgała rady adwokata Indii, Claiborne'a. Kiedy była w mieście u Marian, zatelefonowała do niego i omówiła z nim tę sprawę. Przyrzekł, że postara się sprzedać żółty dom. Piętnaście tysięcy, to moja ostateczna cena, powiedziała mu. Odparł, że jeżeli nie uda mu się znaleźć kupca, to spróbuje go odnająć. Kazała mu zażądać dwustu dolarów miesięcznie.

Rolfe roześmiał się, kiedy mu o tym powiedziała. Hattie spojrzała na niego wzrokiem przygaszonym, lecz dumnym – jak zawsze, kiedy ją złościł. I powiedziała wyniosłym tonem: – Lato nad jeziorem Sego jest tego warte.

– Zamierzasz konkurować z ranczo Pace'a?

– Nonsens. On daje fatalnie jeść. Poza tym oszukuje wczasowiczów przy kartach. Jak żyję, nie zagram z nim więcej w Dwadzieścia jeden.

„Ale co ja zrobię – martwiła się w duchu – jeżeli Claiborne'owi nie uda się ani sprzedać, ani odnająć domu?” Myśl tę odsuwała od siebie, ilekroć ją nachodziła. „Nie będę ciężarem dla nikogo – postanowiła. – Już nie raz byłam w wielkich tarapatach i jakoś zawsze, kiedy już było prawie beznadziejnie, dawałem sobie radę. Jakoś to zawsze było. No, ale do ilu razy sztuka? – pytała samą siebie. – Jak długo jeszcze, Panie Boże? Jestem stara, słaba, nikomu niepotrzebna. Nawet nie wiadomo, czy mam prawo do posiadania nieruchomości?”

Siedziała na bardzo starej kanapie Indii. Kanapa miała kształt nerki, była długa na osiem stóp, miękka i mocno sfatygowana. Przez zieloną materię obicia prześwitywało coś różowego. Materiał dokoła guzików tapicerskich ułożył się w kształt psich łap, spomiędzy których wyrastały kępki włosów. Na tej kanapie siedziała Hattie i odpoczywała. Nogi rozstawiła szeroko, oczy miała na pół

przymknięte, ale mimo to widziała wszystko, w kącie jej ust tkwił papieros. Zdawało jej się, że góry znajdują się w odległości nie piętnastu mil, ale tysiąca pięciuset stóp, a jezioro tworzy niebieską wstęgę. Do pokoju wchodził herbaciany zapach jeszcze nie całkiem rozwiniętych róż. Sam podlewał je mimo upału. Hattie była mu za to wdzięczna.

– Sam! – krzyknęła.

Sam był bardzo stary i składał się głównie z nóg. Miał ogromne stopy. Stara kolejarska kurtka opinała mu garbate plecy. Zakrzywiony palec o długim grubym paznokciu przyłożył do otworu szlauchu, tak że woda rozpryskiwała się połyskliwie na wszystkie strony. Ucieszony widokiem Hattie zwrócił ku niej twarz o długiej, bezzębnej szczęce i wąskich, niebieskich, głęboko zapadniętych oczach i nie obracając się zawołał:

– No więc, przyszła pani nareszcie! O własnych siłach! Tak się cieszę!

– Napijesz się piwa, Sam? Podejdz do kuchennych drzwi, podam ci.

Nigdy nie wpuszczała go do domu ze względu na jego skórny chorobę. Zauważyła, że ma nowe czerwone plamy na podbródku i za uszami. Hattie bała się zarazić i nigdy go nie dotykała. Uznała jego chorobę za pęcherzycę. Z zasady nie nalewała mu piwa do szklanki, podawała mu w

puszce, a narzędzia ogrodnicze brała do ręki zawsze w rękawiczkach. Ponieważ Sam nie chciał od niej pieniędzy – Wanda Gingham kazała sobie płacić dolara dziennie – Hattie prosiła Marian, żeby kupowała mu stare ubrania w mieście. Jedzenie zostawiała mu pod drzwiami śmierdzącego wilgotnym drzewem starego wagonu kolejowego, w którym mieszkał.

– Jak tam skrzydełko, Hattie? – zapytał.

– Zrasta się jakoś. Zanim się obejrzysz, będę znowu prowadziła wóz. Liczę, że jeszcze przed pierwszym maja.

Każdego tygodnia przesuwała tę datę nieco naprzód.

– Myślę, że na Dzień Flagi będę zupełnie zdrowa – powiedziała w kilka tygodni później.

Jednakże nadeszła połowa czerwca i Hattie wciąż nie mogła zasiąść za kierownicą. Helen Rolfe powiedziała do niej pewnego dnia.

– Słuchaj, Hattie, Jerry i ja musimy jechać do Seattle na cały pierwszy tydzień lipca.

– Nic mi o tym nie mówiłaś – zdziwiła się Hattie.

– Nie powiesz mi, że słyszysz o tym po raz pierwszy – odparła Helen. – Byłaś pierwszą osobą, którą o tym zawiadomiliśmy, i to jeszcze w grudniu.

Hattie z wysiłkiem podniosła oczy na Helen. Po chwili

spuściła powieki. Twarz jej zrobiła się nagle sucha, szczególnie wargi.

– Dam sobie doskonale radę. Nie martwcie się o mnie – powiedziała.

– Ale kto się będzie tobą opiekował? – zapytał Jerry, który nie znosił uników ani własnych, ani cudzych. Tyle że – jak Hattie dobrze wiedziała – wobec niej był bardziej tolerancyjny niż wobec siebie.

No, ale rzeczywiście, kto się nią zajmie? Nie mogła liczyć na nikogo, nawet – w gruncie rzeczy – na Marian. Jedynie Rolfe'owie byli jej naprawdę oddani. Helen, która starała się panować nad sobą, wpatrywała się w Hattie i robiła małe, bezwiedne ruchy głową, to kiwając nią, to potrząsając przecząco. Hattie klęła ją w duchu: „Co za kurewskie gały! Nie umiem moich już tak wybałuszać, jestem na to za stara. Czy to sprawiedliwe?” Ale podobały jej się oczy Helen. Nawet otaczająca je delikatna skóra – lekko obrzękła i pomarszczona – była wzruszająco piękna. Helen miała obfite piersi, które pasowały do jej ciężkich powiek. Głowa, ręce, stopy należały jak gdyby do nieco smuklejszego ciała. Helen, zastanawiała się Hattie, to jedyna osoba na świecie, która mogłaby mi zastąpić siostrę. Ale dlaczego jechała akurat teraz do Seattle? Nie miała tam nic pilnego do roboty. Dlaczego, do jasnej anielki, akurat do Seattle? Chyba po prostu tak sobie, dla przyjemności. Jediną przyczyną tego wyjazdu mogła być

ona, Hattie. Pewnie chcą jej w ten sposób dać do zrozumienia, że są granice tego, czego może się od nich spodziewać. Helen wprawdzie ruszała nerwowo głową, ale umysł miała trzeźwy. Wiedziała doskonale, co dzieje się w duszy Hattie. Była równie gnuśną kobietą, jak ona. Ale może miała większe prawo do bezczynności?

Czyżby dlatego, że ma pieniądze? – zastanawiała, się Hattie. – A może dlatego, że jest młodsza? Że ma męża? Że ma córkę w Swarthmore College? Nagle olśniła ją interesująca myśl. Helen wcale nie jest zadowolona z tego, że nie ma nic do roboty, podczas gdy ona, Hattie, nigdy nie miała nic przeciwko temu. Wiedziała, że nadaje się wyłącznie do nieróbstwa. Ale i tak nie miała łatwego życia, bo kiedy Waggoner rozwiódł się z nią, została bez grosza przy duszy. Musiała nawet przez siedem czy osiem lat utrzymywać Wicksa. Wicks znał się wyłącznie na koniach, poza tym był do niczego. A potem musiała znosić tysiące kaprysów Indii. „Już ja bym wiedziała, co robić, gdybym miała to wszystko, co Helen. Ale ona ciągle tylko cierpi. Jeżeli chce się czymś zająć, to niech zacznie od zajmowania się swoją sąsiadką”. Obrzękłe policzki Hattie poczerwieniały ze złości. Powiedziała do Rolfe'a i Helen:

– Nie martwcie się o mnie. Dam sobie radę. Ale jeżeli będę musiała wynieść się stąd na dobre, będziecie dziesięć razy samotniejsi niż teraz. Na razie wracam do siebie.

Zwróciła ku nim swoją szeroką, starą twarz. Na jej ustach ukazał się grymas cierpienia nadający im niemal dziecinny wyraz. Nie wycofa się z tego, co powiedziała, to pewne.

Ale jej obecny kłopot nie był zwykłym kłopotem. Zdawała sobie sprawę z tego, że często mówi od rzeczy, że zapomina nazwisk i odpowiada, kiedy nikt o nic nie pyta.

– Nie możemy zapewnić jej stałej opieki – powiedział Rolfe. – Poza tym uważam, że powinna być w pobliżu lekarza. Wiem, że trzyma w domu naładowaną strzelbę na wypadek, gdyby ją napadli. Ale kto wie, kogo ona kiedyś postanowi zastrzelić. Nie wierzę, że Jacamares zabił jej dobermana.

Nazajutrz, po powrocie Hattie do żółtego domu, Rolfe zajechał na jej podwórze.

– Lecę do miasta – powiedział – i chętnie przywiozę ci coś do zarcia.

Nie mogła sobie pozwolić na odrzucenie jego oferty, mimo że była na niego zła, więc odparła:

– Świetnie, kup mi coś, jak będziesz w Mountain Street Market. Mam tam otwarty rachunek.

W lodówce znalazła tylko krewetki i kilka puszek piwa. Kiedy Rolfe odjechał, wyjęła pudełko z krewetkami, żeby

je rozmrozić.

W dawnych czasach na Zachodzie ludzie zawsze sobie pomagali. Hattie uznała, że jest jednym z pionierów. Dopiero po nich przyjechali tu obecni mieszkańcy. Ostatecznie przecież żyła tu w taki sam sposób, jak starzy osadnicy. Kiedy chcieli mieć mięso na świąteczny stół, Wicks szedł na polowanie. Oboje lubili dziczyznę. Wicks polował na terenach rezerwatu i gdyby go na tym przyłapali Indianie, miałby się z pyszna.

Nadeszły upały. Na szerokim niebie pojawiły się ciężkie, nieruchome chmury. Horyzont był tak odległy, że jezioro wyglądało jak miska z mlekiem. „Nieźle mleko!” myślała Hattie. Na środku miało dwa tysiące stóp głębokości. Było tak przepastne, że żadnych zwłok nigdy z niego nie można było wydobyć. Ludzie twierdzili, że ciała są porywane przez prądy. A na dnie znajdują się ostre jak kły skały i gorące źródła, i przezroczyste ryby, które nie dają się łapać. Białe pelikany uwiły już swoje gniazda i szybowały nad skałami polując na żmije i innych złodziei jajek. Były takie olbrzymie i latały tak wolno, że można było sobie wyobrazić, iż są to anioły. Hattie przestała schodzić nad brzeg jeziora. Ten spacer męczył ją zbytnio. Zbierała siły na to, żeby móc po południu iść do baru Pace'a.

Zdejmowała pantofle i pończochy i bosko snuła się wzdłuż domu wte i z powrotem. Zauważyła Wandę

Gingham, która przysiadła przy torach i pilnowała wnuczka bawiącego się miękkim, czerwonym żwirem. Wanda miała odkrytą głowę, a na ramiona narzuciła duży fioletowy szal. Dokoła mnie, myślała Hattie, jest całkowita pustka. Łamiąc zakaz, przed chwilą wychyliła jednego głębszego. Nic, tylko góry wypięte jak brzuchy mężczyzn. Niesforne krzaki bylicy jak włosy na ich piersiach.

Ciepły wiatr wznosił tumany białego kurzu. Niebo robiło się od tego bledsze. Spojrzała na jezioro, na pelikany białe jak duchy, powolne jak anioły, które przecinając powietrze błogosławiły je szerokimi skrzydłami.

Powiedzieć, czy nie powiedzieć Samowi, żeby zrobił coś z powojem zarastającym komin? Wróble wiły sobie w nim gniazda, co ją cieszyło, ale przez całe lato tłuste żmije urządzały sobie tam polowania na ptaki, toteż Hattie bała się chodzić po ogrodzie. Wróble rozgrzebywały ziemię w poszukiwaniu nasion, podskakiwały zabawnie na sztywnych nóżkach i odgarniały ją za siebie. Hattie usiadła przy starym hiszpańskim stole refektarzowym i wdychając miękkie, ciepłe powietrze letniego dnia przyglądała się im z założonymi rękami, to smutna, to rozbawiona na przemian. Żółte róże kwitły jak szalenie, co najmniej połowa zaczynała już więdnąć. Jaszczurki przemykały się z cienia w cień. Powierzchnia jeziora była gładka jak powietrze, połyskliwa jak jedwab. Góry,

zmożone upałem, zasnęły. Senność. Hattie rozciągnęła się na kanapie. Zapadła w sen, a kiedy obudziła się, była północ. Nie chciała zapalać lamp, żeby nie zaniepokoić Rolfe'ow, więc w świetle księżyca zjadła kilka rozmrożonych krewetek, poszła do ubikacji, rozebrała się i położyła do łóżka. Bolało ją ramię. Teraz bardziej niż kiedykolwiek zatęskniła za swoim psem. Cała ta sprawa z psem ciążyła na jej sumieniu. Myśl o nim doprowadziła ją niemal do płaczu, ale w końcu zasnęła przytłoczona swoją tajemnicą.

„Będę musiała wziąć się trochę mocniej w garść – pomyślała nazajutrz rano. – Nie mogę przecież przespać reszty życia”. Zrozumiała, na czym polega jej największy kłopot. Otóż umysł jej nie był już zdolny do sformułowania żadnej poważniejszej myśli. Wszystkie rozpraszały się lub traciły sens. „Widzę całkiem wyraźnie – mówiła sama do siebie – ale mam mętlik w głowie. Przypuszczam, że po prostu wolniej reaguję niż dawniej. A może dostałam po prostu kręćka, tak jak mama”. Ale jej matka była wtedy znacznie starsza! Miała osiemdziesiąt pięć lat, kiedy trzeba było ją powstrzymać od wybiegania nago na ulicę. „Tak źle jeszcze ze mną nie jest – pocieszała się Hattie. – Dzięki ci za to, Boże! Zawędrowałam wprawdzie na oddział męski, ale miałam wysoką gorączkę i byłam w koszuli”.

Wypiła filiżankę Neski i nabrała chęci do poprawienia swojej sytuacji. Na całym bożym świecie jeden tylko brat

Angus mógłby jej przyjść z pomocą. Brat Will zawsze był dzikusem i awanturnikiem. Odganiał od siebie ludzi. Z nim nie ma nawet co zaczynać, myślała Hattie. Poza tym miał jej za złe, że tak długo żyła z Wicksem. Angus na pewno jej wybaczył. Ale on i jego żona byli zupełnie innymi ludźmi niż Hattie. Kiedy ich odwiedzała, nie wolno jej było ani palić, ani pić, musiała pilnować języka, a przy śniadaniu czekać z jedzeniem, aż odczytają jeden rozdział Biblii. Hattie nienawidziła tego siedzenia przy nakrytym stole i czekania na posiłek. Poza tym miała przecież nareszcie własny dach nad głową. Czemu miałaby go opuścić? Nigdy w życiu nie posiadała nic własnego. Teraz los nie pozwalał jej nacieszyć się złotym domem. „Ale nie sprzedam go – zbuntowała się. – Nie sprzedam, przysięgam na wszystko, co święte. Przecież mam go dopiero od tak niedawna. Jeszcze się nim nawet nie nacieszyłam”. Wyszła na ganek i zaczęła ćwiczyć ramię, żeby nie dopuścić do przykurczu. Była jednak pewna, że już się zrobił. „Co ja pocznę? – wzdrygnęła się. – Co ze mną będzie? Po co pojechałam wtedy do Rolfe'ów, dlaczego straciłam panowanie nad kierownicą i to akurat na szynach?” Nie mogła sobie odpowiedzieć, „bo kichnęłam”. W gruncie rzeczy nie pamiętała już dokładnie, co się wtedy stało, majaczyły jej się już tylko jakieś wielkie bryły i skręcone błękitne szyny, sylwetka Darly'ego. Darly był wszystkiemu winien. Sam był chory i stary. Nie dawał sobie już z niczym rady. Zazdrościł jej domu i tego jej spokojnego, kobiecego życia. Odkąd

powróciła ze szpitala, nawet jej nie odwiedził. Powiedział tylko: – Żal mi jej, choroba, ale jest sobie sama winna. Najbardziej zaboląło go, gdy powiedziała o nim, że nie ma już mocnej głowy.

Gniewanie się na Pana Boga i przeklinanie nic nie pomagało. Była wciąż starą babą odkładającą wszystko na później. Powinna była odpowiedzieć na list z Towarzystwa Ubezpieczeniowego Hotchkissa, ale zapomniała. Powinna była zadzwonić do mecenasa Claiborne'a, ale i to wyleciało jej z głowy. Pewnego ranka oświadczyła Helen, że zamierza napisać do pewnej instytucji w Los Angeles, która przejmuje nieruchomości starych ludzi i administruje nimi. Daje im w zamian mieszkanie nad samym brzegiem oceanu, posiłki i opiekę lekarską. Tyle, że trzeba przepisać na nich połowę swojego majątku.

– Uważam to za uczciwą transakcję – powiedziała Hattie. – Ostatecznie ryzykują, bo mogą żyć do stu lat.

– Wcale by mnie to nie zdziwiło – potwierdziła Helen.

Jednakże Hattie jakoś nigdy nie zdobyła się na napisanie listu do Los Angeles z prośbą o broszurę informacyjną. Jerry Rolfe napisał z własnej inicjatywy do jej brata Angusa i zawiadomił go o wypadku siostry. Pojechał także do Amy Walters, wdowy po poszukiwaczu

złota, do Fort Walters – jak stara nazywała szafas ze smołowanej tektury ustawiony nad wejściem do dawnej kopalni. Otwór ten odgrywał rolę szamba. Od śmierci drugiego męża Amy nikt tu już nie kopał. Na kupie kamieni u wylotu drogi, na drewnianej desce, napisano szkarłatnymi literami FORT WALTERS. Za napisem wznosił się maszt, na który co rano Amy wciągała amerykańską flagę.

Amy pracowała w ogródku. Miała na sobie jedną z koszul nieboszczyka Billa. Bill własnoręcznie zbudował akwedukt sprowadzając dla niej wodę z gór, żeby mogła uprawiać brzoskwinie i warzywa.

– Amy – powiedział Jerry – Hattie wróciła ze szpitala i mieszka zupełnie sama. Ty nie masz nikogo, ona też nie. Krótko mówiąc, może byście tak zamieszkały razem?

Twarz Amy miała bardzo subtelny wyraz. Przez całą zimę kąpała się w jeziorze, robiła doskonałe zupy jarzynowe, grała samej sobie walce na fortepianie, zaczytywała się w powieściach kryminalnych, aż zapadający zmrok zmuszał ją do zamknięcia książki – ten tryb życia zrobił z niej dziwaczkę. Wyglądała na kobietę słabą, ale nie dawała się w żaden sposób wytrącić z równowagi. Bardzo to było dziwne.

– Hattie i ja mamy zupełnie różne obyczaje, Jerry – odparła teraz. – Poza tym Hattie nie czułaby się dobrze w moim towarzystwie. Nie piłabym z nią. Jestem

abstynentką.

– To prawda – powiedział Rolfe. Przypomniało mu się, że Hattie mówiła o Amy, że nie wiadomo, czy ona naprawdę żyje. Nie chciał jej powiedzieć, że czeka ją samotna śmierć. Na wypalonym niebie nie było dzisiaj ani jednej chmurki, a na Amy nie widać było najbledszego nawet cienia śmierci. Była spokojna, mogło się zdawać, iż w żyłach jej płyną jakieś szczególne soki, które powoli, ale jeszcze przez wiele lat, będą odżywiały jej organizm.

– Wszystko może się przytrafić mieszkającej samotnie kobiecie. Jak sobie pomyślę o Hattie w tym żółtym domku... – powiedział Rolfe.

– To prawda. A ona to już zupełnie nie umie sobie radzić.

– Pewnie, że nie. To jej ramię jeszcze się nie zrosło.

Amy nawet nie powiedziała, że jej z tego powodu przykro. Chociaż jej milczenie mogło właśnie to oznaczać. Po dłuższej chwili odezwała się jednak.

– Mogłabym przychodzić do niej na kilka godzin dziennie, pod warunkiem, że płaciłaby mi za to.

– Moja Amy, wiesz chyba równie dobrze jak ja, że ona jest bez grosza. Tyle, że ma rentę. Żółty dom to cały jej majątek.

Niemal natychmiast, tak że nie było pauzy pomiędzy

jego ostatnim słowem, a jej pierwszym, Amy odpowiedziała:

– Zajmę się nią, jeżeli pozostawi mi dom.

– To znaczy, jeżeli pozwoli ci się nim samodzielnie zajmować?

– Nie. Jeżeli zapisze mi go w testamencie. Na zawsze.

– Ależ Amy, po co ci dom Hattie?

– Byłby moją własnością, to wszystko. Byłby mój.

– A czy ty zapisałaabyś jej Fort Walters?

– Skądże? – zdziwiła się. – Niby dlaczego? Przecież ja jej nie potrzebuję. Ja sobie radzę sama. Hattie jest kobietą z miasta.

Rolfe nie mógł przekazać Hattie propozycji Amy. Był zbyt rozsądny na to, żeby mówić z nią o testamencie.

Ale Pace nie liczył się z jej uczuciami. W połowie czerwca Hattie zaczęła znów regularnie zachodzić do jego baru. Miała tyle spraw do przemyślenia, że nie potrafiła siedzieć sama w domu. Pewnego dnia Pace wszedł do baru z podwórza – gdzie robił coś przy kołach przyczepy do przewozu koni – i wycierając zatłuszczone ręce powiedział z charakterystyczną dla niego bezceremonialnością:

– Co byś na to powiedziała, Hattie, gdybym ci

zapropował, że co miesiąc będę ci wypłacał pięćdziesiąt dolarów. Do końca twojego życia.

Hattie piła drugi koktajl. W barze udawała, że nie przekracza swojej dziennej racji, ale oczywiście piła także w domu. Wypijała jednego drinka przed obiadem, jednego podczas obiadu i jednego po obiedzie. Uśmiechnęła się na widok Pace'a spodziewając się, że – jak zwykle – powie coś zabawnego. Ale on, w wielkim kowbojskim kapeluszu w kształcie czerpaka, nasuniętym prosto na czoło na modłę kwakerską, patrzył na nią spode łba, co oznaczało, że mówi na serio.

– To byłoby niezłe, ale co się za tym kryje? – zapytała.

– Nic. Posłuchaj, co zrobimy. Dam ci pięćset w gotówce, a potem pięćdziesiąt miesięcznie do końca życia, a ty za to pozwolisz mi umieścić kilku turystów w żółtym domu i zapiszesz mi go w testamencie.

– Co to za propozycja? – obruszyła się Hattie. – Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi.

– To jest najlepsza propozycja, na jaką możesz liczyć.

Zrobiło się duszno, chociaż Hattie do tej chwili uważała, że pogoda jest zupełnie dobra. Siedziała sobie z kieliszkiem w ręku, trochę ogłupiała, ale zadowolona i cieszyła się, że za chwilę zrobi się chłodniej. Aż nagle poczuła, że przez cały czas czyhały na nią niesprawiedliwość i okrucieństwo i pomyślała, że lepiej

może już było umrzeć w tym szpitalu, niż doznać takiego rozczarowania.

– Wszyscy chcą mnie wypchnąć z mojego domu – krzyknęła. – Co za oszust z ciebie, Pace! O Boże! Znajdź sobie inną ofiarę! Co ja ci zrobiłam? Czy znęcasz się nade mną tylko dlatego, że jestem pod ręką?

– Ależ, Hattie – powiedział ostrożnie – przecież to była po prostu handlowa propozycja.

– Jeżeli jesteś takim przyjacielem, to dlaczego nie oddasz trochę krwi na poczet mojego długu w szpitalu?

– Hattie, ty za dużo pijesz i nie powinnaś była prowadzić wozu.

– Kichnęłam, dobrze o tym wiesz. Wszystko to stało się tylko dlatego, że kichnęłam. Wszyscy o tym wiedzą. Za nic na świecie nie sprzedam ci domu. Wolałabym już oddać go trędowatym. Pozwoliłbyś mi wyjechać i nie przysyłałbyś mi grosza. Nie płacisz żadnych długów. Nie możesz kupować na rachunek w miasteczku, bo nikt nie ma do ciebie zaufania. A ja mam tylko chwilowy kłopot, rozumiesz? Ciągłe powtarzam, że jest to mój jedyny dom na świecie, tu są wszyscy moi przyjaciele, pogoda jest zawsze wspaniała, jezioro piękne. Ale teraz chciałabym, żeby to wszystko poszło w diabły. To jest nieludzkie, przekłete miejsce. I ty też. Ale jeszcze doczekam dnia, kiedy przyjdzie szeryf i zabierze ci konie – zobaczysz!

Będę klaskała w ręce z radości!

Wtedy powiedział jej, że znowu jest pijana, i rzeczywiście, chociaż nie była to jej jedyna dolegliwość i chociaż kręciło jej się dobrze w głowie, postanowiła natychmiast wrócić do siebie i zabrać się do załatwiania różnych spraw. Przede wszystkim postanowiła jeszcze dziś napisać do mecenasa Claiborne'a, żeby dopilnował, by Pace nigdy nie mógł się dorwać do jej własności. Był z pewnością gotów przysiąc przed sądem, że India przed śmiercią obiecała mu złoty dom.

Usiadła przy stole, wzięła papier i ołówek i próbowała ułożyć odpowiedni list.

„Chcę, żeby to było czarno na białym – pisała. – Strasznie pluję sobie w brodę, że dałam się wodzić za nos. Byłam jego kozłem ofiarnym sto tysięcy razy. Na przykład wtedy, jak ten pijak wpakował się w brzeg jeziora awionetką. Na rozprawie u koronera Pace zwałił winę na mnie. Powiedział, że zabronił mi – kiedy pracowałam u niego – wynajmować pokoje pijakom. A ten lotnik był pijany, to fakt. Miał na sobie tylko podkoszulkę i szorty i leciał z Sacramento do Salt Lake City. Pace powiedział koronerowi, że postąpiłam wbrew jego instrukcjom. Tak samo było wtedy, kiedy kucharka dostała bzika. To była zwyczajna wywłoka. On nigdy nie angażował przyzwoitej służby. Oszukał kucharkę na barowym rachunku, potem powiedział jej, że ja to

zrobiłam, więc chciała mnie zabić tasakiem. Nienawidziła mnie, bo skrytykowałam ją za to, że przychodzi do baru w jednoczęściowym białym kostiumie kąpielowym i popija z gośćmi. Ale on ją na mnie napuścił. Poza tym daje wszystkim do zrozumienia, że łączyło go coś z Indią. Ale India nie pozwoliłaby mu się nawet dotknąć małym palcem. Był dla niej zbyt pospolity. Nikt nigdy nie odważyłby się powiedzieć o Indii, że nie jest damą w każdym calu. Jemu wydaje się, że jest najlepszym kochankiem świata. Ale tak naprawdę to on tylko kocha konie. Nie ma żadnego prawa do żółtego domu. Nikt mu go nie przyrzekł, ani ustnie, ani na piśmie. Podpisuję się pod tym imieniem i nazwiskiem. Bardzo źle traktował swoją pierwszą żonę Kiszonkę, a dla przemiłej kobiety, z którą się później ożenił, nie jest ani odrobinę lepszy. Nie rozumiem, dlaczego ona to wszystko znosi. Pewnie z rozpaczy".

„Chyba będzie lepiej, jeżeli nie wyślę tego listu" – zreflektowała się Hattie. Była szalenie zdenerwowana. Serce łomotało jej w piersi. W udach czuła silne bicie pulsu – jak po bardzo gorącej kąpieli. Za oknem wirowały jakieś przezroczyste cząsteczki. Góry były rozpalone do czerwoności, jak piece hutnicze. Płatki irysów sterczały na wszystkie strony niczym murzyńskie włosy.

W końcu zawsze stawała przy oknie i patrzyła na pustynię i jezioro. „One kradną człowiekowi duszę. Ale co z nią robią? Kto wie? Ja już na pewno się tego nie

dowiem. Za późno. Zresztą to nie było mi pisane. To nie dla mnie – zastanawiała się. – Może to jest zbyt okrutna wiedza dla kobiety, obojętne, starej czy młodej".

Więc wstała i zaraz przyszło jej do głowy, że przemienia się powoli w pojemnik dla samej siebie. „Kiedy człowiek się starzeje – pomyślała – jego serce, jego wątroba i płuca jak gdyby się powiększają, powłoka cielesna rozdyma się, puchnie i nabiera kształtu starego, rozszerzającego się ku górze dzbana. Człowiek pęcznieje od tłuszczu i łez. Nie mam już nawet zapachu kobiety" – pomyślała. Jej obecna twarz już ledwie przypominała dawny kształt, jak chmura, która zmieniała kontury. Ta twarz rozluźniła się, rozpadła, jak kłębek wełny.

„A w ogóle, to ja nigdy nie trzymałam się kupy – powiedziała do siebie. – Nigdy też nie należałam do siebie. Byłam sobie tylko wypożyczona".

Ale cała ta sprawa z nią jeszcze nie była skończona. I tak naprawdę, to Hattie nie mogła wiedzieć, czy się kiedykolwiek zakończy. Ostatecznie, wszystkie wiadomości o tym, że śmierć jest taka czy inna, pochodzą z drugiej ręki. Co ja o tym wiem? – rozgniewała się. Złość otrzeźwiła ją na chwilę. Ale zaraz była znowu pijana... „To dziwne. Bardzo dziwne. I może nigdy nie przestanie być dziwne. Dawniej bardziej pragnęłam śmierci niż teraz – myślała dalej. – Dlatego, że nie miałam nic własnego. Teraz mam własny dach nad głową i to mnie zmieniło. Co

dalej? Czy muszę już odejść? Myślałam, że Marian mnie kocha, ale ona ma siostrę. Myślałam, że Helen i Jerry nigdy mnie nie zawiodą, ale opuścili mnie. Pace mnie obraził. Wszyscy są pewni, że koniec ze mną".

Podeszła do szafki, gdzie trzymała butelkę burbona. Piła mniej, jeżeli za każdym razem musiała wstawać i otwierać drzwiczki. Zupełnie, jak gdyby podejrzewała, że ją ktoś podgląda – naląła sobie chyłkiem mały kieliszek i wypiała.

Obawa, że w tym pustym domu ktoś ją obserwuje, związana była z przypuszczeniem, że całe jej życie – od urodzenia do śmierci – jest filmowane, tak samo jak filmowane jest życie każdego człowieka. Kiedy już będzie po wszystkim, każdy będzie mógł sobie obejrzeć swoje. Taki retrospektywny film.

Hattie postanowiła teraz popatrzeć na mały odcinek swojego filmu. Więc wparła się w poduszki kanapy, rozstawiła szeroko nogi, przechyliła się do przodu i siedząc tak, z papierosem w kąciku ust, szczerym uśmiechem na wargach, strachem i tęsknotą w sercu, patrzyła na Paryż i kościół Saint Sulpice, do którego prowadził ją nauczyciel gry na organach. Kościół wyglądał jak wiejska budowla, tyle że miał po bokach wysokie strzeliste wieże. Hattie była bardzo młoda. I muzykalna. Nie potrafiła sobie uzmysłwić tego, że była kiedyś taka zdolna. Że umiała grać na organach. I czytać

nuty. Niebo było szare. Potem wywołała z pamięci różne zabawne wydarzenia, które chętnie wspominała. Była znowu młodą żoną. W Aix-le-Badns, dokąd pojechała z teściową, panie grały w brydża z brytyjskim generałem i jego adiutantem i to siedząc w basenie z leczniczym błotem. Specjalny mechanizm robił w nim fale. Hattie miała na sobie kostium kąpielowy, który spadł z niej, bo był za szeroki. Jak wyszła z basenu? No cóż, wychodzi się w końcu z każdej opresji.

Potem zobaczyła swojego męża, Jamesa Johna Waggonera IV. Śnieg zasypał ich w New Hampshire. „Jimmy, Jimmy, nie porzucaj mnie. Jestem twoją żoną! – zawołała. – Czy już zapomniałeś, jak bardzo kochaliśmy się? A może za dużo piję? Może jestem za mało zabawna?” Ożenił się po raz drugi i miał dwoje dzieci. Hattie po prostu znudziła mu się. I mimo że był człowiekiem próżnym – zupełnie nie wiadomo dlaczego, bo nie był ani przystojny, ani specjalnie inteligentny, tyle że pochodził ze starej, filadelfijskiej rodziny – kochała go. Hattie też była snobką na punkcie tych filadelfijskich koneksji. Wyrzec się nazwiska Waggoner? Jakżeby mogła? Właśnie ze względu na to nazwisko nigdy nie chciała wyjść za mąż za Wicksa. „Jak śmiesz – mówiła do niego – przychodzić do mnie w brudnej koszuli, zabłoconych butach, z wczorajszym zarostem na pysku i prosić mnie o rękę! Jeżeli chcesz mi się oświadczyć, idź i doprowadź się najpierw do porządku”. Ale to był tylko

pretekst.

„Zmienić nazwisko Waggoner na Wicks?” – pomyślała teraz i wzruszyła ramionami. Nigdy nie brała tego pod uwagę. Dobry człowiek był z tego Wicksa. Ale kowboj. Towarzysko nie liczył się wcale. Nie umiał nawet czytać. Ale oto, co zobaczyła na ekranie swojej wyobraźni. Mieszkali w Athens Canyon w skleconym z desek domku i ona czytała mu na głos „Hrabiego Monte Christo”. Nie pozwalał jej przerwać nawet na chwilę. Kiedy chciała wyprostować nogi, razem wychodzili na dwór i musiała czytać dalej. Szedł za nią krok w krok, bo nie chciał uронić ani jednego słowa. W gruncie rzeczy kochała go. Cóż to był za mężczyzna! Widziała teraz, jak zeskakuje z konia. Mieszkali wtedy w górach i chwyтали w pułapkę kujoty. Było to po zapadnięciu zmierzchu, kilka zaledwie chwil po zachodzie słońca, pochmurno. W pułapce znajdowało się zwierzę i Wicks właśnie szedł po nie. Nie chciał marnować kul, więc zabijał zwierzęta silnym kopniakiem. I nagle Hattie zobaczyła, że ten kujot jest cały biały – białe zęby, biały kark. „Wicks, on jest biały! Biały, jak polarny niedźwiadek! Nie zabijesz go chyba!” Zwierzątko rozplaszczyło się na ziemi. Warczało i popłakiwało na przemian. Nie mogło uciec, bo pułapka była za ciężka. I Wicks zabił je. Cóż innego mógł zrobić? Białe stworzonko leżało bez ruchu. Kurz z buciora Wicksa ledwo przybrudził mu głowę i szczęki. Krew ciekła mu z pyska.

Teraz na filmie Hattie pokazało się coś, czego nie lubiła wspominać. Zabiła psa Richie. Bo było z nim tak, jak twierdzili i Rolfe, i Pace. Pies był zły i z pewnością niezupełnie normalny. Ona, jak to ona, broniła go, bo zawsze stawiała po stronie niemych stworzeń, nawet wtedy, kiedy pogryzł tę nędzną kreaturę, z którą żył Jacamarez. Być może, że gdyby Richie był u niej od szczeniaka, nie rzuciłby się na nią. Ale kiedy wzięła go do siebie, miał już półtora roku i nie można go było oduczyć różnych niedobrych nawyków. Ale jej się zdawało, że ona przynajmniej rozumie go. Rolfe ostrzegął ją: „Zobaczysz, że jeszcze zaskarżą cię do sądu. Kiedyś ten pies pogryzie kogoś trochę mądrzejszego od baby Jacamareza i dostaniesz za swoje”.

Hattie patrzyła na siebie samą, jak wzrusza ramionami i odpowiada: „Nonsens”.

Ale jak okropnie przeraziła się, kiedy rzucił się na nią na ganku. Patrząc na jego pysk, na jego dzikie oczy zrozumiała, że jest rzeczywiście zły. „Richie!” – wrzasnęła. Ale co ona mu właściwie zrobiła? Przez cały dzień leżał przed gazową kuchenką i warczał i za nic nie chciał stamtąd wyjść. Próbowwała wystraszyć go miotłą, ale on chwycił trzon kija zębami. Więc wyciągnęła go siłą. Puścił kij i rzucił się na nią. Teraz – jako widz – patrzyła na to wszystko szeroko otwartymi oczami,

widziała zasłonę werandy wyдутą przez wiatr, cząsteczki białego kurzu wirujące w powietrzu niczym śnieg. „O mój Boże! Richie!” Wbił zęby w jej udo poprzez spódnicę. Była pewna, że za chwilę upadnie. Że runie na ziemię. Pies rzuci jej się do gardła, wtedy będzie ciemność, fetor z psiego pyska, krew buchająca z rany w gardle, z rozszarpanej tętnicy. Serce ścisnęło jej się, kiedy psie zęby wbijały się w jej udo i wiedząc, że nie ma sekundy do stracenia, zerwała ze ściany siekierkę służącą do rąbania drzewa na opał, zacisnęła dłoń na gładkim drzewcu i uderzyła psa. Wodziła wzrokiem za ciosem. Patrzyła, jak zdychał. A potem przerażona i pełna wstydu ukryła zwłoki zwierzęcia. Nocą zagrzebała je na podwórzu. Nazajutrz obciążyła Jacamareza odpowiedzialnością za zaginięcie psa.

Wstała i zaczęła mówić do samej siebie, jak to było jej zwyczajem. „Boże, co ja pocznę? Zabiłam. Nakłamałam się. Dawałam fałszywe świadectwo. Oszukiwałam. Co teraz ze mną będzie? Nikt mi nie pomoże”.

Nagle postanowiła pójść i zrobić coś, co odkładała z dnia na dzień, od tygodni – uruchomić samochód – więc nałożyła pantofle i wyszła na dwór. Jaszczurki biegły przed nią po piasku spragnionym deszczu. Otworzyła szerokie, gorące drzwiczki samochodu. Położyła ułomną rękę na kierownicy. Prawą sięgnęła w lewo i z całych sił szarpnęła kierownicą. Następnie zapaliła motor i próbowała wyjechać z podwórka. Ale nie udało jej się

odciągnąć ręcznego hamulca. Wsunęła prawą rękę – tę zdrową – pod kierownicę, przycisnęła się do niej całą górną częścią ciała i ciągnęła ile sił. Nic z tego. Nie mogła przełożyć biegu ani sterować, ani sięgnąć do ręcznego hamulca. Złała się potem. Ten wysięk był dla niej zbyt duży. Przeraziła ją ostrość bólu w ramieniu. Drzwi samochodu otworzyły się same, Hattie przekręciła się na siedzeniu, spuściła sztywne nogi na ziemię i tak siedząc – na wpół w środku wozu, na wpół na zewnątrz – rozpłakała się. Co dalej? Kiedy już opłakała swoją katastrofalną sytuację, wysiadła z tej starej landary i powróciła do domu. Wyjęła z szafy burbon, wzięła atrament i papier i usiadła przy stole, żeby spisać testament.

„Testament mój” – napisała i znowu zalała się łzami.

Od śmierci Indii pytała samą siebie setki razy: „Komu ja to wszystko zostawię?” Podświadomie robiła różnym ludziom egzamin, żeby zobaczyć, co są warci. Stała się przez to jeszcze bardziej odpychająca.

Teraz napisała:

„Ja Harriet Simmons Waggoner, będąc zdrowa na umyśle i nie wiedząc, co może mi się przytrafić w najbliższej przyszłości, jako że ukończyłam siedemdziesiąt dwa lata (ur. w r. 1885), zamieszkała sama jedna w miejscowości Sego Desert, polecam adwokatowi mojemu, panu Haroldowi Claiborne'owi, Paiute County Court Building, ażeby spisał moją ostatnią wolę i

testament według następujących wskazówek".

Siedziała bez ruchu w nadziei, że może usłyszy imię szczęściarza, któremu pozostawi żółty dom. Dom, na który tak długo czekała. O tak, bo przecież czekała na śmierć Indii, dławiąc się jej chlebem, odgrywając rolę sługi bogatej kobiety i kozła ofiarnego zarazem. Ale kto zrobił dla niej, Hattie, to, co ona dla Indii? Kto – poza Indią – wyciągnął do niej kiedykolwiek pomocną dłoń? Od czasu do czasu ktoś tam okazywał jej życzliwość. Ale nie słowo życzliwość chodziło jej po głowie, lecz sukces. Czy ktokolwiek kiedykolwiek szedł jej w sukces? Tylko i wyłącznie India. A jeżeli już nikt jej w ten sukces iść nie chciał, to mógłby przynajmniej potrząsnąć nią i powiedzieć: „Weź się w garść, nie bądźże taka stara, taka ślamazarna, taka nieruchawa”. Jedna India była jej życzliwa. Jedna India przyszła jej w sukces. „Hattie! – mówiła pijackim głosem z twarzą nieruchomą jak maska. – Ty śmierdzący leniu! Szlag by cię trafił, przekłeta starucho!”

„Ale ja czekałam – myślała Hattie. – Czekałam i myślałam. Młodość jest straszna i przerażająca, trzeba ją przeczekać. A mężczyźni? Mężczyźni są okrutni, ale silni. Chcą ode mnie czegoś, czego im dać nie mogę. Nie miałam w sobie dzieci. Nie, żebym ich nie kochała, gdyby przyszły na świat, ale taką miałam naturę. I czy można mi

mieć to za złe? Moją naturę?"

Piła ze szklaneczki na koktajl Old fashioned, ale nie było w niej ani pomarańczy, ani lodu, ani cukru, ani kropelek angielskiej gorzkiej, tylko czysty, ostry burbon.

„Co mi pozostaje – zastanawiała się patrząc na spaloną, zakurzoną ścieżkę biegnącą pod oknem, na ostatnie nakrapiane kwiaty dzikiej brzoskwini przed domem. – Chyba trzeba będzie zamieszkać u Angusa i jego żony i codziennie przed śniadaniem wysłuchiwać rozdziału Biblia. Znowu będę żyła w cudzym domu – może nie u zupełnie obcego człowieka, ale prawie obcego. Czy do końca życia będę musiała – za karę – mieszkać w cudzych domach i już tylko czekać na posiłki? Znowu będzie tak jak dawniej. I to do samej śmierci. Ale mimo wszystko trzeba komuś zapisać dom”.

Przede wszystkim chciała być w porządku w stosunku do własnej rodziny. Żadne z nich nigdy nie przypuszczało, że ona, Hattie, będzie mogła zostawić im cokolwiek. Jeszcze przed kilku laty wszystko wskazywało rzeczywiście na to, że umrze jako nędzarka. Ale teraz mogła nosić wysoko głowę, tak jak najdumniejszy z nich. Kiedy sobie z tego zdała sprawę, uniosła rzeczywiście głowę do góry i w jej oczach zakwitł wyraz dumy. I nawet jeżeli miała teraz włosy jak korzonki cebuli, a tył głowy łysy jak pała, to co z tego? W sercu poczuła dziecięcą radość – mimo tych swoich siedemdziesięciu dwóch lat.

Ona też była coś warta. „Moja śmierć – pomyślała – przyda się komuś. Myślę, że chyba zapiszę dom... ” W ten sposób znalazła się na powrót w punkcie wyjścia. Tyle razy już miała pewność i tyle razy zmieniała zdanie. Próbowwała się skupić. „Komu ten żółty dom przydałby się najbardziej?” Gdyby to nie był dom, ale kruchy przedmiot, który można by wziąć do ręki, rozbiłaby go, żeby przestał istnieć razem z nią. Ale po co takie głupie myśli? Komu więc zapisać dom? Braciom? Na pewno nie. Bratankom? Jeden był dowódcą łodzi podwodnej. Drugi pracował w Departamencie Stanu i był kawalerem. Zaczęła sobie po kolei przypominać kuzynów. Merton? Ten miał majątek ziemski w Connecticut. Anna? Ta miała twarz jak gumowa butelka na wodę. Pozostawała Joyce, osierocona córka kuzyna Wilfreda. Joyce najbardziej nadawała się na spadkobierczynię Hattie. Dwa lata temu Hattie napisała do niej i zaprosiła ją na Święto Dziękczynienia. Ale ta Joyce też była jakaś dziwna. Już trochę po trzydziestce, pulchna, miła, łagodna, studiowała od dziesięciu lat na uczelni w Eugene, w stanie Oregon, i jakoś nie mogła tych studiów skończyć. Zdaniem Hattie cechowała ją po prostu inna odmiana lenistwa. Joyce wciąż wierzyła, że jeszcze znajdzie sobie męża. Ale gdzie? W każdym razie nie będzie nim doktor Stroud. Ten na pewno by jej nie chciał. Mimo to Joyce żyła nadzieją. Hattie rozumiała ją. Dobrze jest mieć mężczyznę, chociażby po to, żeby się z nim kłócić.

Wypiła już więcej niż kiedykolwiek od czasu wypadku. Nalała sobie jeszcze jedną szklaneczkę. „Macie oczy i nie widzicie! Obudźcie się, wy, którzy śpicie!”

Siedziała w gęstniejącym zmroku z szeroko rozstawionymi kolanami i rozmyślała. A może Marian? Ale Marian na pewno nie potrzebowała drugiego domu. Pół Porcji? Ta nie wiedziałaaby, co z nim robić. Nagle przypomniał jej się brat Louis. Był to dawny aktor, który prowadził kościół dla Indian w Athens Canyon. Gwiazdy hollywoodzkie z okresu niemego filmu przysyłały mu stare szlafroczyki. Przerabiał je na siebie i tak ubrany stawał na ambonie. Indianie uwielbiali te jego widowiska. Ale kiedy Billy Shawah po dwutygodniowym pijaństwie wpakował sobie kulę w łeb, to – mimo wszystko – rozwalili jego chałupę i obrócili wszystkie deski, żeby odegnąć jego ducha. Bo w gruncie rzeczy wierzyli w starą religię. Nie, nie brat Louis. Na pewno urządzałyby w żółtym domu pokazy filmowe dla Indian albo zamieniłyby go na żłobek dla indiańskich bachorów.

W końcu zaczęła się zastanawiać nad Wicksem. Ostatnia wiadomość od niego pochodziła z jakiejś miejscowości na południe od miasta Bishop w Kalifornii. Pracował tam w saloonie niedaleko Doliny Śmierci. Właściwie to nie Hattie otrzymała wiadomość, ale Pace. Sama widziała go po raz ostatni – o jakże nisko wówczas upadła! – kiedy prowadziła jadłodajnię z hamburgerami przy szosie numer 158. W ten sposób zarabiała na

utrzymanie ich obojga. Wicks przesiadywał zazwyczaj na ostatnim stołku przy barze i kręcił sobie papierosy (widziała to teraz na swoim filmie). Pewnego razu pokłócili się gwałtownie. Od jakiegoś czasu ich stosunki pogarszały się z dnia na dzień. Narzekał to na to, to na tamto. W końcu poszło o jedzenie.

– Hat – powiedział – mam tych hamburgerów powyżej dziurek od nosa.

– A czy ty myślisz, że ja jem co innego? – zapytała i tym charakterystycznym dla siebie ruchem wzruszyła ramionami. („Cała ja”, pomyślała teraz).

Wtedy on otworzył kasę, wyjął trzydzieści centów, poszedł naprzeciwko do rzeźnika i wrócił z befsztykiem. Rzucił go na ruszt.

– Usmaż mi go – zażądał. Zrobiła to i przyglądała mu się, jak jadł. Kiedy skończył, nie potrafiła się dłużej powstrzymać.

– A teraz – syknęła – jak już się nazarłeś, to wynoś się i nie wracaj.

Trzymała pod ladą rewolwer. Wyciągnęła go, odbezpieczyła i wymierzyła w niego.

– Jeżeli jeszcze kiedy pokażesz mi się w tych drzwiach, to zabiję cię – powiedziała.

Oglądała teraz tę scenę. „Nie mogłam znieść tego, że

upadłam tak nisko, że stałam się niewolnicą gnuśnego kowboja".

– Daj spokój, Hat – powiedział Wicks. – Chyba przesoliłem. Masz rację.

– Za późno na przeprosiny – wrzasnęła. – Wynocha!

Rozwścieczony wybiegł i nigdy go więcej nie widziała.

– Wicks, kochanie – powiedziała teraz. – Przepraszam cię. Nie potępiaj mnie w sercu swoim. Sama siebie skrzywdziłam. Jestem zła i głupia. Zawsze byłam głupia jak but. Urodziłam się z zakutym łbem.

Znowu rozplakała się z tęsknoty za Wicksem. „Byłam zbyt dumna. Byłam snobką. Mogliśmy teraz żyć razem, tu, w tym domu, zwyczajnie i po prostu, jak dwoje starych przyjaciół. Tak, to był prawdziwy przyjaciel” – myślała.

Ale co Wicks robiłby sam jeden w takim domu – to znaczy, jeżeli żyje. Jeżeli przeżyje ją. Był zbyt twardy na to, żeby spać w miękkim łóżku i siedzieć w wyściełanych fotelach.

A to przecież ona, Hattie, powiedziała do Indii:

– Jestem osobą pobożną i zawsze przebaczam ludziom.

„No tak – myślała – za dużo błędów popełniłam w życiu. Jak długo to jeszcze może trwać?” I myślała, a raczej usiłowała myśleć o Joyce, córce swojej kuzynki.

Joyce była przecież podobnie jak ona samotną, bezradną, zaczynającą się starzeć kobietą. Pewnie nikt jej nigdy nie zerznął. A szkoda. Dałaby teraz dużo za to, żeby móc przyjść w sukurs Joyce.

Ale nagle pomyślała sobie, że z tym sukursem to też pewnie nieprawda. Najpierw słyszy się dobrze o człowieku. Potem źle. Jedno i drugie. Ileż to lat poświęciła to jednej fikcji, to drugiej.

Joyce zamieszkałaby więc w żółtym domu. Ma niewielki dochód i dałaby sobie jakoś radę. Żyłaby tak jak Hattie, samotnie. Tutaj zaczynałaby gnić, wzięłaby się może do picia, dzień po dniu siedziałaby i czytała książki, dzień po dniu układałaby się na noc do snu. Popatrz, jak tu było pięknie! I wypaliło się to do cna. Ta pustka. To ona przemieniła cię w popiół.

Jakże mogłabym skazać młodą jeszcze kobietę na taki los? On jest dla takich, jak ja. Powinnam była uciec, póki był czas, teraz jest tak, jak być powinno. Tylko ja mogę tu żyć. To miejsce jest dla mnie stworzone. Żeby w spokoju mogła tu spędzić ostatnie lata życia. Gdybym tylko nie pozwoliła tego wieczoru, żeby Jerry mnie spił, gdybym nie kichnęła! Przez to ramię będę musiała zamieszkać u Angusa. Z dala od mojego jedyne go domu. Serce mi od tego pęknie.

Była już bardzo pijana i jeszcze tylko powiedziała do siebie: „Bierz, co ci Pan Bóg daje, jego dary nigdy nie są

jednoznaczne. To w gruncie rzeczy tylko pożyczki".

Skończyła list do Claiborne'a.

„... według następujących wskazówek – powtórzyła. – Ponieważ wiele wycierpiałam. Ponieważ dopiero niedawno otrzymałam jedyną rzecz, jaką posiadam i którą mogłabym komuś pozostawić, nie potrafię się na to zdobyć". Pijana krew buzowała w jej głowie. Ale mimo to pisała całkiem wyraźnie. A oto, co pisała: „Jest za wcześnie! Za wcześnie! Bo nie mogę znaleźć w sercu moim wystarczającej miłości do nikogo, mimo że bardzo tego pragnę. Jestem porzucona, samotna i nie robię krzywdy nikomu. Dlaczego tak jest? Serce mi pęka. Czy na dodatek do wszystkich moich nieszczęść mam się jeszcze martwić o to, jak rozporządzić tym, co zmuszona jestem opuścić? Cóż to za straszna udreka! Rozumiem, że sama sobie jestem winna. Ale nie poddaję się jeszcze. Nie, jeszcze nie. Więc powiem panu, co i jak. Postanowiłam zapisać całą moją posiadłość, ziemię, dom, ogród, prawo dostępu do jeziora, Hattie Simmons Waggoner. Sobie samej! Zdaję sobie sprawę, że jest to głupie i bezsensowne. I niemożliwe. Ale jest to jedyne moje prawdziwe życzenie i niechaj Pan Bóg zmiłuje się nad moją duszą".

Jak to się stało? Przeczytała dokładnie to, co napisała, i nagle zrozumiała, że jest pijana.

– Jestem pijana – powiedziała na głos – i nie wiem, co

czynię. Umrę i tak to się dla mnie skończy. Tak samo, jak dla Indii. Jak dla tego krzaku bzu.

A potem pomyślała sobie, że jest początek i środek. Zawahała się przed skończeniem tej myśli. Zaczęła jeszcze raz – jest początek. A potem wczesny środek środka i późny środek środka i jeszcze późniejszy środek. Prawdę mówiąc, znam tylko środek. Reszta jest domysłem.

Ale dzisiaj nie mogę się jeszcze zdobyć na oddanie mojego domu. Jestem pijana i dlatego jest mi potrzebny. Jutro, przyrzekła sobie, jutro zacznę znowu myśleć. I wymyślę coś. Na pewno.

Stary system

Dzień ten doktor Braun spędził na rozmyślaniach. Była zima. Sobota. Koniec grudnia. Sam w mieszkaniu, obudził się późno i do południa pozostał w łóżku w zaciemnionym pokoju. Prześladowała go pewna myśl, a może raczej uczucie: żyjesz, a oto cię nie ma. Oto treść i nagle pustka. Oto jesteś liczącą się indywidualnością, masz coś do powiedzenia, czujesz się przydatny i nagle koniec. Rama bez obrazu, lustro bez szkła. Dojmujące poczucie własnego jestestwa jest – być może – tym samym, co instynkt życia, który ma nie tylko człowiek, ale także pies czy małpa. Różnica polega na szczególnej umiejętności umysłu, a może ducha, pozwalającej człowiekowi zdawać sobie sprawę z tego, że oto jest. I co nieuchronnie idzie z tym w parze, że oto go nie ma. Doktor Braun cieszył się tym, że istnieje, równie mało, jak przeciwieństwem tego stanu. Wkraczał widać w okres równowagi ducha. Jak miło! W każdym razie nie miał najmniejszej chęci porządkowania sobie świata i bez specjalnego powodu podniósł się z łóżka. Umył swoją pomarszczoną, ale całkiem jeszcze młodą twarz lodowatą wodą z kranu, dzięki czemu przestała być taka blada, jak zawsze po przebudzeniu, i nabrała nieco sympatyczniejszego koloru.

Wziął się do mycia zębów. Stojąc wyprostowany szorował je starannie i z namaszczeniem, jak gdyby były cennym eksponatem. Następnie nalał wody do dużej staroświeckiej wanny, podstawił plecy pod szeroki strumień płynący z mosiężnego kranu i tym samym mydłem, które za chwilę miał użyć do golenia, natarł dolne części ciała. Podbrzusze, czubek penisa, pięty. Stwierdził, że pięty wymagają szorowania. Wytarł je wczorajszą koszulą oszczędzając w ten sposób kilkanaście centów. Przecież i tak miała pójść do prania. Wszystko to czynił gestami pełnymi szacunku do własnej osoby – gestami – jakie ludzie odziedziczyli po swoich przodkach, dla których kąpiel była rytuałem. Smutnym rytuałem.

Ale dzisiaj każdy cywilizowany człowiek uprawia niezdrowy proceder analizowania samego siebie. Pod wpływem obcowania ze sztuką nabrał zabawnego zwyczaju samoobserwacji i obiektywizmu. Co – ponieważ wymaga znajdowania sobie czegoś zabawnego do obserwacji – stanowi samo w sobie sztukę. Jednakże egzystowanie wyłącznie w tym celu wydaje się bezsensowne. Ludzkość znajduje się w niewygodnej, niemiłej i dość skomplikowanej fazie rozwoju swojej świadomości. Doktora Samuela Brauna wcale to nie cieszyło. Odwrotnie, zasmucał go fakt, że myślenie, sztuka, wiara w wielkie tradycje, że wszystko to właściwie służy niesłusznej sprawie. Podniosłość? Piękno? Porwane na strzepy, na szarfy do dziewczęcych

sukienek, na wstążki do latawców puszcanych w czasie happeningów. Platon i Budda zbezczeszczeni przez chuliganów. Grobowce faraonów ograbione przez pustynnych złoczyńców. I tak dalej, myślał doktor Braun przechodząc z łazienki do schludnej kuchni. Ucieszył go widok białoniebieskiej holenderskiej porcelany, filiżanek zawieszonych na haczykach, spodków ustawionych sztorcem na półeczce.

Otworzył świeżą puszkę kawy i z wielką przyjemnością wchłonął w płuca miły zapach wydobywający się z przekłutego wieka. Trwało to tylko sekundę, ale zostało w pełni doceniane. Następnie pokroił chleb na grzanki, wyjął masło z lodówki, zjadł pomarańczę; podziwiał jednocześnie długie sople lodu zwisające z wielkiego okrągłego zbiornika na czerwonym dachu znajdującej się naprzeciwko pralni, błękit czystego nieba i nagle poczuł, że zalewa go fala nostalgii. Mówiono o nim czasami, że nie kocha nikogo. Była to nieprawda. Tyle, że nie kochał nikogo permanentnie. Ale od czasu do czasu kochał, i to wcale – jak sądził – nie rzadziej, niż inni ludzie.

Fala nostalgii, jaka go teraz ogarnęła, wyrzuciła na powierzchnię jego świadomości dwoje kuzynów pochodzących z górnej części stanu Nowy Jork, z Mohawk Valley. Obydwoje nie żyli. Byli to Izaak Braun i jego siostra Tina. Tina odeszła pierwsza. W dwa lata po niej zmarł Izaak. Braun odkrył nagle, że kochał kuzyna Izaaka, a kuzyn Izaak jego. I to bez względu na

przydatność lub znaczenie, które fakt ten mógł mieć w osobliwym systemie światła, ruchu, kontaktu i ulotności – w którym doktor Braun usiłował znaleźć oparcie. Jego uczucia dla Tiny były mniej dla niego jasne. Kiedyś były silniejsze, ale teraz niewątpliwie bardziej obiektywne.

Po śmierci Izaaka, jego żona powiedziała do doktora Brauna: – Był z ciebie dumny. Wszystkie pisma, nawet *Time*, mówił Izaak, piszą o Sammym i jego naukowych osiągnięciach. A on nam nigdy nic nie opowiada.

– No tak. Ale widzisz, w gruncie rzeczy wszystko teraz robią komputery.

– Ale trzeba je przecież programować.

Tak też mniej więcej było. Ale Braun nie chciał kontynuować tej rozmowy. Nie zależało mu specjalnie na tym, żeby być „pierwszym” w swojej dziedzinie. Amerykanie lubią się chwalić. Matthew Arnold – niezbyt zresztą apetyczna postać – słusznie zwrócił na to uwagę. Doktor Braun uważał, że to typowo amerykańskie samochwalstwo było jeszcze silniejsze w sferach żydowskich imigrantów. Jednakże uciekanie w przesadną skromność też nie jest godne pochwały. Doktor Braun nie zamierzał się zbytnio wgłębiać w te sprawy. Ale poglądy kuzyna Izaaka miały dla niego pewną wartość.

W Schenectady żyli jeszcze dwaj Braunowie z tej samej rodziny. Czy doktor Braun, popijający dzisiejszego

popołudnia kawę, i ich kochał? Nie, nie wywoływali w nim takich uczuć. Czy więc dlatego kochał Izaaka bardziej, że Izaaka już nie było? To nie jest wykluczone.

W dzieciństwie Izaak okazywał mu wiele dobroci. Pozostali Braunowie raczej mało.

Braun zaczynał sobie przypominać pewne rzeczy. Stojący nad rzeką Mohawk platan. Rzeka nie była wtedy na pewno jeszcze taka zanieczyszczona. W każdym razie była zielona, warkta i ciemna, o lekko zmarszczonej, szklistej, czarnej niemal powierzchni. A drzewo było ogromne, rozrośnięte niczym skomplikowane wydarzenie, mocno popekane, pełne szarych, zwapniałych narośli. Całe brązowe i białe panowało nad obszarem, obejmującym co najmniej akr. Na suchej gałęzi, w dobrej odległości od najbliższego liścia, przysiadł szaroniebieski rybołów. Izaak i jego młodszy kuzyn Braun przejechali pod drzewem bryczką pociągana przez starego konia o wyleniałym ogonie, który włókł się powoli, z opuszczonym łbem ujętym w końskie okulary. Siedmioletni Braun miał na sobie szarą koszulę z dużymi kościanymi guzikami. Był ostrzyżony krótko, na lato. Izaak miał na sobie roboczy kombinezon, bo w owym czasie Braunowie prowadzili handel używanymi meblami, dywanami, kuchenkami i łózkami. Izaak o piętnaście lat starszy od kuzyna miał twarz dojrzałego biznesmena. Przeznaczeniem jego było być mężczyzną – w rozumieniu Starego Testamentu – podobnie jak przeznaczeniem

rybołowa było łowienie ryb. Izaak przyjechał do Ameryki jako dziecko. Mimo to posiadał bardzo dużo owej nieugiętej, typowej dla starego kraju, żydowskiej godności. Spoglądał na nowy świat oczami minionych pokoleń. Namioty i krowy, żony i służba, żeńskiego i męskiego rodzaju. Był przystojny – smągła twarz, czarne oczy, gęsta czupryna i długa blizna na policzku. Wzięła się stąd, tłumaczył swojemu uczonemu kuzynowi, że matka karmiła go w starym kraju mlekiem chorej na gruźlicę krowy. W czasie, gdy jego ojciec walczył w wojnie rosyjsko-japońskiej. W bardzo dalekich stronach. Na samej pokrywie piekła, dodał używając żydowskiego powiedzenia. Jak gdyby piekło było kotłem, wielkim garem z pokrywą. Jakże ci Żydzi nienawidzili wojen prowadzonych przez gojów, ich próżności, ich upartej „Dummheit”. Służby wojskowej, musztry, marszów, strzelania – pozostawiania ciał tam, gdzie padły. Pochowanych, niepochowanych. Armia przeciw armii. Gog i Magog. Car, ten słaby, wąsaty, apodyktyczny, całkowicie przez kobiety opanowany człowiek, postanowił, że wuj Braun zostanie wysłany na Sachalin. Dzięki tej irracjonalnej decyzji – zupełnie jak z Tysiąca i Jednej Nocy – wuj Braun, mały mężczyzna o żenująco krótkich nogach, wielkich oczach i malutkiej bródce, owinięty w długi szynel, zmuszony był opuścić żonę i dziecko skazując ich na odżywianie się zepsutą wieprzowiną. Kiedy wojna została przegrana, wuj Braun uciekł przez Mandzurię. Wsiadł na szwedzki statek i

wylądował w Vancouverze. Harował przy budowie kolei. Nie wyglądał wówczas na człowieka tak silnego, jakim Braun pamiętał go z Schenectady. Miał rozbudowaną klatkę piersiową i długie ręce, ale nogi jak z filcu, łatwo uginające się, jak gdyby ucieczka z Sachalinu i długi marsz przez Mandżurię wyczerpały je. Ale w Mohawk Valley został królem używanych kuchenek gazowych i zdezynfekowanych materaców – kochany wuj Braun! Miał małą, szpiczastą bródkę. Jak Jerzy V, jak car Mikołaj. Jak Lenin. Ale w jego zniszczonej twarzy płonęły wielkie, cierpliwe oczy wypełniając całą zarezerwowaną dla oczu przestrzeń.

Braun siedział nad swoją kawą w sobotnie popołudnie i zastanawiał się nad losem ludzkości. Zaczynając od owych Żydów z 1920 roku.

Kiedy Braun był małym dzieckiem, kuzyn Izaak otaczał go szczególną opieką, głaskał po głowie i zabierał na przejażdżki po polach i lasach, najpierw bryczką, a później furgonetką. Kiedy matka Brauna – rodząc go – dostała pierwszych bólów, ciotka Róża posłała po lekarza właśnie Izaaka. Znalazł go w knajpie. Zataczający się, pijany Jones opiekował się żydowskimi imigrantami, zanim wykształcili sobie własnych lekarzy. Kazał Izaakowi pokręcić korbą i zapalić motor swojego Forda T. Ruszyli. Przyjechawszy na miejsce Jones przywiązał matce Brauna przeguby rąk do łóżka. Taki był wówczas zwyczaj.

Kiedy jako student doktor Braun pracował w laboratoriach i przytułkach dla zwierząt, wielokrotnie asystował przy porodach kotek i suk. Wiedział, że człowiek przychodzi na świat w taki sam sposób, jak zwierzę – w przezroczystym worku, czasami w czepku. W pojemniku wypełnionym mętnym, jasnofioletowym płynem, którego barwa dawała do myślenia najbardziej nawet racjonalnym filozofom. Cóż to za kreatura otoczona błoną, zawieszona w cieczy, tak gwałtownie usiłująca wydostać się na zewnątrz, ślepy, przerażony szczeniak przeciskający się przez ciasne przejście, mysz szamocąca się w połyskliwej, pozornie tak niewinnej, niebieskawej kąpieli.

Doktor Braun urodził się w niewielkim, drewnianym domku. Obmyto go i owinięto siatką na moskity. Położono w nogach łóżka matki. Dziarski kuzyn Izaak bardzo kochał matkę Brauna. Współczuł jej bezgranicznie.

W nielicznych przerwach pomiędzy kolejnymi interesami przestawał być na chwilę żydowskim biznesmenem i odnosił się z wzruszającą troską do wszystkich swoich bliskich.

Ciotka Róża trzymała doktora Brauna w czasie ceremonii obrzezania. Brodaty, krótkowzroczny stary pan Krieger – trudniący się zarzynaniem drobiu – uciał mu kawałek napletka rękami permanentnie poplamionymi

kurzą krwią.

Dla doktora Brauna ciotka Róża była prototypem dura mater – surowej matki. Niezbyt wysoka, miała wydatny biust, szerokie biodra i staroświeckie uda, których wyuzdany kształt należał już do historii. Były tak obfite, że utrudniały jej chodzenie. Podobnie jak zdeformowane stopy opadające pod ciężarem tej kolosalnej tuszy. Chodziła w starych, zasznurowanych prawie do kolan butach. Twarz miała czerwoną, włosy czarne. Nos prosty, ostry. Jak nóż do przecinania litości. Z jej oczu Braun wyczytywał radość, jaką sprawiała jej własna nieustępliwość. Nieustępliwość sądów, nieustępliwość w czynach, nieustępliwość w stosunku do ludzi, nieustępliwość w każdym wypowiedzianym słowie. Budowała królestwo oparte na pracy wuja Brauna i na sile swoich posłusznych synów. Mieli już sklep, mieli nieruchomości. Mieli ohydłą synagogę z owej jaskrawoczerwonej cegły, jaka zdawała się rosnąć w górnej części stanu Nowy Jork, prawdopodobnie za sprawą demonów, których zadaniem było oszpecanie Ameryki specyficzną, ośmieszającą i tak wielką brzydotą, że aż zdolną do korumpowania ludzkich dusz. Powstawały wszędzie. W Schenectady, w Troy, w Gloversville, Mechanicville, nawet w Buffalo. W tej synagodze stał kwaśny zapach zbutwiałego papieru. Wuj Braun miał nie tylko pieniądze, ale średnie wykształcenie i cieszył się powszechnym szacunkiem. Ale kongregacja

była kłótniwa. Ludzie rywalizowali ze sobą, często wybuchały awantury, dochodziło nawet do rękoczynów. Całe rodziny nie odzywały się do siebie miesiącami. Pariasi, myślał Braun, którzy zachowywali się wobec siebie jak udzielni książęta.

W milczeniu, powoli wodząc oczami po czerwonym hydroforze owiniętym pogmatwanymi kablami, z którego zwisały długie sople lodu i unosiła się biała para, doktor Braun wydobył z głębi pamięci moment sprzed czterech bez mała dziesięcioleci, kiedy to kuzyn Izaak – patrząc na niego oczami starymi jak świat – powiedział, że Braunowie wywodzą się z rodu Naftalich.

– Skąd wiesz?

– Ludzie... rodziny... wiedzą takie rzeczy.

Braun, który miał wówczas dziesięć lat, nie chciał w to uwierzyć. Ale Izaak, kładąc na szalę autorytet starszego kolegi, ba, niemalże wuja, dodał: – Dobrze to sobie zapamiętaj.

Był zazwyczaj wesoły w towarzystwie Brauna. Śmiał się często i wtedy blizna ściągała mu policzek. Oczy mu ciemniały, stawały się łagodne, błyszczące. Z jego ust wydobywał się gorzkawy zapach, który dla Brauna stanowił symbol męskiej powagi i smutku. Wszyscy chłopcy w rodzinie tak właśnie się śmiali. W niedzielę zasiadali na otwartej werandzie i pękali ze śmiechu,

podczas gdy wuj Braun czytał na głos żydowskie ogłoszenia matrymonialne.

„Atrakcyjna wdowa, lat 35, ciemnowłosa, śniada, właścicielka sklepu z mieszanymi towarami w Hudson, doskonała kucharka, z dobrej rodziny, kulturalna i pobożna. Gra na fortepianie. Dwoje inteligentnych, dobrze wychowanych dzieci, lat osiem i sześć”.

Wszyscy, z wyjątkiem tłustej Tiny, brali udział w tych niedzielnych prześmiewkach. Ona stała za kuchennymi drzwiami z siatki i podsłuchiwała. Na dole w ogródku kwitły prymitywne kwiaty – cynie, babki, kurnik był cały opleciony powojem.

Oczami pamięci Braun zobaczył nagle domek w górach Adirondacks. Strumyk. Jaki piękny! Drzewa, silne, wysokie. Poziomki, które trzeba było zrywać ostrożnie ze względu na pokrzywy. W rowach roiło się od kijanek. Braun sypiał na poddaszu razem z kuzynem Muttem. Rano Mutt tańczył w samym podkoszulku i śpiewał sprośną piosenkę:

Wsadziłem kozie nos pod ogon,

Można zdechnąć! Co za smród!

Podskakiwał na bosaka, tak że przyrodzenie telepało

mu się od uda do uda. Nauczył się tego w knajpach, do których zachodził po puste butelki. Typowa piosenka z kotłowni. Jej pochodzenie, Liverpool lub Tyneside. Przykład twórczości proletariackiej z wczesnego okresu industrializacji.

Stary młyn. Pastwisko porośnięte koniczyną. Siedmioletni Braun chce uwić wianek dziurkując jedną łądkę i usiłując przepleść przez nią drugą. Wianek przeznaczony jest dla tłustej Tiny. Na jej wielką apetyczną głowę, jej gęste, sztywne, czarne włosy. Później, przechodząc przez pastwisko, mały Braun kopnie i przewróci zbutwiały pień. Poruszy gniazdo szerszeni, które pofruną za nim i pokasają go. Podniesie wrzask. Na jego ciele wyrosną bolesne czerwone bąble. Ciotka Róża położy go do łóżka, a tłusta Tina przyjdzie na poddasze, żeby go pocieszyć. Z tą swoją ponurą okrągłą twarzą, czarnymi oczami i rozdętymi chrapkami, którymi dmuchała na niego. Uniosła suknię i halkę, żeby ochłodzić go własnym ciałem. Wyrosły przed nim jej uda, jej brzuch. Braun poczuł się zbyt mały, zbyt drobny na taką ekstazę. Na poddaszu było gorąco jak w piekle. Przy łóżku stało krzesło. Tina usiadła na nim. Oparła stopy na brzuchu Brauna i rozłożyła kolana. Szerzej i szerzej. Zobaczył kępę barbarzyńskich czarnych włosów. I coś czerwonego pomiędzy nimi. Rozchyliła fałdy rękami. Teraz ciemne dziurki jej nosa rozdeły się, oczy zapadły się głębiej w czaszkę i jak gdyby zbieleły. Wskazała

gestem, żeby przycisnął swoje dziecinne genitalia do jej tłustych spłaszczonych ud. Co uczynił z bolesnym uczuciem niemocy i rozkoszy zarazem. Panowała wielka cisza. Cisza lata. Jej zmysłowa woń. Muchy i nietoperze zaczęły poruszać skrzydłami, podniecone rozkosznym upałem, a może zapachem Tiny. Usłyszał, jak cała grupa uśpionych much przebudziła się i odbiła od szyby. Z dźwiękiem odrywanego plastra. Tina nie obejmowała Brauna, nie całowała go. Patrzyła na niego ponurym wzrokiem. Wyzywającym. Wciągała go w siebie – porywała go za sobą, ale dokąd? Nie przyrzekała mu nic, nic nie mówiła.

Kiedy Braun wydobrzeał i znowu mógł bawić się w ogródku, zobaczył Izaaka przechadzającego się pod drzewami ze swoją narzeczoną, Clarą Sternberg. Całowali się bardzo czule. Braun chciał im towarzyszyć, ale Izaak kazał mu odejść. Kiedy mimo to poszedł za nimi, Izaak obrócił go i pchnął silnie w stronę domu. Mały Braun postanowił wówczas zabić kuzyna. Całym sercem zapragnął uderzyć go w głowę kawałkiem deski. Jeszcze teraz pamiętał tę niebywałą ekstazę, niezwykle uczucie euforii, jakim napawała go myśl o morderstwie. Ruszył na Izaaka, ale ten chwycił go za kark, skrzył mu głowę i potrzymał chwilę pod pompą. Po czym oświadczył, że mały Braun musi wrócić do domu, do Albany. Ze jest stanowczo za dziki. Że trzeba mu dać nauczkę. Kuzynka Tina szepnęła mu na boku: – Dobrze zrobiłeś, Sam. Ja też

go nienawidzę. – Chwyciła rękę Brauna swoją tłustą, pełną dołeczków dłonią i pociągnęła go na zakurzoną drogę. Jej potężne ciało ściśnięte kretonową sukienką w kratkę. Grube ramiona, spiętrzone jak ziemia na poboczach górskiej drogi. Stopy obciążone przerażającym ciężarem swojego ciała stawiała skośnie na zewnątrz.

Później zaczęła stosować dietę. Przez pewien czas była szczuplejsza, bardziej cywilizowana. Wszyscy stali się bardziej cywilizowani. Mały Braun wyrósł na posłusznego chłopca, namiętnie czytającego książki. Uczył się doskonale.

Wszystko jasne? Całkiem jasne dla dorosłego Brauna, rozpatrującego swój los w kontekście losów innych ludzi. Patrzył spokojnie, jak fakty układają się – wzlatają, opadają, tworzą nowy wzór i trwają tak przez chwilę, by znów się zmienić. Czuł, że zaczyna docierać do prawdy.

Wuj Braun umarł skłócony z ciotką Różą. Odwróciwszy się do ściany na znak protestu przeciwko jej nieustępliwości, wydał ostatnie tchnienie. Wszyscy obecni przy tym mężczyźni – jego synowie – wybuchnęli płaczem. Łzy kobiet były inne. Później także ich namiętność przyjęła inne formy. Targowały się o większy udział w zyskach. Ciotka Róża zignorowała testament męża. Inkasowała komorne w ruderach Albany i Schenectady, które zapisał synom. Staroświecko ubrana zjawiała się w mieszkaniach Murzynów i żydowskiej

biedoty złożonej przeważnie z krawców i szewców. Uważała żydowskie nazwy tych zawodów – Schneider, Schuster – za pogardliwe. Komorne należące się głównie Izaakowi wpłacała na swoje konto bankowe. Jeździła po tych slumsach rozklekotanymi tramwajami. Nie potrzebowała sobie sprawiać żałoby. Ubierała się od dawna w czarne kostiumy. Głowę nakrywała trójgraniastym kapeluszem podobnym do nakrycia głowy miejskich woźnych. Czarny warkocz zwisał jej na plecy, jak gdyby była u siebie w kuchni i nikogo się nie spodziewała. Miała kłopoty z pęcherzem i tętnicami, ale te dolegliwości nie przeszkadzały jej opuszczać domu, a w lekarzy i lekarstwa nie wierzyła. Uważała, że wuj Braun umarł od zażywania nadmiernych ilości Bromo-Seltzer, że lek ten powiększył mu serce.

Izaak nie pobrał się z Clarą Sternberg. Okazało się, że jej ojciec, mimo iż był fabrykantem, zaczął karierę jako krojczy i ożenił się z własną służącą. Ciotka Róża nie zgodziła się na taki mezalians. Robiła dalekie wyprawy, celem zbierania danych genealogicznych. Jej kryteria w stosunku do młodych kobiet były bardzo surowe. „Farbowana lisica”, „zatruta czekoladka”, „kloaka”, „szambo”, „urodzona kurwa”!

Kobieta, z jaką w końcu ożenił się Izaak, była szacowna, sympatyczna, łagodna i pulchna – córka żydowskiego farmera.

Ciotka Róża twierdziła, że jest to nieuk i prostak.

– To porządny, ciężko pracujący na roli człowiek – przekonywał ją Izaak. – Odmawia modlitwy nawet po wódce. Psalterz stale trzyma pod siedzeniem bryczki.

– Nie wierzę ci. To prawdziwy syn Chama. Byłem handluje. Śmierdzi nawozem.

A do narzeczonej powiedziała po żydowsku: – Będiesz łaskawa umyć swojego ojca, zanim przywieziesz go do synagogi. Do wiadra z gorącą wodą wsyp boraksu, wlej amoniaku i weź szczotkę do czyszczenia koni. Taki brud jest wrośnięty w skórę. Nie zapomnij mu dobrze wyszorować rąk.

Nieustępliwość i szaleństwo ortodoksyjnych Żydów. Ich obłąkane, zawrotne wprost poczucie wyższości.

Tina nie przywiozła swojego młodego człowieka z Nowego Jorku, bo nie chciała narazić go na egzamin ciotki Róży. Prawdę mówiąc nie był ani młody, ani przystojny, ani bogaty. Ciotka Róża uznała go za chuligana, ba, zabijakę. Pojechała na Coney Island, żeby poznać jego rodzinę – ojca, który handlował parcelami i gorącymi kasztanami z wózka, matkę, która zajmowała się przygotowywaniem potraw na bankiety. A sam narzeczonej? Taki łysy, taki przysadzisty, taki ponury – mówiła – co za wielkie łapy, na piersiach futro. Po prostu zwierzę, powiedziała do młodego Sammy Brauna. Braun

był wówczas studentem politechniki Rensselaera i przyjechał do ciotki w odwiedziny. Siedzieli w starej kuchni, w której stał ogromny, czarny piec, okrągły stół na dębowej nodze pokryty ceratą w granatowo-białą kratkę, a na ścianie wisiał obraz przedstawiający martwą naturę z brzoskwiniami i wiśniami kupiony w sklepie ze starzyzną. Ciotka Róża wydała mu się bardziej kobieca niż dawniej, może dlatego, że była bez gorsetu i miała na sobie tylko wiktoriański haftowany stanik i pantalone. Jej jedwabne pończochy przewiązane były – tuż pod kolanami – podwiązkami, tak że ich górne części zwisały miękko opadając prawie na ranne pantofle.

Tina była wówczas może nie ładna, ale zupełnie przystojna. W szkole ubył jej osiemdziesiąt funtów. Potem zrezygnowała z dyplomu i przeniosła się do Nowego Jorku.

A czy jej kiedy zależało na takiej rzeczy, jak dyplom? – mówiła Róża. – A w ogóle, to dlaczego pojechała sama jedna na Coney Island? Dlatego, że jest nienormalna. Dlatego, że ciągnie ją instynktownie w stronę dziwadeł. No i tam znalazła tego swojego potwora. Tego najemnego mordercę, tego gangstera, tego drugiego Lepke Buchaltera. Stara lubowała się w melodramatycznych opisach najróżniejszych zbrodni, jakie zawierała prowincjonalna żydowska prasa, przy czym wzbogacała je własnymi wyobrażeniami o wszystkim, co najgorsze.

Ale kiedy Tina przywiozła męża do Schenectady i zainstalowała go w ojcowskim sklepie ze starzyzną, okazało się, że jest to wielkie, łagodne chłopisko. Jeżeli nawet miał kiedyś jakieś złe cechy, to stracił je wraz z włosami. Był łysy jak kolano. Wyraz oczu miał pokorny, ba, sentymentalny. Tina otaczała go opieką. W tym miejscu nasunęły się doktorowi Braunowi seksualne myśli na temat samego siebie jako dziecka i na temat dzieciennego męża Tiny. Przypomniał sobie wielką, naburmuszoną Tinę wtedy, w górach Adirondacks, na poddaszu, jej gwałtowne pieszczoty i to, jaka była od dołu i jak ciężko dyszała, i te jej sztywne, agresywne, zmierzwiłone, czarne włosy.

Nikt nie miał wpływu na Tinę. I na tym, myślał Braun, polegała chyba cała sprawa. Przez tyle lat nie korzystała z niczyich rad, tak długo kierowała się wyłącznie własnym rozumem, że nie potrafiła się już do nikogo nagiąć. I każdy człowiek, który słuchał innego, wydawał jej się słaby.

Kiedy ciotka Róża umarła, Tina zdjęła z jej palca pierścionek, który przed laty ofiarował matce Izaak. Braun nie pamiętał już całej historii tego pierścionka, tyle tylko, że Izaak pożyczył pieniądze jakiemuś imigrantowi, który zniknął pozostawiając mu ten klejnot. Przypuszczano z początku, że pierścionek nie ma żadnej wartości, ale okazało się, że jest bardzo cenny. Braun nie mógł sobie przypomnieć, czy był z rubinem, czy

szmaragdem, i jaką miał oprawę. Ale była to w każdym razie jedyna kobieca ozdoba, jaką posiadała ciotka Róża. Żona Izaaka, Sylwia, spodziewała się, że otrzyma ją w spadku, i miała na nią wielką ochotę. Tina ściągnęła pierścionek z palca nieboszczki i wsunęła go na swój własny palec.

– Tino, oddaj mi ten pierścionek. Jest mój – zażądał Izaak.

– Nie. Należał do niej. Teraz będzie należał do mnie.

– To nie była własność mamy. Wiesz o tym doskonale. Oddaj go.

Patrzyła mu prosto w oczy ponad zwłokami ciotki Róży. Wiedziała, że Izaak nie będzie się z nią kłócił przy łożu śmierci matki. Sylwia była wściekła. Robiła, co mogła. To znaczy szeptała mężowi do ucha: – Zabierz jej pierścionek! – Ale sprawa była beznadziejna. Izaak wiedział już, że nic tu nie wskóra. Poza tym tyle było innych zatargów majątkowych. Chociażby te jego pieniądze od lokatorów, które znajdowały się na koncie oszczędnościowym ciotki Róży.

A jednak tylko Izaak został milionerem. Pozostali członkowie rodziny – jak to dawniej imigranci – po prostu gromadzili pieniądze. Izaak nie siedział i nie czekał na spadek po matce. Kiedy ciotka Róża umarła, miał już spory kapitał. Wybudował w Albany brzydką kamienicę

czynszową. Uważał to za osiągnięcie. Wstawał o świcie, odmawiał modlitwę, podczas gdy jego żona cała w papilotach, śliczna, chociaż zaspana, zaspana, ale posłuszna, szykowała mu w kuchni śniadanie. Pobożność Izaaka rosła wraz z jego kontem bankowym. Wkrótce stał się staroświeckim żydowskim pater familias. Z członkami rodziny rozmawiał po żydowsku wtrącając wiele słowiańskich i hebrajskich słów. Zamiast „ważna osobistość, wybitny obywatel” mówił „Ansze ha-ir” czyli człowiek z miasta. I on nie rozstawał się z psalterzem. Podobnie, jak to od wieków czynili światowi przedsiębiorczy Żydzi. Jeden egzemplarz znajdował się zawsze w schowku jego Cadillaka. Jego tęga, posepna siostra – roztyła się znowu i była szersza i wyższa niż w tamtych adirondackich dniach – mówiła z przekąsem: – Czyta tefilin na głos w klimatyzowanym Cadillaku, kiedy stoi na przejeździe kolejowym, i czeka, żeby przejechał długi pociąg towarowy. Co za szachraj! Gdyby mógł, okradłby Pana Boga!

Nie można zaprzeczyć, że cała rodzina Braunów miała talent do tworzenia barwnych metafor. Doktor Braun też nie był wyjątkiem. I mimo że od dwudziestu pięciu lat pracował nad zagadnieniem chemizmu dziedziczności, wciąż nie pojmował genezy tego zjawiska. Bo czy można sobie wyobrazić, że jedna cząsteczka białka zawiera tak ogromny ładunek wynalazczości, twórczej złośliwości, negatywnej siły? Zrodzonych w niewidzialnych oparach

fermentacji. Zdolnych do zarażania miliardów serc bądź talentem, bądź podłością. Czy można się dziwić, że Izaak Braun zamknięty w swoim wielkim czarnym samochodzie i przyglądający się wagonom towarowym przecinającym zadymioną – jeszcze tak niedawno piękną – dolinę, krzyczał do swojego Boga: „Odpowiedz na moje wołanie, wielki, sprawiedliwy Boże”.

– No i co? – szydziła Tina – Czy myślicie, że on pamięta o braciach, kiedy mu się trafia dobry interes? Albo o jedynej siostrze?

Nie żeby byli w wielkiej potrzebie. Kuzyn Mutt, ranny pod Iwo Jima, powrócił do handlu zmechanizowanym sprzętem gospodarstwa domowego. Kuzyn Aaron był przysięgłym księgowym. Mąż Tiny, łysy Fenster, rozwinął sporą aktywność i handlował teraz także używanymi naczyniami kuchennymi i meblami. Oczywiście, stała za tym Tina. Nie brakowało im więc pieniędzy. Ale Tinę denerwował fakt, że Izaak nie wciągał członków rodziny do swoich interesów budowlanych, bo na tym zarabiano się najlepiej, a to ze względu na podatki. Tina uważała związane z tym ulgi podatkowe za zalegalizowane łapownictwo. Swoje pieniądze umieszczała na rachunku oszczędnościowym skandalicznie nisko oprocentowanym na dwa i pół procent rocznie i w pełni podlegającym opodatkowaniu. Do transakcji giełdowych nie miała zaufania.

W rzeczywistości było tak. Kiedy Izaak zdobył kontrakt na budowę wielkiego centrum handlowego w Robbstown, zaproponował wszystkim Braunom wzięcie udziału w tym interesie. Ale w kluczowym momencie cała rodzina wycofała się. Była to dla Izaaka bardzo przykra sprawa, bo trzeba było właściwie nieco obejść prawo. Podczas rodzinnej narady każde z rodzeństwa zgodziło się wyasygnować 25. 000 dolarów, po czym łączna suma miała być przekazana – i to nie oficjalnie – Ilkingtonowi. Stary Ilkington był przewodniczącym rady nadzorczej Sportowego Klubu Towarzyskiego wokolicy Robbstown. Klub ten – dokoła którego wyrastały liczne zakłady fabryczne – musiał się coraz to dalej i dalej odsuwać od miasta. Izaak dowiedział się o tym od starego instruktora golfowego, którego w pewien mglisty poranek podwoził swoim samochodem do domu. We wczesnych latach dwudziestych Mutt Braun przez jeden sezon pracował w klubie jako chłopiec do noszenia kijów golfowych i został przydzielony do Ilkingtona. Izaak także znał Ilkingtona. Odbił z nim prywatną rozmowę. Stary goj – dobrze już teraz po siedemdziesiątce – przenosił się właśnie do Indii Zachodnich. Powiedział do Izaaka:

– To musi pozostać między nami. Sto tysięcy. I żadnych tam podatków.

Był to wysoki, ascetyczny mężczyzna o twarzy poprzecinanej gęstą siecią żyłek. Absolwent Uniwersytetu Cornelia z – chyba – 1910 roku, chłodny, ale bezpośredni.

I, zdaniem Izaaka, uczciwy. Dobrze zaplanowane centrum handlowe na terenie dawnego pola golfowego, tuż za miastem, powinno być każdemu z Braunów przynieść milion dolarów zysku. W powojennej koniunkturze Robbstown rozwijało się błyskawicznie. Izaak miał przyjaciela w radzie miejskiej, który za pięć tysięcy gotów był ułatwić załatwienie wszystkich formalności. Jeżeli chodzi o samą budowę, to Izaak zamierzał zająć się nią osobiście. Tina nalegała na powołanie do życia osobnej spółki złożonej z samych Braunów, żeby zapewnić wszystkim równy podział zysków. Izaak zgodził się. Jako głowa rodziny wziął na siebie wszystkie sprawy organizacyjne. Tylko Aarona – który był przecież przysięgłym księgowym – prosił o założenie ksiąg. Narada rodzinna odbyła się w gabinecie Aarona i trwała od południa do godziny trzeciej. Przedyskutowano po kolei wszystkie zawile aspekty tej sprawy. Czterej wirtuozi, znawcy trudnej muzyki pieniądza, siedzieli pochyleni nad partyturą. Na koniec doszli do wniosku, że utwór należy zagrać.

Ale w decydującym momencie Aaron pierwszy stanął sztorcem. Rozmyślił się. Był piątek, godzina dziesiąta rano. Zaraz potem wycofała się Tina, a za nią poszli wszyscy inni. Doktor Braun znał tę historię od Izaaka. Co do niego samego, to przyszedł – tak jak był umówiony – do biura Aarona i przyniósł w starej teczce swój udział w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Aaron,

czterdziestoletni podówczas, przebiegły, gładki, ciemnowłosy mężczyzna miał zwyczaj wypisywania na bloczku niezliczonej ilości precyzyjnych malutkich cyferek podczas każdej rozmowy. Jednocześnie wertował śniadymi palcami najnowsze publikacje dotyczące podatków. Kiedy porozumiewał się przez interkom z sekretarką, zniżał głos. Miał na sobie zawsze białą koszulę i krawat z jedwabnego brokatu, sygnowany „Countess Mara”. Z całej rodziny najbardziej przypominał wuja Brauna. Tyle, że nie miał brody ani złotej smugi w brązowych źrenicach i nie nosił melonika na głowie. Aaron i wuj Braun mieli niewątpliwie wiele wspólnych cech zewnętrznych, zastanawiał się naukowiec Braun. Wywodzili się z tego samego genetycznego źródła. Można by zaryzykować twierdzenie, że chemicznie rzecz biorąc, Aaron był młodszym bratem swojego ojca. Cechy charakteru, które ich różniły, były prawdopodobnie dziedziczne. A może powstały z zetknięcia się z amerykańskim biznesem.

– No i co? – odezwał się Izaak, który stał na środku wyłożonego dywanem gabinetu. Błat jego wspaniałego biurka był imponująco pusty.

– Na czym opierasz swoje zaufanie do Ilkingtona?

– Myślę, że jest w porządku.

– Tak myślisz? A może weźmie pieniądze, a potem powie, że nigdy w życiu nie widział cię na oczy.

– To nie jest wykluczone. Ale przecież już to omówiliśmy. Trzeba zaryzykować.

Sekretarka Aarona – wykonując prawdopodobnie instrukcję – zadzwoniła do niego. Nachylając się nad interkomem zaczął mówić coś półgłosem, powoli, ale z naciskiem.

– No cóż, Aaronie – odezwał się Izaak. – Pewnie życzysz sobie, żebym ci dał osobistą gwarancję na twój wkład, prawda?

Aaron już dawno nauczył się obniżać swój cienki głos i mówił teraz stanowczym tonem absolutnie pewnego siebie człowieka. Tylko czasami odzywał się nagle falsetem opanowanym przed dwudziestu pięciu bez mała laty. Teraz wstał, wparł się obiema pięściami w szklany blat biurka i przez dobrą chwilę milczał, właściwie po to, żeby zapanować nad głosem.

Wreszcie wyrzucił z siebie przez zaciśnięte zęby:

– Nie spałem przez całą noc!

– Co z pieniędzmi?

– Nie mam tyle gotówki.

– Nie?

– Przecież doskonale wiesz, do diabła! Jestem tylko przysięgłym księgowym. Nie mogę sobie pozwolić...

– A co zrobią Tina i Mutt?

– Nie mam pojęcia.

– Kazałeś im się wycofać. Rozumiem. O dwunastej jestem umówiony z Ilkingtonem. Dlaczego nie zawiadomiliście mnie wcześniej?

Aaron milczał.

Izaak nakręcił numer Tiny, ale nikt się u niej nie odezwał. Przekonany o tym, że siostra siedzi w domu – wielka, otyła – i przysłuchuje się natarczywemu, metalicznemu dzwonekowi telefonu, stał ze słuchawką w rękę przez dobre pięć minut. Z Muttem nie próbował się nawet porozumieć. Wiedział, że Mutt zrobi dokładnie to, co Tina.

– Muszę zdobyć tę forszę w ciągu najbliższej godziny – Jestem w takiej grupie podatkowej, że te dwadzieścia pięć tysięcy kosztowałyby mnie przeszło pięćdziesiąt.

– Szkoda, że mi tego wczoraj nie powiedziałaś. Przecież wiedziałaś, jakie to dla mnie ważne.

– Żeby obcemu człowiekowi dać do ręki sto tysięcy dolarów. Bez pokwitowania! W ciemno! Nie rób tego.

Ale Izaak nie zamierzał się wycofać. Nasze pokolenie, myślał doktor Braun, wydało z siebie nowy typ człowieka – coś w rodzaju kapitalistycznego playboya.

Wesoło zabiera się do najrozmaitszych interesów – sprzedaż wyremontowanych maszyn biurowych do Brazylii, budowa moteli we Wschodniej Afryce, eksport komponentów Hi-Fi do Tajlandii. Sto tysięcy to dla niego żadna suma. Leci w towarzystwie jakiegoś kociaka odrzutowcem, gdzie trzeba. Gubernator prowincji czeka na swoich gości, wiezie ich Thunderbirdem wyrąbaną przez więźniów w dżungli supernowoczesną autostradą do nadmorskiej rezydencji na weekend poświęcony pływaniu i picciu szampana, w czasie którego młody, bo zaledwie przecież pięćdziesięcioletni dyrektor podpisuje umowę. Ale kuzyn Izaak zdobył swój majątek dawnymi metodami, to znaczy składając grosz do grosza. Już jako młody chłopiec kupował i sprzedawał butelki i szmaty. Potem przerzucił się na handel przedmiotami uratowanymi z pożarów, jeszcze później na używane samochody, wreszcie wyuczył się wszystkich zawodów związanych z budownictwem. Robienia wykopów, kopania fundamentów, mieszania cementu, hydrauliki, instalowania przewodów elektrycznych, rur ogrzewniczych, układania dachów. Każdy grosz zdobywał ciężką pracą. A teraz poszedł do banku i zaciągnął pożyczkę w wysokości siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów na najwyższy procent. I nie żądając pokwitowania wręczył całą tę sumę Ilkingtonowi. W salonie jego willi. Salonie umeblowanym w typowym, staroświeckim, gojowskim stylu i zalatującym stęchłym gojowskim zapachem bezużytecznych, nonsensownych,

ale wytwornych przedmiotów, które napawały Ilkingtona wielką dumą. Stały tam meble z drzewa jabłoni i wiśni, komody, stoliki ze spuszczanymi blatami, fotele i kanapy obite materia pachnącą starą pastą do podłogi – wszystko to w kolorze bladej świńskiej skóry, stanowiącym symbol wytworności. Ilkington nawet nie dotknął teczki Izaaka. Nie zamierzał widocznie liczyć banknotów, ba, nawet spojrzeć na nie. Zaproponował Izaakowi koktajl z dżinu i wermutu. Izaak, który w ogóle nie uznawał alkoholu, wypił sam dżin. W południe. Bezbarwny płyn pędzony zapewne w przestrzeni międzyplanetarnej. Siedział na pozór spokojny, ale czuł, że jest stracony, stracony dla rodziny, dla współwyznawców, pozbawiony Boga, bez reszty zagubiony w niezmiernym ogromie Ameryki. Ilkington, dżentelmen w każdym calu, milczący, ponury niczym granitowy posąg jakiejś w zasadzie ludzkiej postaci, ale obdarzonej bardzo nielicznymi ze znanych Izaakowi cech człowieczeństwa, wypił zawartość całego dzbanka koktajlowego. Żegnając Izaaka nie uznał nawet za stosowne zapewnić go, że dotrzyma umowy. Po prostu uścisnął mu dłoń i odprowadził do samochodu. Izaak pojechał do domu i zamknął się w swoim pokoju. Przesiedział tak dwa dni. Potem, w poniedziałek, Ilkington zadzwonił, żeby mu powiedzieć, że rada nadzorcza klubu przyjęła jego ofertę dotyczącą kupna terenu. Nastąpiła pauza. Na koniec Ilkington powiedział: pomiędzy dżentelmenami liczą się tylko wzajemne zaufanie i honor, a nie jakieś tam pisemne umowy.

Izaak został właścicielem dawnego terenu klubowego i postawił tam centrum handlowe. Wszystkie takie ośrodki są brzydkie. Doktor Braun nie mógłby powiedzieć, dlaczego ten właśnie wydawał mu się szczególnie brutalny w swojej szpetocie. Być może dlatego, że pamiętał klub. Nie wpuszczano tam, oczywiście, Żydów. Ale Żydzi mogli zaglądać do klubu od strony starej szosy. Stały tam przepiękne wiązy – stuletnie chyba, a może jeszcze starsze. Światło było łagodne. Samochody z epoki Coolidge'a zajeżdżały jeden za drugim pod dom, każdy z firaneczkami na tylnej szybie i wazonikiem na sztuczne kwiaty. Hudsony, Auburny, Bearcaty. Stare maszyny. Nie ma się nad czym rozczulać.

Braun był przerażony tym, co zrobił Izaak. Być może, chciał – podświadomie – podkreślić swój triumf, może działał w oszołomieniu zwycięstwem. Zielone tereny przeznaczone do uprawiania – mało co prawda aktywnego sportu – przez nierobów, do uderzania kijkiem w piłeczkę, zostały przemienione w parking na co najmniej pięćset samochodów. Poza tym supermarket, barki oferujące pizzę, chińskie potrawy, parówki, dalej pralnia samoobsługowa, tania męska konfekcja, 1001 drobiazgów.

Ale to był zaledwie początek. Izaak wkrótce stał się milionerem. Wypełniał Mohawk Valley osiedlami mieszkaniowymi. O swoich lokatorach zaczął mówić . . . , moi ludzie". Był skąpy, jeżeli idzie o teren. Stawiał te

swoje domy zbyt blisko siebie, to fakt, ale był całkowicie oddany sprawie. Już o szóstej rano widać go było na placach budowy. Żył skromnie. Był pobożny i bogobożny, co potwierdzał jego rabin już teraz z Madison Avenue. Mała synagoga została zburzona. Poszła w niepamięć, podobnie jak owi holenderscy malarze, którzy lubili panujący w tych budowlach mrok i rozchełstanych żebraków wysiadujących pod ich drzewami. Na jej miejscu wyrósł nowy ogromny gmach, przypominający pawilon z wystawy światowej. Izaak został jej prezesem. Po zwycięskiej walce ze swoim poprzednikiem, ojcem słynnego opryszka, który trudnił się kiedyś wykonywaniem wyroków śmierci dla znanego gangu. Nowy rabin, szalenie światowy, o wyszkolonym głosie, ubierający się w doskonale skrojone garnitury, nie różniłby się właściwie niczym od pastora, gdyby nie rysująca się na jego twarzy iście żydowska przebiegłość. Często dawał do zrozumienia bardziej ortodoksyjnym członkom kongregacji, że nosi się tak ze względu na młodzież. Ameryka. Niesłychane czasy. Jeżeli chcecie, żeby młode kobiety zapalały w sobotę świece, to trzeba im znaleźć takich rabinów, którzy biorą – na początek – co najmniej dwadzieścia tysięcy dolarów rocznie i jeszcze dorzucić do tego dom i Jaguara.

Tymczasem kuzyn Izaak stawał się coraz większym tradycjonalistą. Jeździł na przykład samochodem, który miał dobre dziesięć lat. Ale kuzyn Izaak był silnym

człowiekiem. I pewnym siebie. Z bujną ciemną czupryną włosów przeredzających się zaledwie odrobinę na ciemieniu. Kobiety z górnej części stanu mówiły o nim, że bucha z niego typowo męska energia, której brak odczuwają u innych mężczyzn. On ją miał. Widać ją było w sposobie, w jaki chwycił na przykład widelec ze stołu, w jaki rozlewał wino do kieliszków. Świat dał mu, oczywiście, wszystko, czego się po nim spodziewał. Innymi słowy umiał stawiać odpowiednie żądania w odpowiednich momentach. Co z kolei świadczyło o tym, że jego podejście do życia było, metafizycznie rzecz biorąc, prawidłowe. Jednym słowem, że Stary Testament, Talmud i ortodoksyjna pobożność polskich Aszkenazych są źródłem wszelkiej mądrości.

Ale w tym wszystkim musiało być jeszcze coś, myślał doktor Braun. Sukces Izaaka na pewno nie wynikał wyłącznie z jego nabożności. Przypomniawszy sobie błysk białych zębów kuzyna i krzywy uśmiech, który rozjaśniał mu twarz, kiedy żartował. – Walczyłem na wielu frontach – mawiał Izaak mając na myśli łona kobiet. Posługiwał się często lapidarnym, typowo amerykańskim sposobem wyrażania myśli. Znał w Schenectady wszystkie kuchenne schody, które prowadziły prosto do pościeli, rozłożonych ramion i ud mieszkających tam chałupniczek. Parkował swojego Forda T przed domem. Wcześniej, oczywiście, była to bryczka zaprzężona w parę koni. Z wielką satysfakcją opowiadał o tych męskich przygodach.

Opowiadał o Dworze, głupiej smarkuli, która kłękała przed łóżkiem z twarzą w poduszkach i wysadziwszy biały tyłeczek z kępką czarnych włosów krzyczała słabym głosem: „Nein”. Ale bez przekonania.

Kuzyn Mutt nie miał takich anegdot w swoim repertuarze. Ranny w głowę pod Iwo Jima, spędził rok w szpitalu wojskowym, po czym powrócił do domu i zajął się sprzedażą wyrobów firm Zenith, Motorola i Westinghouse. Ożenił się z przyzwoitą dziewczyną i żył spokojnie nie zważając na oszałamiający rozwój rodzinnych stron i zmiany, jakie tam zachodziły. W parku, gdzie jako chłopiec grywał w piłkę i gdzie trener wytypował go na zawodowca tuż przed powołaniem go do wojska, był teraz ośrodek komputerowy. Wszystkie ważniejsze sprawy Mutt omawiał z Tiną. Robił, co mu kazała. A Izaak pomagał mu, jak tylko mógł, i z reguły kupował wyposażenie kuchenne do mieszkań w swoich osiedlach za jego pośrednictwem. Ale z każdym poważnym problemem Mutt szedł do siostry. Na przykład, jego żona i siostra żony grywały na wyścigach. Korzystały z każdej okazji, żeby pojechać do Saratogi na wyścigi kłusaków. Nie było w tym nic złego. Dwie siostry w prześlicznych sukniach i z wesołą, jasną szminką na ustach. Zawsze roześmiane, zawsze ukazujące te swoje białe, lekko wystające zęby. Jadące w sportowym samochodzie z otwartym dachem.

Tina wykazała się w tej sprawie dużą tolerancją.

Czemuż nie miałyby jeździć na wyścigi? Całą swoją złość skupiała na Braunie-milionerze.

– Dziwkarz – mówiła o nim.

– Ależ skąd. On tego już od lat nie robi – odpowiadał Mutt.

– Daj mi spokój. Już ja dobrze wiem, z kim on się teraz kurwi. Pilnie obserwuję pobożnych Żydów. Możesz mi wierzyć. A teraz słyszę, że gubernator powołał go do jakiejś komisji. Nie wiesz, o co chodzi?

– Coś z zanieczyszczeniem.

– Zanieczyszczenie wód. Naturalnie. Kumpel Rockefellera.

– Nie mów o nim tak, Tina. Jest przecież naszym bratem.

– Dużo mu na tobie zależy.

– Owszem, zależy mu.

– Multimilioner, a tobie pozwala tkwić w takim nędznym interesie. On nie ma serca. To jest człowiek pozbawiony wszelkich uczuć.

– Nic podobnego.

– Tak? A ja ci powiem, że on nigdy nie uronił jednej łzy, chyba że mu wiatr powiał w oczy.

Tina łatwo wpadała w przesadę. Była to jej największa wada. Ale oni wszyscy byli właściwie tacy. Odziedziczyli to po matce.

Poza tym Tina była po prostu ponurą, otyłą kobietą o włosach surowo zaczesanych do góry i tak mocno ściągniętych, że linia ich zarostu na czole rysowała się ostro niczym zaporą. Była bezwzględna. I to nie tylko w stosunku do innych, ale i do samej siebie. Całe jej gigantyczne ciało buchało despotyzmem. Ściśnięte białą materią sukni. Pierścionek odebrany zmarłej matce wrzynał jej się w palec – rezultat „puczu” w sypialni.

Doktor Braun poświęcił swoje popołudnie dość wątpliwej przyjemności, jaką jest życzliwe wspomnienie zmarłych członków najbliższej rodziny. Tina była staroświecka, ale mimo to chętnie posługiwała się nowoczesnym slangiem. Ludzie z jej sfer – i to nie tylko kobiety – starali się być czarujący. Jednakże Tina postanowiła nigdy się o nic nie ubiegać, nie wdzięczyc się do nikogo. Nigdy i absolutnie w żadnej sprawie. Nigdy też nie próbowała sobie kogoś zjednać. Jej celem było chyba osiągnięcie majestatyczności. Jak sobie to wyobrażała? Nie była specjalnie inteligentna. Działała pod wpływem instynktu. Pierwotnego, ale rozbudowanego do niebywałych rozmiarów. Rozdętego na podobieństwo jej ciała wtłoczonego w białą jedwabną suknię, w jakiej kuzyn Braun widział ją po raz ostatni, przed kilkoma laty. Jakaś podrzędna komórka osobowości

ukryta za małymi drzwiczkami prowadzącymi do tej części mózgu, w której nieustannie kłębiły się jej niespokojne myśli, kazała temu kolosalnemu, babskiemu cielsku ujawniać się – w całości – wraz z czarnym zarostem na ramionach, rozdętymi chrapami wydatnego nosa sterczącego w jej bladej twarzy i wyłupiastymi, ciemnymi oczami. Oczami, które przeważnie miały obrażony wyraz, czasami żółkły jak fosfor, a czasami robiły nawet wrażenie mądrych. Umiała nimi wyrażać najrozmaitsze uczucia, nie wyłączając dobroci, którą mogła mieć po wuju Braunie. Cóż to był za przemiły staruszek. Ci, którzy próbują zgłębić postawy ludzkie po wyrazie oczu, narażeni są na różne niespodzianki, na ogromne nieraz kłopoty.

Spór Tiny z Izaakiem trwał przez wiele lat. Ona oskarżała go o to, że odsunął rodzinę, kiedy trafiła się prawdziwa szansa na zrobienie majątku. Że nie chciał, żeby się wzbogacili. On zaś twierdził, że to oni zawiedli w decydującej chwili. Po pewnym czasie bracia pogodzili się ze sobą. Ale Tina była nieugięta. Nie chciała Izaaka znać. Z początku robiła wszystko, żeby wiedział dokładnie, co o nim myśli. Jest oszustem. Mama pożyczyła mu pieniądze. Nie chciał ich oddać. Dlatego zmuszona była inkasować komorne. Oskarżała go o to, że jest cichym współnikiem znanego szantażysty z Troy, Greka Zaikasa. Twierdziła, że Zaikas krył Izaaka, który był zamieszany w skandal związany z budową stanowego

szpitala. Zaikas wziął wszystko na siebie, w zamian za co Izaak włożył do jego skrytki bankowej 50 000 dolarów. Skrytka Zaikasa znajdowała się w Banku Stuyvesant. Tina twierdziła, że zna nawet jej numer. Izaak nie reagował na te oszczercze plotki, toteż – po pewnym czasie – przestały cyrkulować.

I właśnie wtedy Izaak zaczął cierpieć z powodu nienawiści siostry. Był przecież głową rodziny, najstarszym z żyjących Braunów. Po dwóch czy trzech latach niewidzenia siostry przypomniał sobie nagle, że wuj Braun darzył ją szczególną sympatią. Była jego jedyną córką. Najmłodszym dzieckiem. Ukochaną siostrzyczką swoich braci. Wspomnienia z dzieciństwa rozgrzewały mu serce. Teraz, kiedy on już ma wszystko, mówiła Tina do Mutta, zabawia się w przemalowywanie przeszłości na różowo. A Izaak wspominał z rozrzewnieniem, jak to w 1920 roku ciotka Róża kazała sobie codziennie przywozić mleko prosto od krowy, którą Braunowie trzymali na pastwisku nad rzeką. Cóż to było za przepiękne miejsce. I jak rozkosznie jechało się o zachodzie słońca starym, nakręcanym korbą Fordem przez pola, żeby wydoić krowę, która pasła się nad zieloną wodą. Po drodze dzieci śpiewały piosenki. Dziecięcioletnia zaledwie Tina ważyła chyba ze dwieście funtów, ale miała śliczne kobiece usta – być może, że napór tłuszczu przyśpieszał jej dojrzewanie. Była – nie wiadomo dlaczego – bardziej kobieca jako dziecko, niż w

późniejszych latach. Prawdą jest, że raz – mogła mieć wtedy dziewięć, może dziesięć lat – usiadła niechcący na kocie, który zasnął na bujanym fotelu i zgmiotła go. Ciotka Róża znalazła martwe zwierzątko, kiedy córka wstała z fotela.

– Góra tłuszczu! – wrzasnęła. – Potwór!

Ale nawet tę historię Izaak wspominał teraz z błogim wzruszeniem. A ponieważ nie należał do żadnych stowarzyszeń, nie grał w karty, nigdy nie spędzał wieczorów przy winie, nigdy nie jeździł na Florydę czy do Europy, nigdy nie odwiedzał państwa Izrael, miał mnóstwo czasu na wspomnianie. Dostojne wiązy rosnące dokoła jego domu wzdychały wraz z nim do przeszłości. Wiewiórki też były zapobiegliwe. Kopały dziury w ziemi i robiły zapasy. Pani Izaakowa Braun nie używała makijażu. Z wyjątkiem odrobiny pomadki do ust, kiedy pokazywała się na mieście. Nie miała futra z nurków. Skromne, przytulne foki, owszem. Z dużym futrzanym guzikiem na środku brzucha. Żeby czasami nie marzła, bo Izaak lubił jej ciepłe ciało. Jasna, blada, pulchna, patrzyła na świat spokojnymi, niewinnymi oczami, włosy obcięte miała krótko i symetrycznie. Jasnobrązowe ze złotymi smugami. W jednym z jej szarych oczu czaiło się coś, co można by uznać za spryt. Ale był to na pewno spryt nieświadomiony. W każdym razie nigdy – w najmniejszym nawet stopniu – nie przeciwstawiała się w niczym mężowi, nigdy go nie krytykowała. Izaak był

panem w swoim domu. Gotowanie, pieczenie, pranie – wszelkie w ogóle czynności gospodarskie – musiały być na poziomie. Jeżeli nie podobał mu się zapach sprzątaczk, odprawiano ją. Prowadzili życie dostatnie, proste, pełne godności i tradycji opartej na pewnym wschodnioeuropejskim modelu, który Hitler i Stalin zmiotli z powierzchni ziemi w 1939 roku. Ci dwaj panowie doprowadzili do całkowitego zniszczenia istniejącego porządku społecznego, a także do pełnego zrealizowania pewnych nowoczesnych koncepcji. Nie jest wykluczone, że dwuznaczny wyraz jednego z oczu kuzynki Sylwii wynikał stąd, że powstrzymywała się od jakichkolwiek komentarzy historiozoficznych. Ale Sylwia jako kobieta – rozważał doktor Braun – silniej zapewne odczuwała brzemie nowoczesności. Jej mąż był multimilionerem. Ale gdzie było życie, jakie ten fakt powinien być uwarunkować? Gdzie domy, służba, stroje, samochody? Na ojcowskiej farmie Sylwia obsługiwała maszyny. Jako żona Izaaka musiała nawet zapomnieć, jak się prowadzi samochód. Była kobietą uległą i szalenie sympatyczną i spędzała swoje dni w kuchni piekąc ciasto biszkoptowe i siekając wątróbkę, tak jak kiedyś czyniła to matka Izaaka. A raczej, co powinna była czynić. Sylwia nie miała ani płonącej twarzy tej kobiety, ani jej groźnych, zrosniętych brwi, ani jej wydatnego nosa, ani grubego koka leżącego jak maczuga na karku. Nie umiała też kląć jak ciotka Róża.

W Ameryce wyrównywano ludziom krzywdy zadane im przez stary świat. Ten kontynent był przeznaczony do korygowania historii. Ale mimo to, zastanawiał się doktor Braun, nowe udręki zaczęły drążyć ludzkie dusze. Dobra materialne uznawano tu za najwyższą wartość. Ale jakoś sprawy ducha górowały nad wszystkim. Tak musiało być! Ludzie, którzy to stwierdzali, mieli rację.

Myśli kuzyna Izaaka: pajęcza sieć skomplikowanych rozważań na temat kalkulacji fasad, elewacji, fundamentów, hipotek i obrotu pieniędzmi. A ponieważ był – do tego wszystkiego – silnym, jurnym, młodym mężczyzną, co mu zresztą w dużej mierze pozostało (manifestując się w dowcipnych uwagach), jego pobożność zdawała się raczej powierzchowna, czymś w rodzaju nadzwyczajnego dodatku. To odmawianie psalmów na placach budowy. „Gdy się przypatruję niebiosom Twoim, dziełu palców Twoich... Cóż jest człowiek, iż nań pamiętasz?” Ale był naprawdę szczery. Przed ważnymi świętami zwalniał się z pracy na całe popołudnie. Kiedy wchodził do domu, jego śliczna żona zarumieniona od buchającego z piekarnika gorąca, podnosiła na niego twarz o iście biblijnym wyrazie – czego się zresztą spodziewał – i mówiła, że idzie na górę, żeby wykapać się i przebrać. Wracał, oczywiście, od grobu rodziców. – Byłem na cmentarzu – mówił.

– O – odzywała się tonem pełnym sympatii i patrzyła na niego jednym pięknym okiem pełnym szczerości.

Podczas gdy przez drugie przebiegał niedostrzegalny niemal błysk chytrłości.

Rodzice Izaaka pochowani byli w gliniastej ziemi. W dwóch skrzyniach. Jedno obok drugiego. Grób porastała jaskrawozielona trawa. Izaak odmawiał modlitwę prosząc Boga o miłosierdzie. Po hebrajsku, z bałtyckim akcentem, do którego dzisiejsi Izraelczycy odnoszą się z pogardą. Wrześniowe drzewa, pozółkłe, bo noce były już mroźne, wznosiły korony ku czystemu teraz i błękitnemu niebu, rzucając światło raczej niż cień. Izaak martwił się o swoich rodziców. Jakże im tam było na dole? Nękała go myśl o zimnie, o wilgoci, a szczególnie o robakach. Kiedy nastawała zima, serce ścisnęło mu się z litości dla wuja Brauna i ciotki Róży, chociaż – będąc przedsiębiorcą budowlanym – wiedział, że są pochowani poniżej poziomu zamarzania ziemi. Ale czynnik emocjonalny, jego miłość do nich, brał górę nad zmysłem praktycznym. Wpadał w rozpacz. Może właśnie dlatego, że był budowniczym, specjalistą od budownictwa mieszkaniowego (członkiem nie jednej, ale aż dwóch komisji gubernatora), wiedział, że jego drodzy zmarli wcale nie są zabezpieczeni. Ale Tina – której drogimi zmarłymi ostatecznie także byli – uważała, że Izaak wciąż żeruje na Mamie i Papie i że gdyby mu tylko pozwoliła, to wyzyskiwałby i ją.

Przez kilka lat rozgrywała się między nimi – raz do roku – ta sama scena. Przed Sądnym Dniem należało

odwiedzić zmarłych krewnych, a żyjących prosić o przebaczenie. Toteż – każdego roku – Izaak udawał się do rodzinnego domu. Parkował Cadillaka pod drzwiami. Z silnie bijącym sercem naciskał dzwonek. Po czym czekał u stóp stromych, wewnętrznych schodów. Niewielki ceglany domek, który był już stary w 1915 roku, kiedy kupił go wuj Braun, należał teraz do Tiny, która próbowała go unowocześnić. Pomysły czerpała z miesięcznika *House Beautiful*. Tapeta, jaką pokryła ściany klatki schodowej, była oczywiście zupełnie nieodpowiednia. Ale nieważne. Na górze Tina otwierała drzwi i widząc męską sylwetkę i przeciętą blizną twarz brata pytała: – O co chodzi?

– Tina! Na litość boską! Przyszedłem się z tobą przeprosić.

– Przeprosić? Przez ciebie straciłam fortunę.

– To nieprawda. Tino, jesteśmy przecież rodzeństwem. Pomyśl o Mamie i Papie. Pamiętasz... ?

– Ja wszystko doskonale pamiętam. Wynoś się, ty skurwysynu.

Zatrząskiwiała drzwi i biegła do telefonu, żeby zadzwonić do brata Aarona.

– Znowu tu był – mówiła zapalając cienkiego, długiego papierosa. – Co za gówniarz! Myśli, że nabierze mnie na te swoje religijne numery.

Mówiła, że nienawidzi go za tę jego ostentacyjną pobożność. Że mogłaby go może nawet strawić, gdyby nie te wygłupy. Gdyby zaproponował jakiś układ. Nawet jakieś oszustwo. Ale te sentymentalne zagrania mierziły ją.

Ona, ona – być może – nawet pachniała jak kobieta, ale postępowała jak mężczyzna. Po odejściu Izaaka, ściśnięta suknią, paląc papierosa za papierosem, podczas gdy z radia płynęły dźwięki jakiejś sentymentalnej muzyczki, wpadała w szal. Zaczynały nią targać gwałtowne uczucia. Co jej się poza tym nigdy prawie nie zdarzało. Klęła Izaaka, myślał doktor Braun, ale przecież zawdzięczała mu niemało. Ciotka Róża, ta koszmarna poetka mamony, pozostawiła córce w spadku ogromne aspiracje! Och, jakie ogromne! Spokojne, dostatnie, mieszczańskie życie (mąż, córka, meble) bynajmniej ich nie zaspokajały.

Toteż kiedy Izaak mówił żonie, że wraca od grobu rodziców, wiedziała, że znowu był u Tiny. Że tradycyjna scena powtórzyła się. Izaak głosem i gestami, które należały do historii, a już na pewno nie były na miejscu w górnej części wysoko uprzemysłowionego stanu Nowy Jork, zwracał się do siostry powołując się na Pana Boga, na dusze ukochanych zmarłych i błagał ją o wybaczenie. Ale Tina – stojąc na szczycie schodów – wrzeszczała: – Nigdy, ty skurwysynu! Nigdy! – I Izaak odchodził z niczym.

Wracił do domu po pociechę, a później – ze zranionym sercem – szedł do synagogi. Religijny przywódca swojej kongregacji przygnieciony cierpieniem. Bił się w piersi tradycyjnym gestem pokutników. Nowe obyczaje nakazywały wstrzemięźliwość w okazywaniu uczuć. Anglosaską wstrzemięźliwość. Rabin o manierach charakteryzujących raczej pracowników firm reklamowych z Madison Avenue, niechętnym okiem patrzył na typowe dla europejskich Żydów operowe gesty. Na ich łązy. Kantorowi kazał śpiewać nieco mniej dramatycznie. Ale Izaak Braun stawał pod samą arką, nakrywał głowę szalem do modlitwy – białym w czarne paski, zakończonym postrzępioną frędzlą – i płakał.

Coroczne wizyty u Tiny trwały aż do jej choroby. Kiedy zawieziono ją do szpitala, Izaak zadzwonił do doktora Brauna i prosił go, żeby zorientował się, jak jest ze zdrowiem siostry.

– Przecież nie jestem doktorem medycyny.

– Jesteś naukowcem i na pewno lepiej się zorientujesz.

Ale do tego niepotrzebny był fachowiec. Tina umierała na raka wątroby. Spróbowano naświetlać ją kobaltem. Zastosowano chemoterapię. Na jedno i na drugie reagowała bardzo niedobrze. Doktor Braun powiedział do Izaaka: – Jej stan jest beznadziejny.

– Wiem.

– Byłeś u niej?

– Nie. Wiem wszystko od Mutta.

Izaak poprosił Mutta, żeby zapytał Tinę, czy pozwoli mu przyjść do szpitala.

Odmówiła.

Mutt, człowiek niezbyt urodziwy, ale delikatny, o smagłych obwisłych policzkach i psich oczach prosił siostrę serdecznie: – Pozwól mu przyjść, Tina.

Ale Tina odpowiedziała: – Nie. Po co md to? On ma ochotę odegrać dużą, żydowską scenę przy łożu umierającej siostry. Mowy nie ma.

– Zastanów się, Tina.

– Nie! – krzyknęła i dodała: – Nienawidzę go. – Po to chyba, żeby Mutt zrozumiał, że nie zmieni zdania. Trochę później powiedziała jeszcze, ale już ciszej: – Nic na to nie poradzę.

Mimo to Izaak codziennie dzwonił do Mutta.

– Ja muszę zobaczyć moją siostrę.

– Nie mogę jej na to namówić.

– Przemów do niej. Czy ona nie wie, co się należy? Izaak zadzwonił nawet do Fenstera, chociaż nie miał zaufania do inteligencji szwagra. Fenster odpowiedział: –

Ona, jak wiesz, uważa, że zrobiłeś wielkie świństwo całej rodzinie.

– Ja? To ona w ostatniej chwili przestraszyła się i wycofała z interesu. Musiałem sobie sam dać radę.

– Ale jej zdaniem po prostu chciałeś się nas pozbyć.

Szczerze, z naiwnością biblijnego prostaczka (za jakiego uważał go Izaak, z czego szwagier zdawał sobie sprawę) Fenster dodał: – Woląłeś zagarnąć wszystko dla siebie.

Izaak nie był tak naiwny, żeby spodziewać się, że rodzina nie będzie mu zazdrościła majątku. Tak dobrze z ludźmi nie ma, powiedział kiedyś – znacznie później – do doktora Brauna. A był bardzo bogaty. Nikt nie wiedział, ile ma pieniędzy. Nie mówił o tym. Dla rodziny była to też tajemnica. Starzy ludzie twierdzili: – On sam nawet nie wie, ile jest wart.

W tej samej rozmowie Izaak zwierzył się doktorowi Braunowi: – Nigdy nie potrafiłem jej zrozumieć.

Był głęboko przejęty tym, że od śmierci Tiny upłynął już rok.

Kuzynka Tina odkryła, że można się wyzwolić ze starych więzów obyczajowych. Że z chwilą, kiedy odmówiła zaspokojenia dojmującej potrzeby Izaaka – który koniecznie chciał przed śmiercią siostry zobaczyć ją

po raz ostatni – wszystko przeniosło się na inny, wyższy szczebel świadomości, co było może bolesne, ale za to bardziej autentyczne. Ze swojego szpitalnego łóżka Tina zdawała się kierować eksperymentem.

– Pozwól mu jednak przyjść na chwilę – próbował przekonać ją Mutt.

– Dlatego, że umieram?

Mutt, brzydki, ciemny, spojrzał na nią czarnymi pustymi oczami i przez dobrą chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Ludzie wracają do zdrowia – powiedział wreszcie.

– Tym razem nic z tego nie będzie – odparła tak, jakby było to jej zupełnie obojętne.

Miała zapadnięte policzki i wyдуты brzuch. Nogi w kostkach silnie spuchnięte. Znała te symptomy z obserwacji innych chorych i wiedziała, o czym świadczą.

– On dzwoni do mnie dzień w dzień – upierał się Mutt.

Tina kazała sobie zrobić manicure. Polakierować paznokcie na ciemnoczerwony, prawie brązowy kolor. Widać obudziła się w niej jakoś dziwna potrzeba, a może nawet kokieteria. Pierścionek odebrany matce był dla niej teraz za luźny i przekręcał się na palcu. Siedziała oparta na kilku poduszkach – co może sprawiało jej chwilową ulgę – z założonymi na piersi rękami i szczypała koronkę,

którą przybrana była lizeska.

– Powiedz mu ode mnie, że pozwolę mu przyjść, owszem, ale że to go będzie kosztowało.

– Kosztowało?

– Tak, wpuszczę go, jeżeli mi zapłaci dwadzieścia tysięcy dolarów.

– Tino, to niemożliwe.

– Dlaczego nie? Dam to córce. Przyda jej się.

– Po co jej te pieniądze? – Mutt wiedział doskonale, ile pozostało jeszcze ze spadku po ciotce Róży. – Będzie całkiem zamożna. Dobrze o tym wiesz.

– Jeżeli koniecznie chce przyjść, to taka jest cena wstępu – mruknęła Tina. – To tylko drobna część sumy, na jaką nas nabrał.

– Mnie nie nabrał – zauważył Mutt spokojnie.

Miał w twarzy coś z przebiegłości Braunów, ale nigdy nie posługiwał się nią. I to nie dlatego, że został ranny na Pacyfiku. Zawsze taki był. Napisał do Izaaka na papierze listowym z nadrukiem: „Zmechanizowany sprzęt gospodarstwa domowego. Braun, 42 Clinton Street” przekazując mu słowa Tiny. Sformułował list niczym propozycję handlową. Bez słowa komentarza. Nawet się nie podpisał. „Tina zgadza się, ale żąda doi. 20. 000. W

przeciwnym wypadku nic z tego nie będzie".

Zdaniem doktora Brauna wykorzystywała silną pozycję, w jakiej stawiała ją zbliżająca się śmierć, żeby stworzyć sytuację operową. I groteskową zarazem. Kpina działa na zasadzie sprzężenia zwrotnego, zastanawiał się doktor Braun. Śmierć – ten upiorny narzeczony – czekała na Tinę przyrzekając jej spełnienie wszystkiego, czego nie dało jej życie. Toteż ceniła je coraz mniej wypełniając pozostające jej jeszcze jasne chwile (które powinny być domeną piękna, cudu, szlachetności) swoją koszmarną tuszą, zawziętością, porażką, samoudręką.

W dniu, w którym Izaak dowiedział się o żądaniu Tiny, Komisja do Spraw Zanieczyszczenia Środowiska, której był jednym z pięciu członków, miała odbyć podróż inspekcyjną po Hudsonie statkiem należącym do Departamentu Lasów i Dróg Wodnych. Panowie mieli popłynąć na południe do Germantown. Tam, gdzie rzeka rozlewa się tak szeroko, że wydaje się mieć co najmniej milę. Mieli powrócić do Albany pod wieczór. Izaak usiłował skłonić Komisję do zmiany daty inspekcji. Miał tyle spraw do przemyślenia, był tak skłopotany. Jego stan doktor Braun określił jako „przestresowanie”. Określenie to wydało mu się najtrafniejsze. Żona skłoniła go do włożenia jasnego ubrania i nakrycia głowy słomkowym kapeluszem. Stał przy burcie, przechylił się i zacisnął obie ręce na brunatnej poręczy o mosiężnych spojeniach. Oddychał ciężko zaciskając przy tym mocno zęby. Na

szy i pod kolanami czuł gwałtowne pulsowanie krwi, a w głowie silny szum, poprzez który słyszał – jak gdyby jednym tylko uchem – świst powietrza i plusk wielkiej wody. Dwaj młodzi profesorowie z politechniki Rensselaera wygłosili referaty na temat geologii i fauny górnych obszarów doliny Hudsonu i występujących tam problemów gospodarczych i społecznych. Rzeki Hudson i Mohawk były systematycznie zatrutowane przez położone wzdłuż brzegów miasta, które wpuszczały nieczystości do wód przy pomocy wielkich rur. Jeden z profesorów – rudy, o zniszczonych zębach – użył słowa kloaka. Miał usta pełne metalowych plomb i mostków. Fajką wskazywał kępy żółtego łąjna na powierzchni rzeki, miasta wlewające w nią swoje brudy. Jak temu zaradzić? Są różne możliwości. Wiele prowadzi się na ten temat dyskusji. Można by zbudować oczyszczalnię. Ewentualnie zastosować energię atomową. Na koniec profesor przedstawił Komisji bardzo przemyślny projekt polegający na zakopywaniu odpadów na głębokości kilku tysięcy stóp pod powierzchnią ziemi. Ale nawet gdyby już dziś przestano zanieczyszczać rzekę, musiałoby minąć pięćdziesiąt lat, zanim powróciłaby do pierwotnego stanu. Ryby opierały się bardzo długo, ale w końcu porzuciły tradycyjne miejsca składania ikry. Pozostał tylko jeden gatunek żywiących się padliną węgorzy. Ale pomimo kopczyków łąjna, pomimo kotłujących się pod jej powierzchnią drapieżnych węgorzy, rzeka wciąż płynęła, potężna i błękitna.

Jeden z członków Komisji gubernatora wydał się Izaakowi znajomy. Miał długą twarz, wysokie czoło, usta jak zasuw, zapadnięte policzki, krzywy kościsty nos, rzadkie włosy. Izaak, który myślał wyłącznie o Tinie, nie dosłyszał jego nazwiska. Ale kiedy przejrzał teczkę przygotowaną przez urzędników, zorientował się, że jest to Ilkington Junior. Spokojny, sympatyczny stał pod mostkiem przyglądając się Izaakowi z wielkim zainteresowaniem. Nogawki jego przydługich spodni trzepotały na wietrze. Opierał się silnie o barierę.

Widocznie znał sprawę tych stu tysięcy dolarów.

– Miałem chyba przyjemność znać pańskiego ojca – zagadnął go Izaak bardzo cichym głosem.

– O tak, z pewnością – odparł Ilkington. Był zbyt szczupły w stosunku do swojego wzrostu. Miał mocno naciągniętą skórę na policzkach, skronie lekko błyszczące od potu, mnóstwo czerwonych plam na twarzy. Popękane naczynia.

– Mój ojciec ma się wcale nieźle.

– Cieszę się.

– Trzyma się dobrze, chociaż często choruje. Miał mnóstwo różnych przykrości. Zapewne słyszał pan o tym.

– Nie. Nie wiem.

– No tak, zainwestował w budowę hoteli w Nassau i

stracił wszystko.

- Wszystko?
- Wszystko, co trzymał w banku.
- Przykro mi.
- Na szczęście miał inne lokaty.
- Tak?
- Oczywiście.
- Rozumiem. To bardzo dobrze.
- Starczy mu tego do końca życia.

Uprzejmość syna Ilkingtona i fakt, że powiedział mu o ojcu, ucieszyły Izaaka. Ten człowiek doskonale wiedział, ile Izaak zarobił na transakcji z jego ojcem, ale nie był o to zazdrosny i traktował go z szacunkiem. Za co Izaak był mu wdzięczny i chętnie by mu to okazał. Ale zwyczaje tych ludzi nakazywały wyrażać uczucia bez słów. W milczeniu, którego mądrość Izaak zaczynał – tak mu się przynajmniej zdawało – doceniać. Tę – ich, jakże odmienną mądrość gojów, którzy mieli mnóstwo do powiedzenia, ale woleli zachować milczenie. Ale kim był właściwie Ilkington Junior? Izaak zajrzał ponownie do teczki i znalazł w niej szkice biograficzne członków Komisji. Ilkington był jednym z dyrektorów znanego towarzystwa asekuracyjnego. Członkiem licznych komisji

rządowych. Z takim człowiekiem na pewno można by porozmawiać o Tinie. No tak, ale chyba w niebie. Na ziemi ci ludzie nie podejmują takich dyskusji. Zadowolają się milczącym wchłanianiem wrażeń. Nie przekazują swoich poglądów, wolą milczeć życzliwie. Im więcej mają do powiedzenia, tym trudniej jest im się wypowiadać.

– Jak pan będzie pisał do ojca, proszę go ode mnie pozdrowić.

Miasta i osiedla położone wzdłuż rzeki, mówił profesor, nie chcą wydawać pieniędzy na instalowanie filtrów. Będzie to musiał robić rząd federalny. Tak być powinno, zgodził się z nim Izaak, ostatecznie Waszyngton inkasował miliardy dolarów w postaci podatków, a władzom terenowym pozostawały tylko nędzne grosze. Toteż odprowadzano ekskrementy do rzek i jezior. Izaak, który stawiał swoje domy wzdłuż brzegów rzeki Mohawk, zawsze uważał to za rzecz naturalną. Budował tandetne osiedla i był z nich bardzo dumny... przynajmniej do tej pory.

Kiedy statek przybił do brzegu, Izaak wyszedł na ląd. Urzędnik z wydziału gospodarki wodnej wyciągnął z rzeki węgorza, żeby pokazać go członkom Komisji. Ryba wiała się na deskach pokładu usiłując dostać się z powrotem do wody. Zdzierała sobie skórę z grzbietu. Łuski stanęły jej dęba. Trefna! Pokryta czarnym śluzem

ryba z groźnie rozwartym pyskiem.

Wiatr opadł, szeroka rzeka cuchnęła. Izaak pojechał do domu klimatyzowanym Cadillakiem.

– No i jak było? – zapytała go żona.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Postanowiłeś coś w sprawie Tiny?

Izaak milczał.

Jako że dobrze znała męża i widziała, jaki jest wzburzony, pomyślała sobie, że na pewno pojedzie po radę do Nowego Jorku. Powiedziała to później doktorowi Braunowi, który nie miał powodu nie wierzyć jej. Mądre żony przewidują postępowanie mężów. I wybaczą im łatwość, z jaką ich rozszyfrowują.

Izaak miał rabina w Williamsburgu. Był przecież głęboko religijnym człowiekiem. Samolotami nie latał. Wykupił przedział w pociągu linii Twentieth Century, który odchodził z Albany o świcie. Było akurat dość jasno na to, żeby przez skraplającą się szarość nadchodzącego dnia widzieć rzekę. Tylko jej zachodni brzeg nie był jeszcze widoczny. Otulony chmurami dymu i pary tankowiec sunął po tłustej wodzie. Po chwili na horyzoncie ukazały się góry.

Zamierzano wkrótce wycofać ten pociąg z rozkładu jazdy. Dywany miał brudne, śmierdzące toalety. W

wagonie restauracyjnym podawali niechlujni kelnerzy. Izaak zamówił sobie kawę i grzanki, zapach szynki i bekonu wyrzucił z siebie wraz z oddechem. Siedział przy stoliku w kapeluszu na głowie. Autentyczny przedstawiciel swojej rasy, stwierdził w duchu doktor Braun, z grupą krwi typową dla ludzi ze wschodniej części basenu Morza Śródziemnego. Nawet jego odciski palców miały charakterystyczny wzór. Nos jego był długi, oczy wąskie i głębokie, cera śniada, policzek przecięty – jeszcze w dawnych czasach – tuż przy kąciu ust skalpelem rosyjskiego lekarza. Izaak wpatrywał się – kiedy pędem mijali Rhinecliff – w jakże dobrze mu znany z setek takich podróży widok. Patrzył na wielką wodę, rozłożyste drzewa, na cały ten połyskliwy krajobraz. Siedział w swoim przedziale, którego drzwi rytmicznie klekotały, wbity w wyszmelcowaną kanapkę, w przymusowej bezczynności. Za oknem mignął stary arsenał, wyspa Bannermana z zabawnym zameczkiem otoczonym żółtozielonymi wierzbami. Powierzchnia wody iskrzyła się, była równie zielona jak w 1910. Taką pamiętał ją on, Izaak, jeden z czterdziestu milionów emigrantów, którzy przybyli do Ameryki. Przypomniawszy sobie stalowe szyny – takie, jakimi były wtedy – wartkie prądy na rzece, zaokrąglony szczyt góry, stromą skałę okalającą daleki brzeg rozszerzającej się w tym miejscu rzeki.

Na dworcu Grand Central zszedł od razu do kolejki

podziemnej. Dźwigał teczkę, w której miał wszystko, co było mu potrzebne. Długo czekał w przedpokoju, po którym bezustannie kręcili się brodaci uczniowie rabina ubrani w długie płaszcze. Mimo że Izaak miał na sobie zwykłe ubranie, robił wrażenie postaci nie mniej archaicznej niż oni. Goła podłoga. Krzesła proste, drewniane, białe, cętkowane ściany. Ale okna były brudne, tak jak gdyby to, co na zewnątrz, nie liczyło się. Wielu z tych ludzi przeżyło niemieckie obozy koncentracyjne. Sam rabin – jeszcze jako dziecko – spędził kilka lat w którymś z nich. Po wojnie mieszkał przez pewien czas w Holandii, potem w Belgii, wreszcie we Francji, gdzie studiował. W Montpellier. Biochemię. Ale poczuł powołanie – i został powołany – do pełnienia obowiązków duszpasterskich w Nowym Jorku. Izaak nie wiedział dokładnie, jak to się stało.

Teraz rabin miał długą brodę. Siedział w swoim gabinecie za niewielkim stolikiem, na którym leżały kawał zielonej tektury, pióro i kartki papieru. Rozmowa toczyła się w żargonie – w jiddisz.

– Nazywam się Izaak Braun.

– Z Albany. Owszem. Pamiętam.

– Jestem najstarszym z czworga rodzeństwa – moja siostra, najmłodsza z nas wszystkich, „muzinka”, umiera.

– Czy to jest pewne?

– Ma raka wątroby i bardzo cierpi.

– No tak. To jest rzeczywiście beznadziejne.

Duża blada twarz rabina okolona była gęstą, gładką brodą. Był to doskonale zbudowany młody człowiek. Jego muskularne ciało rozpiętało błyszczącą materię zapiętej na duże guziki kapoty.

– Zaraz po wojnie trafił się nam doskonały interes. Oferowano nam bardzo dobry teren pod zabudowę. Zaproponowałem braciom i siostrze, żebyśmy to na spółkę sfinansowali. Ale w dniu...

Rabin słuchał bardzo uważnie, z białą twarzą uniesioną ku górze i oczami wbitymi w kąt sufitu, z rękami przyciśniętymi do piersi.

– Rozumiem. Wyciągnąłeś do nich tego dnia dłoń, a oni cię zawiedli.

– Oni mnie zostawili na lodzie.

– Ale w końcu wyszło ci to na dobre. Zawiedli cię i dzięki temu jesteś teraz bogatym człowiekiem. Nie musiałeś się z nimi dzielić zyskami.

Izaak przyznał rabinowi rację, ale dodał: – Gdyby ta transakcja przepadła, znalazłaby się inna.

– Uważasz więc, że tak czy inaczej zrobiłbyś majątek?

– Naturalnie. Tyle było okazji.

– Twoja siostra, biedaczka, jest twarda. I nie ma racji. Jej żal do ciebie jest nieuzasadniony.

– Cieszę się, że rabin tak uważa – powiedział Izaak, ale były to tylko słowa. Nie cieszył się. Cierpiał.

– Twoja siostra nie żyje w biedzie?

– Nie. Odziedziczyła sporo pieniędzy. Jej mąż nieźle zarabia. Chociaż przypuszczam, że wykosztowali się na tę długą chorobę.

– No tak, to są straszne choroby. Ale żywi muszą iść naprzód. Mówię o Żydach. Chciano nas zniszczyć. Gdybyśmy się poddali, oznaczałoby to, że odwracamy się od Boga. Ale wróćmy do twojego problemu. Czy nie myślałeś o swoim bracie Aaronie? To przecież on namówił ich, żeby się wycofali z interesu.

– Wiem.

– Jemu zależy na tym, żeby siostra gniewała się na ciebie, a nie na niego.

– Oczywiście.

– On jest winny. On grzeszy przeciwko tobie. Ten drugi brat to dobry człowiek.

– Mutt? O tak. Jest bardzo poczciwy. O mały włos nie zginął na wojnie. Był ranny w głowę.

– Ale teraz jest w porządku.

– Chyba tak.

– No, bo czasami taki postrzał w głowę... Różne to może mieć skutki...

Rabin zamilkł i obrócił ku Izaakowi swoją okrągłą twarz, jego spiczasta czarna broda załamywała się na błyszczącym wyłogu kapoty. Ale kiedy Izaak zaczął rozwodzić się nad tym, jak to w przeddzień wielkiego święta próbował odwiedzić Tinę, rabin zaczął się niecierpliwić. Wysunął głowę naprzód i oczami wodził to w jedną, to w drugą stronę.

– No tak, tak – mruknął i dodał, że Izaak oczywiście postąpił, jak należy.

– Jesteś bardzo bogaty. Ona ma ci to za złe. To oczywisty nonsens. Ale co zrobić, kiedy ona to tak odczuwa. Jesteś mężczyzną. Twoja siostra tylko kobietą. Poza tym jesteś bardzo zamożnym człowiekiem.

– Ależ, proszę rabina. Ona umiera. Chciałbym ją zobaczyć.

– Rozumiem. A co stoi na przeszkodzie?

– Ona chce, żebym jej za to zapłacił.

– Aha. Rozumiem. Żąda pieniędzy.

– Dwadzieścia tysięcy dolarów. Za wstęp do swojego pokoju.

Krzepki rabin siedział bez ruchu. Białe palce zacisnął na poręczy fotela.

– Czy ona zdaje sobie sprawę z tego, że umiera? – zapytał.

– Tak.

– No, tak. Żydzi lubią sobie stroić żarty ze śmierci. Sam znam wiele dowcipów na ten temat. No cóż. Ameryka nie zmieniła nas jeszcze tak do końca, nieprawda? Ludzie wychodzą z założenia, że Pan Bóg ma poczucie humoru. Takie figle, płatane przez przerażonych ludzi znajdujących się w obliczu śmierci, świadczą o twardej i odważnej duszy, ale i o sceptycyzmie. Jaka ona jest, ta twoja siostra?

– Jest duża. Otyła.

– Rozumiem. Bardzo tęga kobieta. Góra tłuszczu z dwojgiem oczu, jak dawniej mawiano. Wpatrzonych w szczęściarzy, którzy są normalni. Jak zwierzę z klatki, co? Odseparowana. Przez niepohamowane łakomstwo i rozpacz. Z tłustymi dziećmi też tak bywa. W ich obecności ludzie zachowują się, jak gdyby ich w ogóle nie było. Toteż dziwne bywają losy tych małych potworków. Bo one widzą ludzi takimi, jakimi są, kiedy nikt na nich nie patrzy. Ponura jest to wizja rodzaju ludzkiego.

Izaak szanował rabina. Czczył go nawet, myślał doktor Braun. Ale był on – być może – zbyt dla niego

nowoczesny, mimo kapelusza, brody i kapoty. Miał gesty, intonację, rubaszny sposób bycia i spokojne, uniwersalistyczne podejście do zagadnień, charakterystyczne dla żydowskich autorytetów moralnych. To powinno było każdego zadowolić. Ale było w nim jednocześnie coś obcego. To znaczy, nowoczesnego. Od czasu do czasu górę brał w nim student biochemii z Montpellier. Po angielsku mówił prawdopodobnie z francuskim akcentem, podczas gdy kuzyn Izaak miał typowy akcent ludzi z północnej części stanu Nowy Jork. Po żydowsku obaj mówili tym samym dialektem białoruskim. Okolice Mińska, bagna Prypeci, myślał doktor Braun. I zaraz przypomniał mu się znowu rybołów siedzący na gałęzi brunatnobiałego płatana nad rzeką Mohawk. Wśród tych świeżo przybyłych ptaków, łuszczaków, drozdów znajdował się również kuzyn Izaak, tyle że na jego skrzydłach więcej było łuski niż pierza. Egzemplarz bardziej archaiczny, o czym świadczyć mogły chociażby jego ciemne, wyraziste oczy i silnie umięśniona szczeka. Nawet blizna na policzku Izaaka droga była sercu doktora Brauna. Znał tego człowieka doskonale. Wspominał go z rozrzewnieniem. Ich wszystkich zresztą, bo żadne z nich już nie żyło. Niepotrzebna to była miłość.

– Możesz sobie pozwolić na ten wydatek? – zapytał rabin, a kiedy Izaak zawahał się, dodał: – Nie pytam o to, ile masz pieniędzy. To nie moja sprawa. Ale powiedz mi, czy stać cię na to, żeby dać jej te dwadzieścia tysięcy?

– Jeżeli to konieczne – powiedział Izaak głosem pełnym udreki.

– Innymi słowy, nie zrobiliby ci to większej różnicy?

– Nie.

– W takim razie, dlaczego nie chcesz jej zapłacić?

– Więc rabin uważa, że powinienem to zrobić?

– Nie mogę cię namawiać na tak duży wydatek, ale przecież ryzykowałeś większe sumy, spekulowałeś, zaufałeś temu gojowi.

– Ilkingtonowi? To było normalne handlowe ryzyko. Ale Tina? Jednym słowem, rabin uważa, że powinienem jej dać te pieniądze.

– Ustąp jej. Wydaje mi się – sądząc siostrę po bracie – że innego wyjścia nie ma.

Izaak podziękował rabinowi za wizytę i radę. Wyszedł na jasną, cuchnącą ekskrementami ulicę. Kiepsko otynkowane rudery podobne do starych szkap o zapadłych grzbietach, pokryte licznymi warstwami brudu, wyglądały, jakby je sklecono nie z cegieł, ale ze starych kapci. Obserwacja typowa dla przedsiębiorcy budowlanego. W powietrzu unosił się sfermentowany zapach prażonego cukru i palonej kawy, ale letni wiaterek rozwiewał go szybko, szczególnie spod estakady, przez którą przewalały się wielkie ciężarówki. Izaak zaczął się

rozglądać za wejściem do kolejki podziemnej, ale spostrzegł żółtą taksówkę z zapalonym światłem na dachu. Najpierw rzucił kierowcy: – Dworzec Centralny – ale już na pierwszym skrzyżowaniu zmienił zdanie i powiedział: – Proszę mnie zawieźć na dworzec lotniczy. – Przypomniawszy sobie, że pierwszy pociąg do Albany rusza dopiero późnym popołudniem. Nie chciało mu się czekać na Czterdziestej drugiej ulicy. W każdym razie nie dzisiaj. Chyba od początku wiedział, że zmuszony będzie dać Tinie te pieniądze. Pojechał do rabina tylko po to, żeby dodać sobie sił. Wprawdzie stara prawda i rozsądek były po jego stronie. Tina – na łożu śmierci – posunęła się za daleko. Gdyby jej odmówił, nikt nie mógłby mieć do niego pretensji. Ale on sam nigdy by sobie tego nie darował. Robiłby sobie straszne wyrzuty. Bo w końcu łatwo mu teraz przychodziły pieniądze. Zarabiał na kupnie i sprzedaży miejskich terenów budowlanych. Gdyby cena Tiny opiewała na 50. 000 dolarów, oznaczałoby to – w jej języku – że już się więcej nie zobaczą. Ale 20. 000 dolarów – wybór tej sumy był bardzo chytry. Niepotrzebnie poszedł po radę do rabina. Decyzja była wyłącznie w jego ręku.

Z chwilą kiedy Izaak postanowił skapitulować, ogarnęło go poczucie bezgranicznej wprost lekkomyślności. Nigdy jeszcze nie latał samolotem. Najwyższy czas, żeby to zrobić. Wszyscy w gruncie rzeczy żyli już dostatecznie długo. Izaak – w taksówce

przebijającej się z wolna przez tłum wyległych na przerwę obiadową urzędników – stwierdził, że na świecie żyje stanowczo zbyt wiele ludzi.

Kiedy już siedział w autobusie linii lotniczej, otworzył odziedziczony po ojcu psalterz. Czarne hebrajskie litery rozdziawiały pyski, z których zwisały albo sterczały w górę czerwone, ale nieme jęzory. Usiłował się skupić, bezskutecznie. Tunel, potem bagna, szkielety rozbitych samochodów, bebechy maszyn, wysypiska śmieci, mewy, rozedrgana od upału sylwetka Newarku – wszystko to przykuwało jego uwagę. Przyglądał się temu, jak gdyby nie był Izaakiem Braunem, ale człowiekiem robiącym fotografie. Potem, w odrzutowcu pędzącym ze stężoną siłą po pasie startowym, by nabrać rozpędu do oderwania się od magnetyzmu ziemi, do wzniesienia się w górę, a może nawet do czegoś jeszcze dziwniejszego, kiedy zobaczył, że ziemia odchyła się od niego, a ciężka maszyna odrywa się od asfaltu, powiedział do samego siebie jasno i wyraźnie: „Szema Izrael, słuchaj Izraelu, Bóg jest jedyny!” Za prawym oknem widział Nowy Jork staczający się do oceanu, cofające się podwozie wstrząsnęło samolotem – polecieli w stronę rzeki. Hudson był zielony wśród zieleni, zmacone jego wody burzyły się od przyływu, poganiał je wiatr. Izaak, który w czasie startu siedział wstrzymując oddech, zaczął znowu normalnie oddychać, ale pasów nie odpinał. Lecąc ponad wspaniałymi mostami, ponad chmurami, szybując w

powietrzu, wie się lepiej niż kiedykolwiek, że nie jest się aniołem.

Lot był krótki. Z lotniska w Albany Izaak zadzwonił do swojego banku. Powiedział Spinwallowi, urzędnikowi, z którym załatwiał wszystkie transakcje, że musi mieć dwadzieścia tysięcy w gotówce.

– Nie ma problemu – odparł Spinwall. – Rozporządzamy taką sumą.

Izaak wytłumaczył to później doktorowi Braunowi.

– Książeczki oszczędnościowe trzymam w depozycie w banku.

Umieścił swoje oszczędności prawdopodobnie na odrębnych kontach po 10. 000 dolarów każde, bo do tej wysokości państwo je gwarantowało. Musiał ich mieć sporą ilość.

Przez olbrzymie, okrągłe, precyzyjnie wykonane pancerne drzwi – tak musiał się oczom astronautów przedstawiać księżyc, kiedy zbliżali się do niego – wszedł do wnętrza skarbcza.

Taksówka czekała na niego na ulicy. Wsunął pieniądze do teczki i pojechał do szpitala. W szpitalu stał melancholijny zapach chorych ciał, niezagojonych ran, leków, kosztownych kwiatów i wymiętej odzieży. W wielkiej okratowanej windzie, w której można było

przewozić łóżka, sztuczne płuca i rozmaite urządzenia laboratoryjne, Izaak wpatrywał się w piękną, milczącą Murzynkę, która w zamyśleniu przesuwiała lewarek prowadząc windę powoli z parteru na pierwsze piętro, z pierwszego na drugie. Byli sami, a ponieważ nie można było przyśpieszyć biegu windy, Izaak mógł przyjrzeć się uważnie jej silnym, ładnym nogom, pełnym piersiom, połyskliwym okularom w złotej oprawce i podniecająco wypukłej – tuż pod podbródkiem – szyi. Mimo woli podziwiał urodę Murzynki, podczas gdy winda niosła go majestatycznie ku umierającej siostrze.

Kiedy drzwi rozsunęły się, znalazł się twarzą w twarz z Muttem.

– Izaak!

– Jak z nią jest?

– Bardzo źle.

– Przyszedłem. Z pieniędzmi.

Mutt był bardzo zmieszany, nie wiedział, co powiedzieć. Na jego twarzy malowało się przerażenie. Tina miała zawsze nad nim władzę. Mimo, że był od niej o trzy czy cztery lata starszy. Izaak, który doskonale czuł, co się z bratem dzieje, powiedział: – W porządku, Mutt. Jestem gotów dać te pieniądze. Zgadzam się na jej warunki.

– Ona już chyba nie zdaje sobie...

– Tu są pieniądze. Idź i powiedz jej, że przyszedłem. Mutt, ja muszę zobaczyć naszą siostrę.

Mutt nie miał odwagi spojrzeć Izaakowi w oczy, ale wziął jego teczkę i wszedł do pokoju Tiny. Izaak odsunął się od drzwi nie zerknąwszy nawet do środka przez szparę. Ponieważ nie mógł ustać w miejscu, ruszył w głąb korytarza z rękami założonymi na plecy. Minał rząd pustych foteli na kółkach. Wzdrygnął się na ich widok. Nienawidził takich przedmiotów, nienawidził szpitalnego smrodu. Miał sześćdziesiąt lat i znał drogę, która i jego czekała. Znał ją tylko, ale na razie o niej nie myślał. Śmierć trzymała się jeszcze z daleka od niego. A jeżeli chodzi o przekazanie pieniędzy, sprawę, która tak bardzo zawstydziała Muttę, gdyż czuł, że bierze udział w czymś niesprawiedliwym, groteskowym – to owszem, było w tym rzeczywiście coś raczej nienaturalnego, coś, co można by przyrównać jedynie do zachcianek, jakie miewają ciężarne kobiety, żądające ni stąd, ni zowąd brzoskwiń albo piwa, albo zlizujące wapno ze ścian. Jednakże, z chwilą kiedy Izaak wręczył pieniądze Muttowi, jego udręka skończyła się. Cała ta sprawa została wymyślona po to, żeby go ukarać, napiętnować, wtłoczyć w określoną kategorię. Ale efekt był wręcz odwrotny. W jaką znowu kategorię? Gdzie? Jeżeli Tina wyobrażała sobie, że zada mu cierpienie, to omyliła się. Jeżeli myślała – ta jego nieszczęsna, umierająca teraz

siostra – że zna go lepiej niż kogokolwiek innego, to popełniła błąd.

I doktor Braun, przeżywając raz jeszcze po tylu latach cały ten stworzony przez nich splot – dzieło przebiegłości i rozpacz – tę ostatnią ich próbę sił, wstał nie odrywając oczu od długich sopli lodu, od strzępiastych oparów mgły.

A potem pielęgniarka Tiny otworzyła drzwi i skinęła na niego głową. Wpadł do pokoju siostry i stanął jak wryty. Aż mu dech zaparło w piersi. Górna część ciała chorej była zapadnięta, twarz pożółkła. Brzuch rozdęty do potwornych rozmiarów, nogi i kostki opuchnięte. Zdeformowane stopy sterczały spod kołdry. Podeszwy miały kolor gliny. Skóra na czaszce była mocno naciągnięta. Włosy białe. W przegubie jej ramienia tkwiła igła z kroplówki. Jakieś gumowe rurki prowadziły spod kołdry do zbiorników umieszczonych pod łóżkiem. Mutt położył siostrze teczkę na kolanach. Nie otworzyła jej. Wychudzona, z włosami sterczącymi sztywno dokoła głowy, patrzyła na Izaaka ciemnym spojrzeniem, którego treści nie był w stanie odgadnąć.

– Tina!

– A zastanawiałam się – powiedziała.

– Przyniosłem tyle, ile żądałaś.

Odepchnęła teczkę i szepnęła zduszonym głosem:

– Nie. Zabierz to.

Przysunął się, żeby ją pocałować. Uniosła wolne ramię i próbowała go objąć. Była jednak za słaba, zbyt oszołomiona lekami. Pod palcami wyczuł kości swojej niegdyś otyłej siostry. Śmierć. Koniec. Mogiła. Rozpłakali się oboje. Mutt stał w nogach łóżka odwrócony twarzą do ściany i szlochał z wykrzywionymi, szeroko otwartymi ustami. Łzy spływały mu ciurkiem po policzkach. Łzy Tiny były gęstsze, więc płynęły wolniej.

Pierścionek zabrany ciotce Róży przywiązany był do palca Tiny cienką nitką. Wyciągnęła dłoń do pielęgniarki. Cała sprawa musiała być z góry omówiona. Pielęgniarka przecięła nitkę. Tina powiedziała do Izaaka:

– Weź sobie te pieniądze. Nie chcę ich. Weź też pierścionek mamy.

I doktor Braun, gorzko poruszony, usiłował pojąć, czym właściwie są uczucia. I ile są warte. I czy są komukolwiek potrzebne. Ludzie bronią się teraz przed wzruszeniem. Wolą patrzeć na wszystko chłodnym okiem. Na życie. Na śmierć. Ale nawet chłód jest wprost proporcjonalny do ilości ciepła, jaka jest w człowieku. Jednakże, z chwilą kiedy ludzkość zrozumiała – stworzoną zresztą przez nią samą – ideę, że człowiek jest człowiekiem właśnie dlatego, iż posiada zdolność różnorodnego odczuwania, zaczęła wyzyskiwać, jątrzyć, niszczyć dla samej przyjemności niszczenia, robić wielkie

zamieszanie, przemieniać emocje w wulgarny spektakl cyrkowy. Tak więc Braunowie płakali nad umierającą Tiną. Izaak trzymał w ręku pierścionek matki. Doktor Braun także miał teraz łzy w oczach. Och, ci Żydzi – ci Żydzi! Ich wzruszenia! Ich serca! Doktor Braun często marzył, żeby to wszystko skończyło się już wreszcie. No, bo i po co to? Co chwila trzeba kogoś żegnać. Umierają jedno po drugim. Wkrótce nadejdzie i jego kolej. Dzieciństwo, więzy rodzinne, przyjaźń, miłość – wszystko to pójdzie do piachu. A te łzy! Kiedy płaczemy z głębi zbolełego serca, wydaje nam się, że usprawiedliwiamy coś, że zrozumieliśmy coś. Ale co? Znowu nic! Jest to zaledwie cień zrozumienia. Cień nadziei, że ludzkość, być może – być może, powiadam – kiedyś, dzięki temu darowi, który jest – znowu być może – darem niebios – zrozumie sens życia. Sens życia, sens śmierci.

I jeszcze, dlaczego życie manifestuje się właśnie w takiej formie – w postaci Izaaków i Tin? Gdy doktor Braun zamykał oczy, widział pod powiekami – czerwone na czarnym – coś, co mogło być procesem powstawania molekuł, jedyną autentyczną heraldyką istnienia. A później, kiedy skończył się krótki zimowy dzień i zapadła ciasna, czarna zasłona ciemności, podszedł do kuchennego okna, żeby spojrzeć w gwiazdy. Te iskry ciśnięte w przestrzeń miliardy lat temu potężnym wybuchem wszechzapładniającej siły.

W poszukiwaniu pana Greena

Wszystko, co przedsięweźmie ręka twoja do czynienia, czyn według możliwości twojej.

Ciężka praca? Nie, w gruncie rzeczy wcale nie taka ciężka. Wprawdzie nie był przyzwyczajony do długich marszów i wspinania się po schodach, ale nie wysiłek fizyczny najbardziej dokuczał George'owi Grebe na nowej posadzie. Roznosił czeki z zapomogą po murzyńskich domach i mimo że urodził się w Chicago, słabo orientował się w tej części miasta – trzeba było dopiero kryzysu gospodarczego, by się z nią zapoznał. Nie, to naprawdę nie była ciężka praca – w każdym razie nie w sensie fizycznym – a przecież wkrótce zaczął się nią męczyć, zdawać sobie sprawę z jej specyficznych trudności. Znajdował ulice i numery domów, ale jego klienci nigdy nie byli tam, gdzie mieli być, toteż czuł się jak myśliwy nie znający kolorów ochronnych swojej zwierzyny. Dzień był zresztą nieprzychylny, zimny, ciemny, wietrzna pogoda jesienna. Ale zamiast muszelek, w głębokich kieszeniach jego trencza znajdowały się czeki wydrukowane na sztywnej tekturze z dziurkami służącymi do umieszczania ich w skoroszytach, przywodzącymi na myśl dziurki w rolkach od pianoli.

Grebe bynajmniej nie wyglądał na myśliwego. Był typowym mieszczuchem w tym swoim trenczu przypominającym płaszcze irlandzkich konspiratorów. Był szczupły, niezbyt wysoki i trzymał się bardzo równo. Miał na sobie stare, wytarte tweedowe spodnie z wystrzępionymi nogawkami. Szedł wyprostowany z podniesioną wysoko głową, tak że twarz poczerwieniała mu z zimna i wiatru. A była to twarz człowieka rzadko przebywającego na powietrzu, z oczami wskazującymi na to, że wprawdzie myśli, ale rzadko wyciąga wnioski. Miał jasne bokobrody, zaskakująco kędzierzawe, których długość świadczyła o pewnej pretensjonalności. Nie był ani tak łagodny, na jakiego wyglądał, ani tak młody, mimo że nie robił żadnego wysiłku, żeby się maskować. Był kawalerem. Człowiekiem wykształconym. Raczej mało skomplikowanym. Lubił sobie od czasu do czasu wypić, ale bez przesady. Szczęście mało mu dopisywało. Ale nie ukrywał tego ani niczego innego.

Dzisiaj zdawało mu się, że ma trochę lepszy dzień. Kiedy z rana zjawił się w Opiece Społecznej, żeby objąć tam pracę, spodziewał się, że posadzą go za biurkiem w czterech murach urzędu, bo został przecież zaangażowany jako pracownik umysłowy, toteż chwalił sobie – przynajmniej z początku – fakt, że może swobodnie chodzić po mieście, mimo iż było zimno i wiał ostry wiatr. Ale z drugiej strony martwiło go, że nie udało mu się, na razie, doręczyć ani jednego czeku. Pracował

wprawdzie dla urzędu miejskiego, a nikt nie spodziewa się zbytnej gorliwości po takich ludziach. Jego zwierzchnik, młody pan Raynor, dał mu to wcale niedwuznacznie do zrozumienia. Mimo to pragnął wywiązać się jak najlepiej ze swojego zadania. Przede wszystkim chciał się zorientować, jak szybko zdoła roznieść wszystkie czek, po to, żeby móc obliczyć, ile czasu uda mu się wygospodarować dla samego siebie. Poza tym ci ludzie na pewno czekali na swoje pieniądze. Ten ostatni wzgląd nie był najważniejszy, ale nie pozbawiony dla Grebe'a znaczenia. No dobrze, chciał po prostu uczciwie zrobić swoją robotę, powiedzmy dla własnej satysfakcji, może chociażby dlatego, że tak rzadko trafiały mu się zadania wymagające tego rodzaju energii. Owey szczególnej energii, którą w tej chwili posiadał w nadmiarze, która, kiedy się w nim wyzwała, po prostu rozpierała go. Na razie był jednak zupełnie sfrustrowany. A to dlatego, że nie mógł znaleźć Greena.

Stał więc w tym swoim rozkloszowanym płaszczu deszczowym z dużą kopertą w ręku, z wystającym z kieszeni plikiem papierów i zastanawiał się, dlaczego tak trudno znaleźć ludzi, którzy są zbyt słabi, czy zbyt chorzy na to, żeby osobiście przyjść do urzędu po zasiłek. Raynor uprzedził go, że z początku nie będzie mu szło łatwo i dał mu nawet kilka rad co do sposobu postępowania.

– Jeżeli uda się panu trafić na listonosza, to jest to najlepsze i najpewniejsze źródło informacji. Jeżeli nie, to

niech pan spróbuje zasięgnąć języka w pobliskim sklepie czy warsztacie. Na następnym miejscu postawiłbym dozorcę i sąsiadów. Ale zobaczy pan, że im bliżej mieszkania pańskiego klienta, tym trudniej wyciągnąć z ludzi cokolwiek. W ogóle nie będą pewnie chcieli z panem gadać.

– Czy dlatego, że jestem nowy?

– Nie, dlatego, że jest pan biały. Powinniśmy byli zaangażować do tej pracy Murzyna, ale nikt nam się nie trafił. No, a poza tym pan też musi jeść, a to jest posada państwowa. Dużo ich nie ma, więc trzeba się starać. Mnie to też dotyczy. Ale ja nie ruszam się z za biurka. Pracuję tu już trzy lata, toteż mam nad panem przewagę. Poza tym posiadam dyplom wydziału prawa. Gdyby nie to, pan pewnie siedziałby na moim miejscu, a ja latałbym po ulicach na tym zimnie. Mamy jednakowe pensje i identyczne zadania. Dyplom na pewno nie jest do tego potrzebny. W każdym razie, panie Grebe, musi pan roznieść te czeki po mieszkaniach. Mam nadzieję, że jest pan uparty, bo bez tego będzie panu trudno.

– Owszem, jestem dosyć uparty.

Raynor wodził gumką do wycierania po brudnym blacie swojego biurka – był leworęczny – i powiedział:

– Jasne, no bo co innego można odpowiedzieć na takie pytanie. W każdym razie, jest murowane, że będzie panu

trudno zdobyć jakiegokolwiek informacji o tych ludziach. Uznają pana za tajniaka, inkasenta domu sprzedaży ratalnej, woźnego sądowego albo kogoś w tym rodzaju. To się zmieni dopiero po kilku miesiącach, kiedy przyzwyczają się do pańskiej twarzy i będą pewni, że pan rzeczywiście roznosi zasiłki.

Pogoda była podła, mroźna, typowo listopadowa. Wiatr bawił się dymem z kominów zdmuchując go w dół. Grebe zostawił rękawiczki w gabinecie Raynora i ręce mu marzły. No i rzeczywiście, nikt jakoś nic nie wiedział o Greenie. Było po trzeciej i listonosz rozniósł już ostatnią pocztę. Właściciel najbliższego sklepiku spożywczego, także Murzyn, nigdy w życiu nie słyszał o żadnym Tulliverze Greenie, tak w każdym razie twierdził. Grebe raczej wierzył mu. Był przekonany, że udało mu się wzbudzić zaufanie u sklepikarza, przekonać go, iż pragnie jedynie doręczyć Greenowi zasiłek. Chociaż całkowitej pewności co do tego nie miał. Nie miał też doświadczenia w interpretowaniu spojrzeń i gestów tych ludzi, nie nauczyły się jeszcze przebijać przez jawną niechęć albo – w razie potrzeby – grozić. Jeżeli sklepikarz coś wiedział, to łatwo pozbył się Grebe'a. Ale ponieważ większość jego klientów stanowili z pewnością ludzie żyjący wyłącznie z zapomogi, dlaczego miałyby przeszkadzać w dostarczaniu im pieniędzy? A może Green, względnie pani Green – jeżeli taka istniała – robili zakupy w innym sklepiku? Właśnie, czy była też pani Green? Grebe zorientował się,

że utrudnił sobie zadanie, ponieważ nie przejrzał teczek swoich podopiecznych. Raynor powinien był udostępnić mu na kilka godzin dokumentację. Widać uznał, że mu się to na nic nie przyda. Najprawdopodobniej uważał, że cała ta praca nie ma większego znaczenia. Czy warto przygotowywać się starannie do takiej prostej czynności, jak wręczenie kilku osobom czeków z zasiłkiem?

Nadszedł czas, żeby rozejrzeć się za dozorcą. W mdłym świetle listopadowego dnia Grebe przyjrzał się posesji. Po jednej stronie kilka wyboistych parceli, po drugiej podwórze, na którym leżały szkielety rozbitych samochodów, nad tym wszystkim skomplikowana sieć konstrukcji kolejki nadziemnej, pod którą palono tu i ówdzie śmieci, werandy z cegły, jedna nad drugą, do wysokości trzech pięter, wreszcie cementowe schody prowadzące do piwnicy. Grebe zszedł po nich i znalazł się w ciemnym korytarzu. Wypróbował kilkoro drzwi, aż jedno okazały się otwarte. Pchnął je i znalazł się w pomieszczeniu, w którym stał kocioł od centralnego ogrzewania. Pochylona postać wyprostowała się. Ostrożnie, żeby nie uderzyć się głową w owinięte szmatami rury, jakiś człowiek zbliżył się do Grebe'a. Pod jego stopami zgrzytał węglowy miał.

– Pan jest dozorcą?

– A o co chodzi?

– Szukam człowieka, który podobno tu mieszka.

Nazywa się Green.

. – Który Green?

– Więc tu mieszka kilku Greenów – ucieszył się Grebe.
– Temu na imię Tulliver.

– Nic nie wiem. Nie mogę panu pomóc.

– To jest kaleka.

Grebe spojrział na zgarbionego dozorcę. Może to właśnie on jest tym kaleką? O Boże! Gdyby tak rzeczywiście było, zdenerwował się Grebe. Szarymi oczami wpatrywał się intensywnie w stojącego przed nim człowieka. Nie, na szczęście nie. Był po prostu bardzo niskiego wzrostu i mocno przygarbiony. Wyglądał, jak gdyby ocknął się nagle. Miał gęstą brodę i spadziste, szerokie ramiona. Jego czarna koszula i worek, jakim był przewiązany zamiast fartucha, śmierdziały potem.

– Kaleka? A co mu jest?

Grebe zastanowił się, a potem odparł głosem lekkim i pełnym szczerości: – Sam nie wiem. Nigdy go nie widziałem.

Było to, oczywiście, ryzykowne, ale jedynym innym wyjściem z sytuacji byłoby strzelanie na chybił trafił, a na to nie był przygotowany.

– Widzi pan, roznoszę zasilek osobom, które nie mogą

wychodzić z domu. Gdyby ten człowiek nie był ułomny, zgłosiłby się osobiście po te pieniądze. Dlatego powiedziałem, że jest kaleką. Może już nie opuszcza łóżka, może siedzi w fotelu na kółkach, czy ja wiem? Czy ktoś taki mieszka w tym domu?

Tego typu szczerłość była jedną z głównych umiejętności Grebe'a, której nauczył się jeszcze w dzieciństwie. Jednakże tutaj nie zdała mu się na nic.

– Ja tam nic nie wiem, panie. Obsługuję jeszcze trzy domy. Nie znam wszystkich lokatorów, a co dopiero lokatorów lokatorów. Ludzie bez przerwy wprowadzają się do pokoi sublokatorskich i zaraz znów znikają. Co ja tam mogę wiedzieć.

Dozorca poruszał jeszcze przez chwilę umorusanymi wargami, ale jego słowa tonęły w stukocie rur i szumie powietrza podsycającego płomień w brzuchu pieca. Grebe tylko domyślał się, co tamten mówi.

– No to trudno – powiedział. – Dziękuję panu. Przepraszam za kłopot. Pójdę jeszcze raz na górę, może uda mi się trafić na kogoś, kto go zna.

Kiedy znalazł się na powrót na dworze, gdzie było zimno i zapadał przedwczesny zmierzch, pokonał krótką przestrzeń pomiędzy schodami prowadzącymi do piwnicy, a głównym wejściem wciśniętym między filary z cegły i zaczął wspinać się na trzecie piętro. Pod jego nogami

zgrzytały kawałki tynku. Na każdym stopniu umocowane były dwie wąskie mosiężne rurki, spod których dawno wyrwano chodnik. W sieni było jeszcze zimniej niż na ulicy. Mróz przenikał Grebe'a do szpiku kości. Kłozety na końcu korytarza szumiały jak górskie strumyki. Słuchając, jak wiatr wyje dokoła domu niczym diabeł w piecu, Grebe pomyślał ze ściśniętym sercem, że ta piwnica jest – mimo wszystko – wspaniałym schronem. Potarł zapałkę i w jej słabym świetle zaczął na brudnych, zabazgranych ścianach szukać nazwisk lub numerów mieszkań. Odczytał napis „Whoody-Doody idź do diabła”, poza tym kilka soczystych przekleństw, obejrzał karykatury i kilka nieprzyzwoitych rysunków. Zamurowane komnaty piramid też były upstrzone malowidłami ściennymi, podobnie jak przedhistoryczne groty.

Jedyna informacja, jaką miał, brzmiała: „Tulliver Green – mieszkanie 3D”. Ale na żadnych drzwiach nie było ani nazwiska, ani numeru. Skulony, z łzawiącymi od zimna oczami i chuchem wydobywającym mu się z ust przy każdym oddechu, Grebe posuwał się w głąb korytarza mówiąc sobie, że gdyby miał inny temperament, to zacząłby walić w pierwsze lepsze drzwi wrzeszcząc: „Tulliver Green!” aż do skutku. Ale nie umiał się awanturować, więc zapalał zapałkę i oświetlał ściany. W samym końcu, w wykuszu hallu zauważył drzwi, których przedtem nie dostrzegł, i postanowił do nich zapukać. Otworzyła mu młoda Murzynka, niemal jeszcze dziecko.

Uchyliła drzwi zaledwie odrobinę, gdyż obawiała się zapewne, że ciepło ucieknie z pokoju.

– Pan do kogo?

– Jestem z urzędu opieki społecznej na Prairie Avenue. Szukam Tullivera Greena. Przyniosłem mu zasilek. Czy znasz go?

Nie, nie знаła go, ale Grebe był prawie pewny, że nie zrozumiała ani jednego słowa z tego, co powiedział. Jej rozspana, rozmazana twarz była bardzo łagodna i bardzo czarna. Robiła wrażenie wsłuchanej w siebie. Klapy zarzuconej na ramiona męskiej marynarki kurczowo ścisnęła pod szyją. Na głowie zrobiła sobie trzy przedziałki, dwa po bokach i jeden w samym środku. Nad jej czołem piętrzyła się puszysta grzywka.

– Czy jest w domu ktoś, kto mógłby go znać?

– Wynajęłam ten pokój tydzień temu.

Zauważył, że dziewczyna drży, ale nawet w tym drżeniu było coś sennego. Patrzyła na niego wielkimi, połyskliwymi oczami. Nie dawała poznać po sobie, że jest jej zimno. Była bardzo ładna.

– No to dziękuję ci, bardzo ci dziękuję – powiedział i przesunął się do następnych drzwi.

Tu wpuszczono go do środka. Z satysfakcją stwierdził, że w pokoju jest ciepło. Było tam mnóstwo ludzi. Kiedy

wszedł, zamilkli. Było ich z dziesięcioro – może więcej – i wszyscy siedzieli sztywno wyprostowani na ławach, jak posłowie w parlamencie. Pokój nie był oświetlony, w ścisłym znaczeniu tego słowa, panował w nim mrok dochodzący z zewnątrz i wszyscy ci ludzie wydali mu się ogromni – mężczyźni w ciężkich, watowanych roboczych ubraniach, kobiety w grubych swetrach, ciepłych kapeluszach i starych futrach.

Poza łóżkiem, na którym piętrzyła się pościel, w pokoju stała jeszcze tylko czarna kuchenka węglowa, wysokie, sięgające niemal sufitu pianino zavalone papierami i stary stół pochodzący prawdopodobnie z jakiegoś zamożnego chicagowskiego domu. Wśród tych ludzi, Grebe – drobniejszy od nich i zaróżowiony od panującego na dworze zimna – robił wrażenie młodego chłopca. Mimo że przywitano go przychylnie i uśmiechano się do niego, wiedział – zanim jeszcze padły pierwsze słowa – że nie dowie się niczego. Ale jednak zapytał:

– Czy ktoś z was zechce mi powiedzieć, gdzie mógłbym znaleźć pana Greena? Mam dla niego czek z zasiłkiem.

– Greena? – zdziwił się człowiek w kraciastej koszuli z krótkimi rękawami, ten sam, który otworzył Grebe'owi drzwi. Miał dziwnie wydłużoną czaszkę porośniętą gęstymi włosami, które sterczały w górę niczym czako. Skronie miał pokreślone grubymi żyłami. – Nie słyszałem

o nim. On tu niby ma mieszkać?

– Ten adres podano mi w biurze. To chory człowiek i pieniądze są mu bardzo potrzebne. Czy nikt nie wie, gdzie mógłbym go znaleźć?

Nie dawał za wygraną i stał przed nim w tym swoim czerwonym szaliku owiniętym dokoła szyi i opadającym na klapy trencza, z kieszeniami pełnymi formularzy i czeków. Miał nadzieję, że zorientowali się już, że nie jest studentem dorabiającym sobie w wolne popołudnia jako inkasent, chytrze udającym urzędnika z opieki społecznej, ale dorosłym mężczyzną, który też zaznał biedy, który sam przeżył niejedno niepowodzenie życiowe. Wystarczyło spojrzeć na sińce pod jego oczami, na zmarszczki dokoła ust.

– Czy ktoś zna tego chorego człowieka?

– Nie, skąd. – Potrząsali głowami, uśmiechali się. Nikt nic nie wiedział. A może oni wcale nie kłamią, zastanawiał się Grebe i rozglądał się po tym mrocznym, dusznym od zapachu ludzkich ciał, ponurym pokoju. Ale jak się o tym przekonać?

– A co mu jest? – zapytał człowiek z fryzurą podobną do czako.

– Nie wiem, bo nigdy go nie widziałem. Wiem tylko, >. § że nie może osobiście przyjść po zasiłek. To jest mój pierwszy dzień w waszej dzielnicy.

– Może podali panu zły numer domu?

– Nie sędzę. Do kogo jeszcze mógłbym się zwrócić?

Czuł, że jego uporczywość bawi ich ogromnie i – w pewnym sensie – sam był rozweselony tym, że tak uparcie stawia tym ludziom czoła. Był o tyle od nich mniejszy, o tyle węższy, ale nie ustępował i patrzył na nich odważnie swoimi szarymi oczami, w których malowało się nie tylko rozbawienie, ale i pewna doza odwagi. Siedzący na ławie mężczyzna mruknął coś zachrypłym głosem – Grebe nie zrozumiał z tego ani słowa – na co jedna z kobiet odpowiedziała dzikim, piskliwym wybuchem śmiechu i natychmiast zamilkła.

– Widzę, że nikt z was nic mi nie powie?

– Bo nikt nic nie wie.

– Jeżeli on tu gdzieś mieszka, to chyba płaci komuś komorne. Kto inkasuje?

– Firma Greatham Company. Ma biura na Trzydziestej dziewiątej ulicy.

Grebe zapisał sobie tę informację w notatniku. Ale kiedy znalazł się znowu na ulicy i stał – z przygnaną przez wiatr płachtą gazety przyklejoną do nogawek spodni – zastanawiając się, co robić dalej, zrozumiał, że tym śladem nigdzie nie zajdzie. Green prawdopodobnie nie odnajmował całego mieszkania, ale tylko sublokatorski

pokój. W niektórych lokalach gnieździło się ponad dwudziestu ludzi. I zapewne nawet administracja domu nie orientowała się, kto gdzie był głównym lokatorem. Niektórzy wynajmowali pojedyncze łóżka i to systemem rotacyjnym. Nocni dozorczy, kierowcy nocnych autobusów międzymiastowych, kucharze z nocnych lokali przesypiali się w dzień, a potem odstępowali łóżka siostram, bratankom, a może nawet zupełnie obcym ludziom świeżo przybyłym do miasta. W tej upiornej, biedą przeżartej dzielnicy – pomiędzy Cottage Grove a Ashland Avenue całe zastępy nowych przybyszów przenosiły się z domu do domu, z pokoju do pokoju. Nawet jeżeli się ich widziało, trudno by ich było później rozróżnić. Nie było w nich nic charakterystycznego, nie mieli tobołków na plecach. Widziało się po prostu mężczyznę, Murzyna, idącego ulicą jak wszyscy inni albo jadącego autobusem z biletem na przesiadkę w zaciśniętych palcach. Jak się tu zorientować? Grebe doszedł do wniosku, że jeżeli zapyta u Greathama o Greena, zostanie wyśmiany.

Gdyby jednak mógł im powiedzieć, że Green jest stary albo ślepy, albo chory na gruźlicę, czy ułatwiłoby mu to zadanie? Gdyby spędził godzinę w dokumentacji i zrobił trochę notatek, nie byłby teraz w tak trudnej sytuacji. Kiedy brał czeki od Raynora, zapytał go:

– Co powinienem wiedzieć o tych ludziach?

I wtedy Raynor spojrział na niego tak, jak gdyby

oskarżał go o to, że przydaje swojej pracy większego znaczenia, niż to, na jakie zasługuje. Uśmiechnął się wprawdzie, bo właściwie już się polubili, ale na pewno powiedziałby coś w tym rodzaju, gdyby właśnie w tym momencie w biurze nie powstało wielkie zamieszanie wywołane przez Staikę i sforę jej dzieciaków.

Grebe długo czekał na tę posadę. Otrzymał ją dzięki staraniom kolegi szkolnego pracującego w Radzie Miejskiej, który wprawdzie nigdy nie był bliskim przyjacielem, ale który nagle okazał Grebe'owi zainteresowanie i sympatię – prawdopodobnie dlatego, że chciał się przed nim pochwalić, że zrobił karierę nawet w tych trudnych czasach. Twierdził, że pnie się do góry wraz z całą administracją demokratyczną. Grebe często odwiedzał go w gmachu Rady Miejskiej i przez bez mała rok chodzili na piwo albo na lunch co najmniej raz w miesiącu i w końcu jakoś wystrzeżliła ta posada. Grebe nie zmartwił się, kiedy zakwalifikowano go do najniższej kategorii urzędniczej – wyższą miał nawet chłopiec na posyłki – ale Raynor był przekonany, że sprawia mu to przykrość.

Z tego Raynora był raczej niezwykły facet i Grebe polubił go od pierwszego wejrzenia. Pierwszego dnia Grebe zjawił się w pracy – jak to pierwszego dnia – bardzo wcześnie, ale Raynor spóźnił się. Wreszcie wpadł za to swoje przepierzenie, niewiele większe od kojca, z takim impetem, jak gdyby go wystrzelono z któregoś z

wielkich czerwonych autobusów pędzących przez Indian Avenue. Jego wąska, brzydka raczej twarz zaczerwieniła się od wiatru, uśmiechał się od ucha do ucha i mruczał coś do siebie zadyszczanym szeptem. Nie zdejmując miękkiego kapelusza ani płaszcza z dobrze skrojonym aksamitnym kołnierzykiem, ani też jedwabnego szalika mocno zawiązanego pod nerwowo drgającym podbródkiem, runął na obrotowy fotel, lekko uniósł nogi nad podłogę i kiwał się na nim, i kręcił tak niespokojnie, że miało się wrażenie, iż za chwilę zacznie lewitować. Mierzył przy tym Grebe'a spojrzeniem niezwykle wąskich, szeroko rozstawionych, podłużnych, lekko przy tym ironicznych oczu. I tak dwaj mężczyźni siedzieli naprzeciwko siebie przez dłuższą chwilę i milczeli, aż wreszcie Raynor zdjął z głowy kapelusz – odsłaniając zmierzwione włosy – i położył go sobie na kolana. Jego zsiniałe od zimna ręce nie odznaczały się czystością. Na suficie zamontowana była stalowa belka, z której kiedyś zwisały pasy transmisyjne. Budynek był bowiem dawnym pomieszczeniem fabrycznym.

– Jestem młodszy od pana – powiedział wreszcie Raynor – i mam nadzieję, że wykonywanie moich zleceń nie będzie panu sprawiało przykrości. Ale ja ich sobie w końcu sam też nie wymyśliłem. Ile pan ma lat?

– Trzydzieści pięć.

– Pewnie pan sobie wyobrażał, że posadzę pana za

biurkiem do papierkowej roboty. Ale tak się składa, że muszę pana wysłać na miasto.

– Doskonale.

– I to do dzielnicy, w której mieszkają prawie sami Murzyni.

– Tak to sobie właśnie wyobrażałem.

– Świetnie. Da pan sobie na pewno radę. *C'est un bon boulot*. Czy pan zna fraucuski?

– Słabo.

– Byłem pewny, że pan ma wyższe wykształcenie.

– Był pan we Francji? – zapytał go Grebe.

– Nie, ale uczyłem się francuskiego u Berlitz'a. Chodziłem tam ponad rok, tak jak prawdopodobnie kupa ludzi na całym świecie, chłopcy na posyłki w Chinach i wojownicy w Tanganice. Tak to już jest. Taka jest magnetyczna siła cywilizacji. Przecenia się ją, oczywiście, no, ale co robić?. *Que voulez-vous?* Abonuję *Le Rire* i kilka innych pikantnych magazynów, tak samo jak tamci w Tanganice. Wyobrażam sobie, jakie to wszystko musi być intrygujące dla tych dzikusów. No, ale ja wiem, co robię. Będę próbował dostać się do służby zagranicznej. Mam kuzyna, który jest kurierem dyplomatycznym i bardzo sobie chwali tę pracę. Rozbija się po świecie w „wagon-lits” i czyta książki. Podczas gdy my... A co pan

robił dotychczas?

– Byłem sprzedawcą.

– Gdzie?

– W Stop and Shop. Przy konserwach mięsnych. W podziemiu.

– A przedtem?

– Sprzedawałem zasłony do okien u Goldblatta.

– A to była regularna praca?

– Nie. Tylko w czwartki i soboty. Pracowałem też jako sprzedawca obuwia.

– To pieszkie zajęcie. Ale co robić? A jeszcze wcześniej? Chwileczkę, przecież to wszystko jest w pańskich papierach.

Otworzył teczkę Grebe'a i zaczął czytać.

– College świętego Olafa. Lektor na wydziale filologii klasycznej. Stypendysta uniwersytetu w Chicago, 1926 – 27. Ja też uczyłem się łaciny. Zabawmy się w cytaty, chce pan?

– *Dum spiro spera.*

– *Da dextram misero.*

– *Alea iacta est.*

– *Excelsior.*

Raynor ryknął śmiechem tak głośnym, że kilku urzędników zajrzało za przepierzenie. Grebe także zaczął się śmiać. Zrobiło mu się wesoło i przyjemnie na duszy. Co to za luksus móc odprężyć się w tak napiętej sytuacji.

Kiedy zamilkli i nikt ich już nie obserwował, Raynor nachylił się do Grebe'a i zapytał go z powagą:

– Co skłoniło pana do studiowania łaciny? Czy zamierzał pan zostać księdzem?

– Nie.

– Więc robił pan to tylko tak sobie? Dla samej przyjemności? No, no, niektórzy ludzie mogą sobie na wszystko pozwolić! – W głosie jego zabrzmiała nuta tragikomizmu. – A ja urabiałem sobie ręce do łokci, żeby móc studiować prawo, mam za sobą egzamin adwokacki, no i teraz dostaję dwanaście dolarów tygodniowo. Więcej niż pan, w nagrodę za to, że zawsze miałem konkretne podejście do życia. Powiem panu, jak kulturalny człowiek do kulturalnego człowieka, że chociaż wszystko wydaje się nieprawdziwe i mam wrażenie, że udaje co innego, że niby to jest tym, to tamtym, a tamto jeszcze czymś innym, to nie ma porównania pomiędzy dwudziestoma pięcioma dolarami tygodniowo a trzydziestoma siedmioma, i to niezależnie od tego, jakby się na to patrzyło. Pańscy Grecy na pewno doskonale to rozumieli, nie sądzi pan?

Byli bardzo inteligentni, ale nie rezygnowali ze swoich niewolników.

Grebe nie spodziewał się, że pierwsza rozmowa z nowym urzędnikiem będzie miała taki przebieg. Był jednakże zbyt nieśmiały na to, żeby pokazać mu, jaki jest zaskoczony. Uśmiechał się więc i wodził ręką za promieniem słońca, który robił mu aureolę dokoła głowy.

– Jednym słowem uważa pan, że popełniłem błąd?

– Cholerny błąd i na pewno zdaje pan sobie teraz z tego sprawę, bo dostał pan dobrze w kość. A powinien pan być przygotowany na ciężkie czasy. Pańskim rodzicom musiało się dobrze powodzić, skoro stać ich było na opłacanie pańskich studiów. Jeżeli nadepnałem panu na odcisk, to niech pan powie, a zamknę się. Matka na pewno zdrowo pana psuła, co? Tatuś we wszystkim ustępował? Z pewnością oszczędzano panu wszelkich przykrości, fundowano panu podróże, żeby się pan zapoznał z resztkami ogólnoludzkich wartości, podczas gdy wszyscy inni miotali się już w podupadłym świecie pozorów. Mam rację?

– No, niezupełnie – uśmiechnął się Grebe. „W podupadłym świecie pozorów"! Ni mniej, ni więcej. Postanowił też zaskoczyć swojego rozmówcę. – Myśmy nie byli bogaci. Mój ojciec był ostatnim, autentycznym angielskim lokajem w Chicago...

– Pan chyba żartuje.

– Dlaczego?

– W liberii?

– W liberii.

– Ale pragnął wykształcić pana na dżentelmena?

– Nic podobnego. Posłał mnie do Armour Institute, na chemię przemysłową. Dopiero kiedy umarł, przeniosłem się na inną uczelnię.

Zamilkł i zaczął się zastanawiać nad tym, jak to się stało, że ten Raynor tak szybko skłonił go do zwierzeń. Było tak, jakby ktoś wyrwał człowiekowi z rąk walizkę, rzucił ją na stół i wszystko z niej wywalił. Później – już na ulicy – dalej myślał o tym, ile naopowiadałby mu jeszcze o sobie, gdyby nie pani Staika i ten jej straszny wrzask. Bo właśnie w tym momencie do pokoju Raynora wpadła kobieta, jedna z jego pracowniczek, i krzyknęła:

– Czy wy nic nie słyszycie?

– Nie, nic.

– To znowu ta Staika. Wrzeszczy jak opętana. Zaraz zjawią się dziennikarze. Twierdzi, że dzwoniła do kilku gazet i na pewno to zrobiła.

– Czego ona chce tym razem? – zapytał Raynor.

– Przyniosła bieliznę i zabrała się do prasowania – na naszym prądzie, bo mówi, że Opieka Społeczna nie chce jej pokrywać rachunku za elektryczność. Rozstawiła deskę do prasowania w recepcji i przyprowadziła wszystkie swoje dzieci – całą szóstkę. Chodzą do szkoły najwyżej raz w tygodniu, bo wszędzie je za sobą wlecze.

– Muszę to zobaczyć – zawołał Raynor zrywając się z fotela. Grebe i sekretarka pobiegli za nim.

– Co to za jedna, ta Staika? – zapytał Grebe.

– Mówią na nią „Krwawa matka z Federal Street”, bo jest zawodowym dawcą krwi. Szpitale płacą około dziesięciu dolarów za pół kwarty. To oczywiście nie są żarty, ale ona z tego robi wielką rzecz, gazety ciągle piszą o niej i jej dzieciakach.

W wąskim korytarzu przedzielonym barierą z dykty zebrał się tłumek interesantów i urzędników. Przyglądali się Staice, która stała i prasowała zamaszystymi ruchami, gwałtownie odstawiając żelazko na metalową podstawkę i wrzeszcząc przy tym chrapliwym, męskim głosem.

– Moi rodzice przyjechali do tego kraju pod pokładem, ale ja urodziłam się już w naszym własnym domu, w Robey nad Huronem. Nie jestem żadną tam parszywą imigrantką, ale obywatelką Stanów Zjednoczonych. Mój mąż jest weteranem wojny, zagazowało go we Francji, ma płuca jak sito, jest taki słaby, że ledwo może się dowlec o

własnych siłach do klozetu. A ta szóstka dzieciaków, to co? Jak muszę im kupić buty, to sprzedaję własną krew. Głupi, biały kra wacik do Pierwszej Komunii to dla mnie dwie krople krwi. Za głupi kawałek białego tiulu dla mojej Wadii, żeby nie była gorsza w kościele od innych dziewcząt, musiałam oddać krew dla jakiegoś Goldblatta. Takie ja mam życie. Ładnie bym wyglądała, gdybym polegała wyłącznie na zapomodze. A ilu tu jest zarejestrowanych darmozjadów! Dlaczego nie idą do pracy? Mogą w każdej chwili dostać robotę u Swifta i Armoura przy paczkowaniu bekonu. Rzeźnie zawsze poszukują ludzi. Nie brak pracy dla nikogo. Ale oni wolą się wylegiwać w brudnych betach i żreć za pieniądze podatników.

Staika nie bała się mówić w ten sposób i to na cały głos o Murzynach, na dodatek w urzędzie, w którym się od nich roiło.

Grebe i Raynor przepchali się naprzód, żeby się jej lepiej przyjrzeć. Była zła, ale jednocześnie zadowolona z siebie. Wielka, rozłożysta, złotowłosa, w bawełnianym czepku przetykanym różową wstążką na głowie. Na bosych nogach miała czarne tenisówki, fartuch rozpięty, jej wielkie piersi telepały się pod męskim podkoszulkiem ograniczając ruchy jej ramion. Prasowała małą sukienkę. Jej dzieci, milczące, blade, ubrane w kozuszki i kraciaste kurtki, stały za matką uparcie i nieruchomo. Staika wiedziała, że jest panią sytuacji i sprawiało to jej ogromną

radość. Jej pretensje były słuszne. Mówiła prawdę. Jednakże zachowywała się tak, jak gdyby kłamała. Nie patrzyła na nikogo wprost tymi swoimi małymi oczkami, a jej złość zdawała się być podszyta zimną kalkulacją i wyrachowaniem.

– Nasyłają mi studencików w jedwabnych portkach, którzy próbują mi wmawiać, że nic mi się nie należy. A czy oni są lepsi ode mnie? Kto im to wmówił? Wyrzucić ich! Niech idą i żenią się, a wtedy będziecie mogli płacić ludziom za elektrykę!

Główny inspektor, pan Ewing, nie mógł jej uspokoić i stał teraz z założonymi na piersiach rękami w otoczeniu swoich podwładnych i powiedział tonem dyrektora szkoły, którym zresztą do niedawna był:

– Jak się zmęczy, to sobie pójdzie.

– Nic podobnego – szepnął Raynor do Grebe'a. – Ona sobie z nimi poradzi. Zna się lepiej na przepisach niż sam Ewing. Od niepamiętnych lat bierze zapomogę i zawsze sobie wszystko umiała wywojować tymi awanturami. Ewing wie o tym. Za chwilę ustąpi jej. Próbuje tylko zachować twarz. Jeżeli znowu będzie miał złą prasę, zostanie wezwany do centrali i tam natrą mu uszu. Ta baba opanowała go całkowicie. Z czasem opanuje wszystko nie wyłączając narodów i rządów.

Grebe, jak to on, uśmiechnął się, chociaż niezupełnie

zgadzał się z Raynozem. Któż bowiem chciałby wykonać rozkazy Staiki? Co mogły zmienić te jej wrzaski?

O nie. To, co widział Grebe w tej kobiecie, ta siła, która zmuszała ludzi do słuchania, wszystko to polegało na tym, że jej wrzask był wyrazem wojny, jaką wypowiedziała temu miejscu i temu losowi – w sposób, być może, nieco obłąkany i na pewno niezbyt elegancki. I kiedy znalazł się znów na ulicy, zdawało mu się zrazu, że duch Staiki zapanował nad całą tą dzielnicą, że wzięła ona nawet swój koloryt od tej kobiety: widział ją w czerwieni tłących się tu i ówdzie przy krawężnikach ognisk, a i tych, które płonęły pod wiaduktem nadziemnej kolejki, w tym ciemnym tunelu smutku. A i później, kiedy wszedł do baru na jedną whisky, zapach piwa kojarzący mu się z polskimi uliczkami w zachodniej części miasta, znowu przywiódł mu na myśl tę kobietę.

Wytarł kąciki ust szalikiem, bo niewygodnie było mu sięgać po chusteczkę, i ruszył na ulicę, żeby rozdać wreszcie te czekie. Powietrze było mroźne, wiatr ostry, padały pojedyncze płatki śniegu. Nad głową śmignęła kolejka pozostawiając za sobą rozedrganą konstrukcję stalową i długi, lodowaty świst szyn.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, zszedł kilka stopni w dół, pchnął drzwi niewielkiego sklepiku spożywczego uruchamiając cieniutki dzwonek. Sklepik był wąski i ciemny. Ogarnął go smród wędzonego mięsa, mydła,

suszonych brzoskwiń i ryb. W małym piecyku tlił się i szamotał słaby płomień. Sklepikarz – Włoch o długiej twarzy z zapadniętymi, porośniętymi szczecina policzkami – stał za ladą. Grzał sobie ręce pod fartuchem.

Nie, i on także nie znał Greena. Wie pan, twarze to owszem, zwykle pamiętam, ale z nazwiskami jest gorzej. Ci sami ludzie posługują się raz jednym nazwiskiem, raz drugim. Policja też nic nie wie i – co więcej – nie interesuje się niczym. Jak dźgną kogoś nożem albo zastrzelą, to zabierają ciało, ale nawet nie szukają mordercy. Przede wszystkim i tak nikt by im nic nie powiedział. Więc wymyślają sobie pierwsze lepsze nazwisko dla koronera i zapominają o całej sprawie. A po drugie, jak mówiłem, cholernie mało ich to interesuje. Ale nawet gdyby chcieli, to i tak nie dowiedzieliby się niczego. Nawet jednej dziesiątej tego, co się tutaj dzieje. Ci ludzie dźgają nożami, kradną, popełniają zbrodnie, robią świństwa, o jakich pan w życiu nie słyszał, mężczyźni z mężczyznami, kobiety z kobietami, rodzice z dziećmi, gorzej niż zwierzęta. Żyją własnym życiem i cała ta ohyda rozwiewa się jak dym. Jak świat światem, nie było czegoś takiego.

Mówił długo, coraz bardziej fantazjował, coraz bardziej podniecał się, słowa jego miały coraz mniej sensu, były coraz bardziej przerażające – rój zmyśleń i pomówień, olbrzymi, przytłaczający, koszmarny splot, zawrotny kołowrót złożony z ludzkich głów, nóg, brzuchów i

ramion, przewalający się przez mały sklep.

Grebe poczuł, że nie zniesie tego ani chwili dłużej.

– Co mi pan tu opowiada! – przerwał sklepikarzowi ostro. – Ja chcę tylko wiedzieć, czy pan zna tego człowieka.

– Nawet połowy panu jeszcze nie opowiedziałem. Jestem tu od sześciu lat. Pan mi nie wierzy. No, a jeżeli mówię prawdę?

– Dobrze, ale mimo to musi być jakiś sposób na odnalezienie tego człowieka.

Dopóki Włoch usiłował przekonać Grebe'a o swojej racji, jego blisko osadzone oczy miały wyraz dziwnej koncentracji, napinały się jakby, podobnie jak jego mięśnie. Teraz dał za wygraną, wyprostował się i przykucnął na stołku.

– Bo ja wiem. To się czasami udaje. Ale jak panu mówiłem, nawet gliny są bezsilne.

– Oni zawsze za kimś węższą. No, ale to zupełnie co innego.

– Jak pan chce, to niech pan szuka dalej. Ja panu nie mogę pomóc.

Ale Grebe już nie szukał dalej. Nie mógł tracić więcej czasu na jednego Greena. Przełożył jego czek pod inne

czeki. Następne nazwisko na liście brzmiało FIELD, WINSTON.

Bez trudu znalazł bungalow stojący w głębi podwórza, na tej samej działce budowlanej z drugim, od którego dzieliło go zaledwie kilka jardów. Grebe dobrze znał te bliźniacze rudery. Budowano je w wielkich ilościach, zanim jeszcze osuszono bagna i podniesiono ulice na wyższy poziom. Wszystkie były jednakowe. Płot sklecony z drewnianych podkładów kolejowych biegnący dobrze poniżej poziomu ulicy – trzy, cztery słupy zakończone drewnianymi kulami, przez które przeciągano sznury do suszenia bielizny, kilka jabłonek, matowe gonty i strome schody prowadzące do tylnych drzwi.

Dwunastoletni najwyżej chłopiec wpuścił go do kuchni i tam – w przysuniętym do stołu fotelu na kółkach – siedział stary człowiek.

– O, przyszedł pan z opieki – powiedział dc chłopca, kiedy Grebe wyciągnął z teczki czek. – Idź i przynieś mi pudło z papierami.

Zrobił miejsce na stole.

– Niech pan się nie trzusi – zauważył Grebe, ale Field już rozłożył swoje dokumenty: legitymację ubezpieczalni społecznej, kartę rencisty, zaświadczenia ze szpitala stanowego w Manteno i zwolnienie ze służby w marynarce, datowane: San Diego, 1920 rok.

– To wystarczy – powiedział Grebe. – Niech się pan tylko podpisze.

– Pan powinien wiedzieć, kim jestem – zauważył stary. – Pan jest urzędnikiem państwowym. To nie jest prywatny czek, to jest czek rządowy i nie ma pan prawa dać mi go, zanim nie przedstawię panu wszystkich dokumentów.

Lubował się w tej ceremonii. Grebe przestał protestować. Field opróżnił pudełko i rozłożył na stole resztę papierów i listów.

– Tu jest wszystko, co mnie dotyczy. Co kiedy robiłem, gdzie byłem. Jeszcze tylko świadectwo zgonu i będą mogli postawić na mnie krzyżyk.

Powiedział to z dumą, niemalże z dostojeństwem. Ale nie kwapił się z podpisaniem kwitu, tyle że trzymał pióro w pogotowiu opierając je na udzie obleczonym nogawką złotozielonych sztruksowych spodni. Grebe nie chciał go poganiać. Zrozumiał, że stary jest spragniony rozmowy.

– Muszę się postarać o lepszy węgiel – powiedział Field. – Posłałem wnuczka do składu z dokładnie wypisanym zamówieniem, ale dali mu sam miał. A tym nie da się palić w naszym piecu. Przelatuje przez ruszty. A napisałem wyraźnie: węgiel wymiaru jaj kurzych z Franklin County.

– Będę reklamował – przyrzekł mu Grebe. – Zobaczę, co się da zrobić.

– Nic się nie da zrobić. Pan wie tak samo dobrze, jak ja. Nie ma małych sposobów na załatwianie spraw, a jedynym dużym sposobem jest forsa.

Grebe siedział z zaczerwienionym czołem zwieńczonym krótko ostrzyżonymi włosami, z postawionym kołnierzem płaszcza – ogień buzował w żelaznym piecyku – siedział i słuchał, podczas gdy stary rozwijał przed nim swoją ideę. Polegała ona na tym, żeby każdego miesiąca rodził się jeden murzyński milioner. Kolektywnym wysiłkiem. Jeden zdolny, przyzwoity młody Murzyn miał być – co miesiąc – typowany na to stanowisko, przy czym musiałyby podpisać kontrakt zobowiązujący go do założenia przedsiębiorstwa, które zatrudniałoby wyłącznie Czarnych. Sprawę rozgłoszono by za pomocą listów łańcuszkowych, wieść o niej rozchodziłaby się także z ust do ust. Każdy zarabiający Murzyn wpłacałby na ten cel jednego dolara miesięcznie. W ciągu pięciu lat powstałoby w ten sposób sześćdziesięciu milionerów.

– Wtedy świat zacznie nas szanować – zachrypiał stary. Głos wiązał mu w krtani i nabierał od tego cudzoziemskiego brzmienia. – Trzeba ściągnąć te wszystkie pieniądze, co to je ludzie wyrzucają na gry liczbowe i na konie. Dopóki będą z nas wyciągać pieniądze, dopóty będą nas mieć za nic. Pieniądz jest potrzebny człowiekowi, tak jak słońce...

Field był Murzynem z domieszką krwi indiańskiej, najprawdopodobniej ze szczepu Czirokezów albo Natchez, skóra jego miała bowiem czerwonawy odcień. I kiedy tak siedział w ciemnym pokoju, z małym wiecznym piórem uniesionym lekko do góry, ze swoją spłaszczoną na ciemieniu głową i zmierzwionymi włosami, rudawą cerą i grubymi wargami, wyglądał jak któryś z mitologicznych królów Hadesu, jak sam Minos, sędzia dusz.

Po chwili jednakże przyjął czek i podpisał. Żeby go nie zabrudzić, przytrzymał go wierzchem dłoni. Stół kiwał się i skrzypiał. Stał na samym środku ciemnej, niemal pogańskiej kuchni, a na nim leżały chleb, wędlina, konserwy i dokumenty starego.

– Nie uważa pan, że to dobry pomysł?

– Warto by się nad nim zastanowić. Zgadzam się, że trzeba coś zrobić.

– To by się na pewno udało, gdyby się ludzie tylko przyłożyli. Nic więcej nie trzeba. Tak zresztą jest zawsze. Jak ludzie rozumieją, o co chodzi, to wszystko gra.

– Naturalnie – powiedział Grebe, wstał i zwrócił wzrok na starego. Ich spojrzenia skrzyżowały się.

– Wiem, że musi pan już iść – powiedział stary. – Trudno. Niech pana Bóg błogosławi.

Grebe znalazł się znowu na dworze i ruszył przez podwórze. W stojącej tam szopie, przy słabym świetle świecy jakiś człowiek zwał z dziecięcego wózek z kołami na podpałkę – słychać było odgłosy rozmowy.

Znalazłszy się w pasażu pomiędzy domami słyszał gwałtowny szum wiatru w gałęziach drzew, a potem, kiedy wszedł na chodnik, zobaczył czerwone punkciki świetlne na szczycie słupów trzymających liny mostu migające hen daleko, w tej otwartej, lodowatej przestrzeni na wysokości kilkuset metrów ponad poziomem rzeki i dachów fabryk. Widok był zasłonięty domami aż po miejsce, w którym rzeka skręcała na południe, dopiero tam odsłaniał się oszalowany brzeg z ustawionymi tuż nad wodą dźwigami. Odbudowana po Wielkim Pożarze ta część miasta była już znowu – zaledwie w pięćdziesiąt lat później – w opłakanym stanie. Okna fabryk zabite deskami, kamienice opuszczone przez lokatorów albo w ruinie, pomiędzy ich murami wyrastała istna dżungla. Ale to wszystko razem wcale nie sprawiało wrażenia pustki, wręcz przeciwnie, było tak, jak gdyby ten rozpad zorganizowanego życia zrodził kolosalną energię, jakąś ogromną, nieokiełznaną, swobodną siłę promieniującą z tego rozległego, dzikiego terenu. Ludzie na pewno to czują, rozważał Grebe, ale rodzi ona w nich jeszcze coś. Z pewnością chcieliby przede wszystkim sprostać jej. Całym ciałem. Bo i on, Grebe, także odczuwał coś

takiego. Bo rzeczywiście, rozmyślał, jego rodzice służyli u ludzi, a on już nie musiał tego robić. Jednakże od nich z pewnością nigdy nie wymagano, żeby wykonywali zadania, które żadnemu konkretnemu człowiekowi nie były potrzebne, a które, poza tym, były prawdopodobnie po prostu niewykonalne. O konieczności których nikt nie był przekonany i których spełnienie sprowadzało się do nie wiadomo czego. Nie oznaczało to bynajmniej, że chciał zrezygnować z wykonywania ich, spekulował Grebe z wyrazem głębokiego zamyślenia na twarzy. Wprost przeciwnie. Cieszył się, że ma określone zadania do spełnienia. Być zmuszonym do wchłaniania w siebie tej energii i nie mieć nic do roboty – to dopiero byłoby straszne. I jakże bolesne. Znał to uczucie. Zbliżał się koniec dnia pracy. Była szósta. Gdyby chciał, mógłby już pójść do domu, a raczej do swojego pokoju, umyć się w gorącej wodzie, zrobić sobie drinka, położyć się na łóżko, poczytać gazetę, zjeść kilka krakersów z pasztetem, a potem iść na kolację. Ale sama myśl o tym przyprawiała go o lekkie mdłości, zupełnie jak gdyby nałykał się zbyt zimnego powietrza. Pozostało mu jeszcze sześć czeków i uparł się, że doręczy przynajmniej jeden z nich – czek pana Greena.

Zaczął więc od początku. Minał cztery czy pięć ciemnych skrzyżowań, kilka opustoszałych placów, walących się domów, starych fundamentów, zamkniętych szkół, ciemnych kościołów, stromych nasypów i

pomyślał, że musi tu być jeszcze wielu ludzi, którzy pamiętają tę dzielnicę z czasów, kiedy była odbudowana i nowa. Teraz narosła druga warstwa ruin. Setki tysięcy ludzi tworzyły dzieje tego miasta. Powstało dzięki ich szalonemu wysiłkowi i im zawdzięcza również swój upadek. Budowle niegdyś tak nowe, tak konkretne, że aż symboliczne, rozpadły się w proch i pył. I w ten sposób, pomyślał Grebe, ujawniła się ich tajemnica – okazało się, że były wynikiem układów i to układów naturalnych. Gdyby nie to, czy miasta byłyby tak dziwne? Rzym, który prawie wcale się nie zmieniał, nie wywoływał tego rodzaju skojarzeń. Ale czy był rzeczywiście prawdziwym miastem? Tymczasem w Chicago, gdzie cykle przemijały tak szybko, gdzie wszystko, do czego ludzie przywykli, natychmiast zniknęło i to po to, żeby powrócić w innej postaci i w ciągu następnych trzydziestu lat znowu zmienić się i zniknąć – tam najwyraźniej widać było rządzące tym wszystkim układy lub pakty, co skłaniało do refleksji nad różnicą pomiędzy pozorami a rzeczywistością. (W tym momencie Grebe uśmiechnął się, gdyż przypomniał mu się Raynor. Raynor wcale nie był głupi). Kiedy człowiek uświadomił sobie to wszystko, wiele spraw układało się w logiczny wzór. Rozumiało się na przykład, skąd pan Field wziął swój dziwaczny pomysł. Jeżeli jakaś grupa ludzi postanowiłaby zrobić kogoś milionerem, to powstałby – oczywiście – autentyczny milioner. Żeby zorientować się, co zainspirowało Fielda, wystarczyło wyjrzeć przez jego

kuchenne okno na ulicę i zobaczyć prototyp bezbłędnego pomysłu, a mianowicie konstrukcję kolejki nadziemnej, upstrzoną niebieskim i zielonym confetti świetlnych sygnałów. Ludzie chętnie płacą dziesięć centów za przejażdżkę hałaśliwymi wagonikami, więc śmiało można uznać kolejkę za sukces. A jakże absurdalnie wyglądała i jak nierealny mógł się wydawać pomysł zbudowania jej. Ale Yerkes, wielki finansista, którego była dziełem, wierzył, że ludzie ją zaakceptują. Rozpatrywany w oderwaniu od innych realiów plan jego musiał robić wrażenie czystej fikcji. Więc jakże wątpić o możliwości zrealizowania zamysłu pana Fielda? Wymyślił prostą zasadę. Grebe przypomniał sobie, że pan Yerkes zbudował również obserwatorium astronomiczne, nadał mu swoje imię i zapisał na jego rzecz kilka milionów dolarów. Czy ofiarowanie takiej sumy pieniędzy astronomom wpadło mu do głowy, kiedy siedział w swoim nowojorskim, podobnym do muzeum pałacu, czy też kiedy płynął luksusowym jachtem po Morzu Egejskim? Czyżby sukces tego dziwnego przedsięwzięcia takim napełnił go zdumieniem i strachem, że postanowił sfinansować badania naukowe dla stwierdzenia, czy gdzieś, we wszechświecie, jest takie miejsce, gdzie nie ma różnicy pomiędzy życiem i pozorami życia? Tak, chciał się dowiedzieć, co przetrwa i czy ciało jest niezniszczalne jak biblijna trawa: i dawał pieniądze na to, żeby spalić się w ogniu słońc. No dobrze, pomyślał Grebe, te rzeczy istnieją, ponieważ ludzie zgadzają się istnieć wraz z nimi

– doszliśmy do tego – i istnieje rzeczywistość, która jest niezależna od naszego przyzwolenia, a w której jest ona grą. Ale jak to jest z nędzą, z nędzą, która paraliżuje niezliczone miliony ludzi? Odpowiedz mi na to pytanie, mały dżentelmenie, poczciwy człowieku. Powiedział to do samego siebie. Dlaczego ludzie zgadzają się na nędzę? I dlaczego jest ona tak bolesna, tak pełna brzydoty? Czy dlatego, że zawsze musi istnieć coś brzydkiego i przygnębiającego? Grebe westchnął, machnął ręką i pomyślał, że może wystarczy, że ma w kieszeni autentyczny czek dla pana Greena, pana Greena, który z całą pewnością także jest autentyczny. Gdyby tylko jego sąsiedzi nie uznali, że należy go ukrywać.

Tym razem zatrzymał się na drugim piętrze. Zapalił zapalkę i zapukał do drzwi. Jakiś człowiek otworzył je. Grebe pokazał mu czek i zapytał:

– Czy tu mieszka Tulliver Green? Jestem z opieki społecznej.

Mężczyzna przymknął drzwi i wdał się w rozmowę z kimś w głębi mieszkania.

– Czy on tu mieszka?

– Nie.

– Ale może gdzie indziej w tej kamienicy? Jest chory i nie może sam odebrać zasiłku.

Uniósł czek do góry tak, żeby padło na niego światło – z mieszkania wydobywał się smród przypalonego łożu – i mężczyzna odsunął daszek czapki, żeby się zorientować, na czyje nazwisko wypisany jest czek.

– Nie znam tego człowieka.

– Czy mieszka tu może ktoś, kto chodzi o kulach?

Mężczyzna milczał i niby to zastanawiał się, ale Grebe miał wrażenie, że udaje, żeby zyskać na czasie.

– Nie, panie, nie znam takiego.

– Szukam go od południa – powiedział Grebe w nagłej irytacji. – Będę musiał wrócić z tym czekiem do urzędu. To bardzo dziwne, że nie można znaleźć człowieka, któremu chce się wręczyć coś bardzo ważnego. Jestem pewny, że gdybym miał dla niego niedobłą wiadomość, nie byłoby z tym żadnych trudności.

W oczach mężczyzny ukazał się błysk zrozumienia.

– No pewnie – powiedział.

– Po co człowiekowi nazwisko, kiedy go w ogóle nie można znaleźć? Ale tu, u was, nazwisko nic nie znaczy. Jest właściwie niepotrzebne – uśmiechał się wciąż Grebe. Uśmiech ten był koncesją na rzecz głośnego, I śmiechu, na który zbierało mu się od kilku minut.

– Wie pan co? Widuję czasami na dole garbatego

staruszka. Może to on. Mieszka chyba na parterze.

– Gdzie? Po lewej czy po prawej stronie? Zna pan numer jego mieszkania?

– Nie, nie znam. Taki stary garbus z chudym pyskiem. O lasce chodzi.

Ale w żadnym z parterowych mieszkań nie było żywej duszy. Doszedł do samego końca korytarza świecąc sobie zapalkami. Były tam drzwi prowadzące na podwórko, ale bez schodów i to na wysokości dobrych sześciu stóp. W głębi podwórka stał stary bungalow podobny do tego, w którym mieszkał pan Field. Jednakże skok byłby zbyt niebezpieczny. Wrócił pędem do frontowych drzwi i przeszedł przez przejście podziemne na podwórko. Bungalow był zamieszkały. W górnym oknie paliło się światło. Na kartce pod rozbitą skrzynką na listy widniało nazwisko Green. Podniecony Grebe nacisnął guzik dzwonka i pchnął zaryglowane drzwi. Po chwili zgrzytnął klucz w zamku, drzwi otworzyły się i Grebe zobaczył strome schody. Ktoś schodził po nich powolnym krokiem – kobieta. W mdłym świetle pojedynczej żarówki zdawało mu się, że poprawia sobie włosy, żeby zrobić dobre wrażenie, gdyż miała uniesione ręce. Ale okazało się, że wodziła nimi po ścianach, żeby nie upaść. Zadziwiła go lekkość jej kroków, ale po chwili zorientował się, że jest boso. A przecież było przeraźliwie zimno na tych schodach. Na jego dzwonek zerwała się prawdopodobnie

z łóżka i zapomniała nałożyć pantofle. Okazało się jednak, że była nie tylko bosa, ale naga, zupełnie naga. Pijana, tęga, naga kobieta schodziła po schodach gadając do siebie bez przerwy. Wpadła na niego. Impet jej piersi – mimo że zetknęły się tylko z jego płaszczem – był tak silny, że cofnął się i uderzył plecami w drzwi i to z taką siłą, że aż mu się ciemno zrobiło w oczach. Cóż to wypłoszył z głębi dżungli na tym swoim polowaniu?

Kobieta wciąż mamrotała pod nosem i trzęsła się ze złości.

– Ja nic nie mogę... ? Ja nie mogę? Zaraz pokażę temu skurwielowi, zaraz mu pokażę.

Co robić? Najlepiej będzie chyba, jeżeli sobie pójdzie. Odwróci się i ucieknie stąd jak najprędzej. Nie mógł przecież rozmawiać z tą babą. Nie mógł pozwolić, żeby stała naga na mrozie. Ale kiedy spróbował odejść, okazało się, że nie może się na to zdobyć.

– Czy tu mieszka pan Green? – zapytał.

Naga kobieta wciąż gadała do siebie i nie usłyszała jego pytania.

– Czy to dom pana Greena?

Wreszcie spojrzała na niego rozwścieczonym, pijackim wzrokiem.

– Czego pan szuka?

I znowu wzrok jej powędrował w dal. Jej rozżarzone oczy mieniły się czerwonym blaskiem. Zastanawiał się, dlaczego ona nie drży z zimna.

– Jestem z opieki społecznej.

– No to co?

– Mam czek dla Tullivera Greena.

Tym razem jego słowa dotarły do niej, bo wyciągnęła rękę.

– Nie, nie. Dla pana Greena osobiście. On musi się sam podpisać. – Czy uda mu się wreszcie uzyskać podpis tego człowieka?!

– Ja to wezmę. On nie może zejść.

Potrząsnął głową w rozpacz. Przypomniał sobie przestrożę pana Fielda.

– Nie mogę dać pani czeku. Muszę doręczyć osobiście. Czy pani jest jego żoną?

– Może tak, może nie. A bo co?

– Czy on jest na górze?

– No dobra. Zanieś mu to sam, jak chcesz, głupi kretynie.

Oczywiście, że był kretynem. Pójdzie na górę i na pewno okaże się, że Green też jest goły i pijany. A może

ukaze się za chwilę na schodach? Grebe wpatrywał się w nie z nadzieją w sercu. Ale pod lampą widać było tylko wysoką brunatną ścianę. Nikogo tam nie było. Nikogo.

– A niech cię szlag trafi! – wrzasnęła kobieta. Żeby doręczyć jej mężowi pieniądze na węgiel i odzież, trzymał ją nagą na mrozie. Ona nie marzła, ale jemu twarz płonęła z zimna i poczucia własnej śmieszności. Cofnął się przed naporem jej rozjuszonego wzroku.

– Proszę mu powiedzieć, że przyjdę jutro.

– A niech cię skreśli! Możesz w ogóle nie wracać. Czego tu szukasz po nocy? Uciekaj, ale to już!

Wrzeszczała na cały głos i Grebe widział nasadę jej języka. Rozkraczona, stała w zimnym, ciasnym pudle hallu trzymając się to poręczy schodów, to ścian. Cała ta rudera miała kształt pudła, wysokiego, kiepsko skleconego pudła z wiekiem sterczącym w mroźnym, skrzącym się powietrzu.

– Jeżeli pani jest żoną Greena, to mogę dać pani czek.

– No to dawaj go.

Chwyliła czek, lewą ręką sięgnęła po długopis, przyłożyła do ściany pokwitowanie i próbowała je podpisać. Grebe spojrzął za siebie, jak gdyby chciał się upewnić, że nie ma tam świadków jego szaleństwa, i przez ułamek sekundy zdawało mu się, że na stercie

starych opon przed sklepem z używanymi częściami samochodowymi stoi ktoś i obserwuje go.

– Czy pani na pewno jest żoną Greena? – zapytał jeszcze raz, ale było za późno. Kobieta już wracała na górę. Grebe zrozumiał, że jeżeli nawet popełnił błąd, to już go nie naprawi. Postanowił nie martwić się więcej tą sprawą. Nawet jeżeli to nie była żona Greena, to pan Green z pewnością był na górze. Kimkolwiek była, działała w zastępstwie Greena, którego tym razem nie miał zobaczyć. No cóż, stary idioto, powiedział do siebie, wyobrażasz sobie pewnie, że go znalazłeś. Ale o co ci właściwie chodzi? Czym ty się właściwie tak przejmujesz?

Ważne było to, żeby Green istniał, prawdziwy Green, którego tym ludziom nie udało się ukryć przed Grebem, mimo że zrobił na nich wrażenie emisariusza wrogich na pozór sił. I chociaż poczucie własnej śmieszności jeszcze długo w nim pokutowało, a twarz jego wciąż płonęła z zażenowania, powoli brało w nim górę poczucie radości i dumy.

– No, bo mimo wszystko – powiedział do siebie. – No, bo mimo wszystko okazało się, że można było tego człowieka znaleźć.

Manuskrypt Gonzagi

Clarence Feiler, ubrany w wysoko pod szyją zapiętą długą, miękką, ciemnozieloną jesionkę, wysiadł z ekspresu Hendaye-Madrid. Było późne popołudnie, padał deszcz. Rojący się od ludzi i ledwo oświetlony pomarańczowym światłem dworzec zdawał się tonąć w ciemności i hałasie. Podobne do wychudzonych koni hiszpańskie lokomotywy wypuszczały z siebie parę z niemiłosiernym piskiem. Pasażerowie przeciskali się w pośpiechu przez wąskie wyjścia. Tragarze i waluciarze zaczepiali Clarence'a, który – o czym świadczyła jego krótka, jasna bródka, niebieskie oczy, kapelusik z malutkim rondem, długi płaszcz i buty na gumowych podszwach – był niewątpliwie cudzoziemcem. Ale Clarence miał tylko jedną walizkę i nie potrzebował pomocy. Nie była to zresztą jego pierwsza wizyta w Madrycie. Stara limuzyna zawiozła go do Pension La Gran ja, gdzie zarezerwował sobie pokój. Ta limuzyna najprawdopodobniej jeździła po bulwarach Madrytu jeszcze przed narodzeniem się Clarence'a, ale była wciąż piękna i sprawna. Miała głębokie tylne siedzenia, a jej okna przypominały szyby w starych serwantkach. Clarence słuchał z przyjemnością pomruku wspaniałego motoru. Gdzie jeszcze na świecie można było sprawić sobie taką przejażdżkę? I to w taki wieczór, i przez takie

ulice? Clarence uwielbiał hiszpańskie miasta, nawet te najbiedniejsze i najskromniejsze, a już stolice prowincjonalne były bliższe jego sercu niż jakiegokolwiek inne miejsca na świecie. Po raz pierwszy przyjechał do tego kraju jeszcze jako młody chłopiec. Studiował wówczas literaturę hiszpańską na uniwersytecie Minesoty. W kilka lat później powrócił i wtedy zobaczył, jak bardzo wojna domowa zdewastowała ten kraj. Tym razem przyjechał nie w celach turystycznych, ale z konkretnym zadaniem. Dowiedział się bowiem od pewnego hiszpańskiego uchodźcy żyjącego w Kalifornii, że gdzieś w Madrycie znajdowało się ponad sto wierszy Manuela Gonzagi. Żaden hiszpański wydawca nie mógł ich wydrukować, ponieważ zawierały krytykę wojska i państwa. Trudno było uwierzyć, że wiersze jednego z największych współczesnych poetów hiszpańskich, dzieło geniusza, nie były dopuszczone do druku. Jednakże ów uchodźca przedstawił Clarence'owi niezbite na to dowody. Pokazał mu mianowicie listy do jednego z bratanków poety, człowieka o nazwisku Guzman del Nido, przyjaciela i opiekuna spuścizny literackiej Gonzagi, który służył niegdyś w Północnej Afryce. Z listów tych wynikało, że Guzman miał te wiersze, ale że ofiarował je niejkiej hrabinie del Camino, ponieważ większość z nich zawierała wyznania miłosne skierowane właśnie do niej. Hrabina zmarła w czasie wojny, jej dom został obrabowany i nikt nie wiedział, co stało się z wierszami.

– Może Guzmana to już teraz nic nie obchodzi – dodał uchodźca. – Należy do tych ludzi, którzy uważają, że wszystko się skończyło i że należy już tylko myśleć o tym, jak się urządzić. Guzman del Nido urządził się i wzbogacił. Jest posłem do Kortezów.

– Majątek nie zawsze korumpuje – zauważył Clarence, który sam miał trochę pieniędzy. Nie był bogaty, ale nie musiał zarabiać na życie. – Ten człowiek jest niegodziwy, skoro nie dba o spuściznę po przyjacielu. I to jaką spuściznę! Powiem panu coś. Zabijałem czas na uniwersytecie dopóty, dopóki nie zetknąłem się z poezją Gonzagi. Rok, który spędziłem pisząc pracę dyplomową na temat „Los Huesos Secos”, był moim pierwszym dobrym rokiem od chłopięcych lat. Nikt po nim już nic takiego pięknego nie napisał. Nie jestem wielkim zwolennikiem anglosaskiej poezji. Zawiera na pewno wiele dobrych utworów, ale są pozbawione chęci życia. Takiego życia, na jakie człowiek zasługuje, oczywiście. Pomijają ten temat całkowicie. Ale kiedy po raz pierwszy otworzyłem tomik Gonzagi, przeczytałem:

Moje zęby to drobiny wapna,

Mój mózg to kilka omów zaledwie,

Może więc myślisz, że sam jestem okruchem.

Ale postuchaj mnie, mój panie,

Jestem żywym stworzeniem,

Tak jak wszystkie żywe stworzenia.

Zrozumiałem, mimo nuty ironii zawartej w tym wierszu, że stoję w obliczu poety, od którego mógłbym nauczyć się, jak żyć, jak się do życia ustosunkować. Byłem wręcz oczarowany jego wielkimi, pełnymi pasji poematami, takimi jak „Strofy nocy”, które znam na pamięć od początku do końca i które wydają mi się często jedyną rzeczą, jaka naprawdę jest moją własnością. Clarence często wpadał w przesadę.

– Albo wiersz pod tytułem „Wyznanie”. To ten, który zaczyna się:

Kiedyś kochałem wszystkich,

Teraz każdego się boję.

Cieszył mnie deszcz,

Cieszyło słońce,

Dziś przeraża mnie sam

Ciężar mojego ciała.

Kiedy przeczytałem ten wiersz, zrozumiałem, dzięki Gonzadze, że jeżeli próbujemy być wszystkim, tracimy wszystko. Była to z pewnością najcenniejsza nauka, jaką otrzymałem w życiu. O, Boże! Ktoś musi zająć się odnalezieniem tych wierszy. Nie można dopuścić do tego, żeby przepadły. Są z pewnością wspaniałe.

Poczuł się nagle tak, jak gdyby brał udział w wyścigu. Był szalenie podniecony, cały rozgorączkowany, zdolny do każdego wysiłku, no i głęboko wdzięczny poecie. Albowiem Clarence nie miał dotychczas żadnych zainteresowań. Nic konkretnego do zrobienia. Uważał, że nie wolno mu się żenić, dopóki nie ustabilizuje się, ponieważ, jego zdaniem, mąż powinien świecić żonie przykładem. Zapuścił brodę. Nie po to, żeby się zamaskować, ale po prostu z braku innych zajęć i żeby nadać kształt swojemu życiu. Zamieniał się powoli w ekscentryka: nie znajdował innego ujścia dla swojej energii. Nie zdawał sobie sprawy, że w gruncie rzeczy ciągnęło go w stronę religii. Był zbyt nieśmiały na to, by głosić, iż wierzy w Boga, i nie wyobrażał sobie, że mogłoby to kogokolwiek interesować. Jest słaby, powiedziano by, więc musi w coś wierzyć. Jednakże wierszami Gonzagi entuzjasmował się szczerze i odnalezienie nieznanymi utworów genialnego Hiszpana uznał za rzecz pierwszorzędnej wagi. A pytanie „Czy to rzecz ważna?” miało dla niego zawsze zasadnicze znaczenie. Świadomość tego, że przestał być obojętny, że

niczego nie udaje, napełniła Clarence'a cichą radością. A sprawa była naprawdę „ważna” i właśnie to mogło okazać się dla niego zbawienne. Przyjechał więc do Madrytu nie po to, żeby wykonać zadanie o wielkim znaczeniu dla kultury, ale po to, żeby zrobić coś autentycznie dobrego i pożytecznego, a mianowicie przekazać światu posłanie wielkiego człowieka. Co światu z pewnością wyjdzie na dobre.

Wkrótce po przybyciu do Pension La Granja, kiedy już zapalono lampy w jego wygodnym, dużym pokoju z balkonami wychodzącymi wprost na największy z madryckich parków, znany pod nazwą Retiro, Clarence zadzwonił na portiera i dał mu dwa listy do wysłania. Jeden do Guzmana del Nido, towarzysza broni Gonzagi z marokańskiej wojny, drugi do Miss Faith Ungar zamieszkałej przy ulicy Garcia de Parades. Panna Ungar była studentką wydziału historii sztuki, a jej narzeczony pilotem liniowym, który przywoził z Tangieru tanie pesety. Clarence brzydził się czarnym rynkiem, ale oficjalny kurs był po prostu śmieszny. Był wprawdzie gotów zapłacić dużą sumę za manuskrypty Gonzagi, ale w przeliczeniu osiemnaście pesetów za dolara stanowiłoby to małą fortunę.

Właścicielka „pensionu” przyszła do pokoju Clarence'a, żeby się z nim przywitać. Była to wysoka, dość mizerna kobieta z włosami upiętymi na czubku głowy w kunsztowny kok podobny do turbanu. Poprosiła go przy

okazji o paszport i inne dokumenty dla okazania policji i opowiedziała mu coś niecoś o swoich pozostałych lokatorach. Najstarszym z nich był emerytowany generał. Poza nim w pensjonacie mieszkało kilku urzędników z British Shell, wdowa po ministrze i sześciuosobowa delegacja handlowa z Brazylii. W jadalni nie było ani jednego wolnego miejsca.

– A pan jest tu jako turysta? – zapytała zerknąwszy na jego „triptico”, czyli wydany przez policję dokument, jaki każdy turysta musi zawsze mieć przy sobie w czasie pobytu w Hiszpanii.

– I tak, i nie – odparł Clarence ostrożnie.

Nie miał ochoty uchodzić za turystę, ale wiedział, że wskazana jest ostrożność. Wiersze Gonzagi – mimo że nie chciano ich publikować – zaliczane były, prawdopodobnie, do kategorii skarbów narodowych.

– A może będzie pan prowadził jakieś prace badawcze?

– O, właśnie.

– Mamy tu wiele rzeczy, które interesują pańskich Współziomków.

– Oczywiście – zgodził się i przybrawszy wyraz szczerości zwrócił ku niej swoją zaróżowioną, okoloną jasną bródką twarz. W świetle lampy kolor jego warg był szczególnie żywy. Na dworze jeszcze się całkiem nie

ściemniło, ale deszcz niemal ustał. Niebo zawieszzone nad drzewami Retiro szybko się przejaśniało, resztki żółtawego światła dziennego prześwitywały przez wodnistą szarość chmur. Pałaki trolejbusów sypały zielone iskry na świętojańskie drzewa.

Rozległ się dzwonek na kolację – staroświecki, ręczny. Dumną wyprostowaną służącą machała nim idąc wzdłuż korytarza.

W jadalni goście jedli już zupę. Był to pokój wewnętrzny, którego ściany pokrywała ciemnoczerwona materia. Brazylijczycy prowadzili ożywioną rozmowę. Stary generał, trochę już zesklerociał i prawie ślepy, mieszał zupę łyżką, ale jej nie jadł. Doña Elvira zaprowadziła Clarence'a do stolika, przy którym siedziała już masywna brytyjska dama. Zorientował się natychmiast, że nie będzie to miła towarzysząca posiłków. Wyglądała okropnie. Twarz miała mocno wymalowaną i była z pewnością przekonana o swoim nieodpartym wdzięku i być może nie była go całkowicie pozbawiona mimo płonących oczu. Na jej głowie masy ciemnorudych loków walczyły ze sobą usilnie o pierwszeństwo.

– Jeżeli przyjechał pan do Madrytu, żeby się zabawić, to proszę na to nie liczyć. Mieszkam tu od dwudziestu lat i nigdy mi się to jeszcze nie przytrafiło – powiedziała. – Teraz czuję się już tak zmęczona, że jest mi to obojętne. Przestałam nawet czytać książki, do kina nie chodzę,

nawet „Coyote” czytam z trudem, właściwie przeglądam tylko komiksy. Zupełnie nie rozumiem, po co przyjeżdża tu tylu Amerykanów. Są wszędzie. Jeden z pańskich biskupów został niedawno aresztowany w Santanderze, bo kapał się bez górnej części kostiumu.

– Naprawdę?

– Oni są tu bardzo wrażliwi na strój. Przypuszczam, że gdyby wiedzieli, że chodzi o biskupa, daliby mu spokój. Jednak w wodzie...

– To bardzo dziwne – zastanowił się Clarence. – No, ale na szczęście nie jest to z pewnością żaden z moich biskupów. Ja nie mam biskupów.

– Ale ma pan na pewno kongresmanów. Dwaj kongresmani zasnęli niedawno w pośpiesznym pociągu do Barcelony i ukradziono im spodnie. Zdjęli je i powiesili na wieszaku, bo było im za gorąco. Złodzieje, którzy siedzieli na dachu, sięgnęli do przedziału przez okno. W biały dzień. W każdej parze spodni było około dwóch tysięcy dolarów. Czy ci ludzie nie mają portfeli? Nie rozumiem, dlaczego trzymali tyle pieniędzy po kieszeniach.

Clarence zmarszczył brwi.

– Owszem, czytałem o tej historii – powiedział. – I nie potrafię pani powiedzieć, dlaczego ci ludzie trzymali tyle pieniędzy po kieszeniach. Może byli z Południa i nie

wykluczam, że tam jest taki zwyczaj. Ale to nie moja sprawa.

– Obawiam się, że drażnię pana – powiedziała, ale widać było, że nie obawia się niczego. Robiła wrażenie raczej rozbawionej. Miała ochotę podręczyć go trochę. Dlaczego? – zastanawiał się Clarence. Ale nic nie przychodziło mu do głowy.

– Pani mnie wcale nie drażni.

– Ale jeżeli tak, to nie jest to wyłącznie moja wina. Wie pan, Stendhal napisał kiedyś, że Anglicy w głębi serca lubią być nieszczęśliwi.

– Czyżby? – odparł i spojrzał na nią z nieco większym zainteresowaniem. Co za zrujnowana twarz. Pełna niepokoju, energii i sfrustrowanej inteligencji. Niebywała osoba. Trochę jej współczuł i – mimo wszystko – był zadowolony, że ją poznał.

– Stendhal miał, być może, rację. Widzi pan, ja kiedyś bardzo dużo czytałam. Byłam osobą kulturalną. Interesowało mnie wszystko, co miało związek ze sprawami seksualnymi, ale to się skończyło.

– Proszę tak nie mówić...

– Ma pan rację. To ta pogoda tak na mnie działa. Ostatnio leje bez przerwy. Teoretycznie latem nie powinno tu w ogóle padać. Jak żyję, nie pamiętam takich

deszczów. To prawdopodobnie wasza wina.

– Nasza? Nie rozumiem.

– Mówią, że to ma jakiś związek z bombą atomową. Od czasu, kiedy się zaczęło z tymi atomami, pogoda płata dziwne figle. Nikt jeszcze nie wie, jaki wpływ na nasze życie ma promieniowanie. To może być początek końca.

– Zupełnie nie wiem, co pani odpowiedzieć – mruknął Clarence. – Ale zaraz, dlaczego tylko amerykańskie bomby miałyby być takie groźne? Są jeszcze inne.

– Ciągłe czyta się o tym, że Amerykanie robią próbne wybuchy. Pod wodą. Te bomby robią wielkie dziury w dnie oceanów. Zimna woda wypełnia je i obniża temperaturę wnętrza kuli ziemskiej. Od tego kurczy się skorupa ziemska. Nikt nie może przewidzieć, jakie to będzie miało skutki. Pogoda już się zmieniła.

Clarence poczuł, że mu krew uderza do głowy. Wyglądał na oszołomionego. Bezmyślnie rozgrzebywał na talerzu pieczeń i frytki.

– Nie nadażam za rozwojem techniki – powiedział po chwili. – Teraz przypominam sobie. Przeczytałem gdzieś o tym, że różne zakłady przemysłowe wypuszczają w atmosferę sześć miliardów ton dwutlenku węgla rocznie, w związku z czym ziemia rozgrzewa się coraz bardziej, a to dlatego, że powietrze zmieszane z dwutlenkiem węgla jest złym przewodnikiem ciepła. Dzięki temu nie grozi

nam powrót do epoki lodowcowej.

– No tak, ale nie zapominajmy o węglu czternaście. Wy, Amerykanie, wypuszczacie tego sporo w atmosferę. Jest to szalenie niebezpieczne.

– Nie znam się na tym. Poza tym nie czuję się odpowiedzialny za wszystko, co robią Amerykanie. Pani też nie może brać odpowiedzialności za wszystkich Anglików. To nie pani pokonała hiszpańską armadę. A ja nie zdobyłem Dalekiego Zachodu. Pani nie jest Winstonem Churchillem, a ja nie rządę Pentagonem.

– Czuję, że pan jest fanatykiem – oświadczyła Angielka.

– A ja czuję, że pani jest wstrętną, starą babą – wrzasnął Clarence. Wstał i poszedł do swojego pokoju.

W pół godziny później Angielka zastukała do jego drzwi.

– Bardzo mi przykro – powiedziała. – Chyba posunęłam się za daleko. No, ale już dobrze, co? Pogódźmy się. Taki wybuch złości jest szalenie zdrowy. Naprawdę.

Uśmiechnęła się przyjaźnie, widać było, że jest szczęśliwa.

– W porządku – odparł. – Mnie także jest przykro.

Awanturowanie się z tą starą Angielką nic mu nie da. Są zapewne dobre i złe sposoby szukania tych manuskryptów. Trzeba zastosować zasady samego Gonzagi. W przeciwnym wypadku jakież by to wszystko miało sens?

Po namyśle Clarence doszedł do wniosku, że panna Walsh – gdyż tak nazywała się Angielka – prowokując go do sprzeczki wyrzuciła mu przysługę. Niechcący wystawiła na próbę jego motywacje. Nie przyjechał przecież do Hiszpanii, żeby działać bezsensownie i na chybił trafił. Teraz był jeszcze silniej zdeterminowany niż przedtem, bardziej świadomy swojego zadania, jeszcze wdzięczniejszy Gonzadze za dar jego poezji.

Nazajutrz obudził się przejęty jedną tylko myślą: znaleźć się jak najszybciej w księgarni i sprawdzić, które utwory Gonzagi zostały wydane. Wskoczył szybko z wygodnego łóżka, naciągnął kalesony, nerwowo pozapinał spinki, umył się w małej umywalce ze spiczastymi kranami, spojrzął w wiszące nad nią lustro, przeczesał włosy i brodę palcami. Z położonego po drugiej stronie ulicy parku dochodził zapach przekopanej ziemi i świeżo podlanych kwiatów. Poranek był słoneczny, bezwietrzny i błękitny. Pokojówka przyniosła mu śniadanie. Przełknął kilka kęsów twardej, grubej grzanki, popił gorzką *café au lait* z wielkiej filiżanki i wybiegł na miasto w poszukiwaniu księgarni.

U Bucholza znalazł tylko jeden tomik, którego nie znał, był to zbiór listów Gonzagi do ojca. Na frontispisie znajdowało się zdjęcie Gonzagi w mundurze porucznika – był zbyt, jak na wymagania Clarence'a, niskiego wzrostu – siedzącego przed staromodnym pianinem. Wielkimi oczami patrzył wprost w obiektyw. Pod zdjęciem widniały takie słowa: „Ilekroć zdarzy mi się w którymś z tych marokańskich miast znaleźć pianino, to po dziesięciu lub piętnastu minutach grania zazwyczaj odnajduję siebie. Poza tym nie wiem o sobie nic”. Po obejrzeniu fotografii i przeczytaniu podpisu Clarence poczerwieniał na twarzy ze wzruszenia. Cóż to za człowiek ten Gonzaga – jaka osobowość! Na pierwszej stronie tomiku widniała wcześniejsza wersja wiersza, który Clarence zawsze podziwiał. Utwór zaczynał się tak:

Niechaj usłyszę dźwięk,

Który na pewno nie ja wydałem.

Głos (innego stworzenia,

Na pewno innego...

Inny głos,

Na pewno inny niż mój...

Czytanie tomiku pochłoneło Clarence'a całkowicie aż do jedenastej. Ogarnięty czymś w rodzaju intelektualnego, rzec można, głodu siedział przy kawiarnianym stoliku i czytał go od początku do końca. Cóż to była za wspaniała poezja! Podziękował Panu Bogu za to, że przysłał mu hiszpańskiego uchodźcę, dzięki któremu zdecydował się na wyjazd do Hiszpanii.

Ociągając się opuścił wreszcie kawiarnię i pojechał taksówką na ulicę Garcia de Parades, do panny Ungar. Wcale nie miał na to ochoty, ale potrzebował pesetów, a innego sposobu na zdobycie ich nie miał.

Ale znowu szczęście mu dopisało. Panna Ungar była zupełnie inna, niż wyobrażał sobie studentkę historii sztuki handlującą walutą po cenach czarnorynkowych. Była młoda, bardzo ładna, miała wąską, inteligentną, bladą twarz. Zaczesane w tył i zebrane na karku włosy zwisające na plecy połyskliwym, gęstym „końskim ogonem”. Oczy jej były niemalże przezroczyście. Clarence poczuł natychmiastową sympatię do dziewczyny. Nawet fakt, że jej zęby – przez kontrast z jej jasną cerą – były nieco zbyt matowe, zrobił na nim dodatnie wrażenie. Uznał to za dowód jej naturalności. Nosila – zawieszony na wstążce dokoła szyi – duży srebrny medalion.

- Czy to jest wizerunek jakiegoś świętego? – zapytał.
- Nie – odparła. – Chce pan to obejrzeć z bliska?

Nachyliła się do przodu i medalion zaczął się kołysać. Clarence wziął do ręki ciepły srebrny krążek i przeczytał: „Nagroda imienia Heleny Waite za studia z zakresu historii”.

– Pani go zdobyła?

– No, tak.

– Więc dlaczego zajmuje się pani takimi interesami?

– A po co pan tu przyszedł?

– Potrzebne mi są pesety.

– A mnie dolary. Mój narzeczony i ja chcemy kupić dom.

– Rozumiem.

– Poza tym jest to okazja do poznawania ludzi. Amerykance mieszkającej w Madrycie nie łatwo jest o znajomości. Nie mogę w końcu siedzieć po całych dniach w Prado albo w Bibliotece Narodowej. Ludzie z ambasady są nudni jak flaki z olejem. Mój narzeczony przyjeżdża tylko dwa razy w miesiącu. Czy pan tu urlopuje?

– I tak, i nie.

Nie wierzyła mu. Wiedziała, że przyjechał do Hiszpanii z wyraźnym celem. Sam nie był pewien dlaczego, ale sprawiało mu to przyjemność.

– Jak się panu mieszka w pensjonacie Granja?

– Nieźle. Jakaś dziwna Angielka napadła na mnie wczoraj wieczorem i najpierw oskarżyła mnie o robienie prób nuklearnych, a potem stwierdziła, że jestem fanatykiem. Wydaję się jej podejrzany.

– Każdy ma swojego bzika.

– Zgadzam się.

Był pewny, że dziewczyna zaręczona z liniowym pilotem będzie nim gardziła. Ale ona nie, ani trochę. Wkrótce zaczął się zastanawiać, dlaczego zainteresował ją tego rodzaju mężczyzna.

– Jeżeli nie ma pani nic lepszego do roboty, to może zjadłaby pani ze mną obiad – zaproponował jej. – W ten sposób uratuje mnie pani przed panną Walsh.

Poszli do restauracji. Mimo że dzień był upalny, panna Ungar zatrzymała się na podwórzu, żeby naciągnąć ażurowe rękawiczki. Kobieta bez rękawiczek uchodziła w Madrycie za wulgarną. Clarence podziwiał ruchy jej palców przy tej czynności. Ileż żywotności było w tej dziewczynie! Jej blada twarz promieniowała łagodnym ciepłem. Po drodze powiedziała mu, że dzisiaj nie rozporządzą większą ilością pesetów. Przyrzekła, że kupi jego dolary po kursie wymienionym w *Tribune* w dniu zawarcia transakcji, to znaczy w dniu, w którym nadejdą jej pieniądze. Zbiegnie się to, oczywiście, z dniem

zjawienia się w Madrycie jej narzeczonego, pomyślał Clarence. Nie miał prawa czuć się tym dotknięty, ale mimo to zrobiło mu się trochę przykro.

Kiedy zbliżali się do Ministerstwa Marynarki, weszła im w drogę procesja. Na jej czele szli księża z chorągwiami, a za nimi czterej mężczyźni dźwigali na ramionach figurę Matki Boskiej. Grupa bosonogich wdów w czarnych mantylach sunęła tuż za nimi. Potem kilka starszych kobiet z zapalonymi świecami w rękach. Większość z nich wyglądała na stare panny. Płomyki świec rzucały mały dodatkowy blask na każdą z tych twarzy. Orkiestra grała marsza żałobnego Beethovena. Nad murami ministerstwa sterczały wierzchołki liściastych drzew, w powietrzu rozchodził się ten sam zapach rozkopanej ziemi i kwiatów, jaki Clarence wdychał tego ranka przez okno swojego pokoju – zapach grobów i rozgrzanych słońcem sosen. Po drugiej stronie skweru spawano szyny przy akompaniamencie syków i trzasków wydobywających się z palnika. Minęły ich puzony i trąby z szeroko otwartymi otworami gębowymi, płomyki świec oddalały się, wkrótce zupełnie znikły, ale Clarence był wciąż zafascynowany widokiem gołych białych stóp wdów kroczących po zakurzonej asfalcie i kiedy procesja przeszła, powiedział do panny Ungar:

– To było wspaniałe. Jakże się cieszę, że tu przyjechałem.

Patrzył na nią spod uniesionych brwi i z tak ożywioną twarzą, że roześmiała się i powiedziała:

– Pan jest bardzo wrażliwy. Podoba mi się, że pan tak żywo na wszystko reaguje. Musi pan zwiedzić Toledo. Czy zna pan to miasto?

– Nie.

– Bardzo często tam jeżdżę. Do biblioteki. Niech pan pojedzie ze mną następnym razem. Pokażę panu dużo ciekawych rzeczy.

– Nie wyobrażam sobie nic miłszego. Kiedy się pani wybiera?

– Jutro.

Clarence zmartwił się.

– Niestety, jutro nie mogę – powiedział. – Przyjechałem dopiero wczoraj i przez pewien czas będę bardzo zajęty. Może innym razem. Proszę mi dać słowo honoru, że zabierze mnie pani ze sobą. Bo, widzi pani, przyjechałem tutaj w pewnej sprawie – pani się zapewne domyśla, że tak jest – no i nie mam w tej chwili czasu na nic innego. Jestem tym zresztą ogromnie przejęty.

– Czy to jakaś tajna misja?

– Do pewnego stopnia. Jest w tym coś nielegalnego. No, ale pani mnie przecież nie zdradzi, więc chętnie pand

wszystko opowiem. I tak nie potrafię o niczym innym myśleć. Czy słyszała pani kiedyś o poecie nazwiskiem Gonzaga?

– Gonzaga? Chyba tak. Ale zupełnie nie znam jego utworów.

– Szkoda. To był bardzo wielki pisarz, chyba najoryginalniejszy ze wszystkich współczesnych poetów hiszpańskich. W tej samej kategorii co Juan Ramón, Jimenez, Lorca, Machado. Przerabiałem go w szkole, zrobił na mnie ogromne wrażenie. Żeby go zrozumieć, trzeba przede wszystkim podejść do współczesnej literatury jako do wyroczni, która nakreśla ludzkości jej najbliższe zadania, uczy nas, jak mamy spędzać czas dany nam na ziemi, jak powinniśmy reagować, na co patrzeć, skąd czerpać odwagę, jak kochać i nienawidzić, która mówi nam, kiedy jesteśmy czyści, kiedy wielcy, kiedy straszni, kiedy występni (wie pani!), no i w ogóle wszystko. Dotychczas nauki zawarte w literaturze nie prowadziły do niczego. Ale, widzi pani, Bóg teraz już nie kieruje ludźmi tak jak dawniej i od dawna ludzie nie czują już, że życie jest mocno zakotwiczone na jednym i drugim biegunie i że mogą – bez obawy – spokojnie stać na środku. Brak nam dzisiaj takiej wiary i od wielu lat poeci próbują nam ją zastąpić. Przedstawiając się w roli „nieoficjalnych prawodawców”, pisząc, że „najlepsze jest jeszcze przed nami”, lub oświadczając, jak Walt Whitman, że ten, kto jego dotknął, dotknął człowieka. Niektórzy

poeci głoszą chwałę piękna, inni doskonałość proporcji, a najlepsi z nich rychło wyrzekli się uprawiania sztuki dla sztuki. Inni uznali za swoją najwyższą powinność demonstrowanie takiego gatunku odwagi, jaka jest udziałem artystów, którzy swoim spokojem zapobiegają panice, kiedy na przykład w teatrze wybucha pożar. Byli wśród nich tacy jak Tołstoj, który rzucił wszystko i poszedł w lud, jak Rimbaud, który pojechał do Abisynii i pod koniec życia błagał księdza: *Montrez-moi, montrez...* „Wskaż mi drogę”. Straszne było życie, jakie wiedli niektórzy z tych geniuszów. Zapewne brali na swoje barki zbyt wielką odpowiedzialność. Wiedzieli, że jeżeli swoimi wierszami czy powieściami określają jakieś wartości, to te wartości nie mogą być ostateczne. Pojedynczy człowiek nie potrafi ich stworzyć. Owszem, może próbować, jeżeli skłania go do tego natchnienie, ale jeżeli ono skłania go raczej do tworzenia słów, to nic z tego. Nie przerzucamy na poetów pełnej odpowiedzialności za sens istnienia i wartościowanie dobra i zła – bo wtedy poeci zginą. Jednakże poezja zawsze była odbiciem wszystkiego, co nam się przytrafiło. Są ludzie, którym się wydaje, że są odpowiedzialni za wszystko. Gonzaga do nich nie należy. I dlatego uwielbiam go. Proszę, niech pani przeczyta, co on pisze w niektórych swoich listach. Znalazłem ten wspaniały zbiór właśnie dzisiaj rano.

Długimi, drżącymi palcami położył książeczkę na stoliku. Na spokojnej twarzy panny Ungar malowało się

teraz coś więcej niż zwykle zainteresowanie.

– Proszę posłuchać. Gonzaga pisze tak do ojca: „Wielu z nas sądzi, że muszą powiedzieć wszystko, a tymczasem wszystko zostało już tyle razy powiedziane, odwołane, powtórzone, że – uświadomiwszy to sobie – wpadamy nieuchronnie we frustrację, chyba że zrozumiemy, iż dorzucamy tylko nasz głos. I że dorzucamy go tylko wtedy, kiedy ogarnia nas natchnienie. Wtedy i tylko wtedy”. Albo to: „Wiersz może przeżyć swój temat – na przykład mój wiersz o dziewczynie, co śpiewała piosenki w pociągu – ale poeta nie ma prawa spodziewać się tego. Wiersz nie może być bardziej uprzywilejowany niż dziewczyna”. Teraz już pani rozumie, co to był za człowiek?

– Bardzo interesujący – powiedziała. – Rozumiem pana doskonale.

– Przyjechałem do Hiszpanii, żeby odnaleźć jego nieopublikowane utwory. Mam trochę pieniędzy i nigdy nie potrafiłem znaleźć sobie celu w życiu. Nie mam żadnych szczególnych talentów. Ale jakby nie było, jestem tu i zamierzam odnaleźć te wiersze. Mnóstwo ludzi uważa się za przywódców, uzdrowicieli, kapłanów, rzeczników Pana Boga na ziemi, proroków lub przynajmniej świadków, ale Gonzaga przemawiał do ludzkości tak, jak człowiek do człowieka, nie przybierał żadnych póz. Nigdy niczego nie fałszował. Chciał widzieć

rzeczy takie, jakimi są w rzeczywistości. Żeby wzruszać, nie musiał się wysilać, wystarczyło, że po prostu był. Najnaturalniejsze ze wszystkich poczynań uczyniliśmy najtrudniejszym. Na nasze nieszczęście Gonzaga zginął w bardzo młodym wieku. Ale pozostawił wiersze do niejakiej hrabiny del Camino. Przyjechałem tu po to, żeby je znaleźć.

– To wspaniały zamiar. Życzę panu powodzenia. Mam nadzieję, że znajdzie pan ludzi, którzy przyjdą panu z pomocą.

– Czemuż by nie?

– Nie wiem, ale czy pan nie spodziewa się trudności?

– A czy pani zdaniem powinienem się ich spodziewać?

– Jeżeli chce pan znać moją opinię, to chyba tak.

– A może dostanę te wiersze, tak, po prostu – powiedział Clarence. – Nie można niczego przewidzieć.

– Bogu dzięki, nareszcie coś się ruszyło – westchnął Clarence, kiedy otrzymał odpowiedź od Guzmana del Nido. Członek Korteżów zapraszał go na kolację. Clarence był przez cały dzień bardzo podniecony. Na dodatek pogoda była szczególnie uciążliwa, powietrze duszne, z rana prażyło słońce, potem spadł ulewny deszcz.

– A nie mówiłam panu? – zauważyła panna Walsh.

Ale kiedy późnym popołudniem wyszedł na ulicę, niebo było znowu jasne i czyste, a girlandy liści, przeplecione przez sztachety balkonów z okazji niedzieli palmowej, wędły w gorących promieniach słońca. Przeszedł się przez Puerta del Sol pełnej poszukiwaczy rozrywek, żebraków, obiboków, bogatych kobiet, żołnierzy, policjantów, sprzedawców biletów loteryjnych i wiecznych piór, księży, usłużnych portierów, wypłataczy krzesel i muzykantów. O siódmej trzydzieści wszedł do tramwaju, który mu wskazano. Okazało się, że jego trasa wiodła przez całe niemal miasto. Wreszcie, z biletem upoważniającym go do przesiadki w rękę, Wysiadł i wszedł na stromą, niezabudowaną, wybrukowaną kocimi łbami uliczkę, u wylotu której znajdowała się willa pana del Nido. Nagle lunął gwałtowny deszcz – *una tormenta*, jak nazywali te krótkie ulewy mieszkańcy Madrytu. Nie mając się gdzie schronić był – po sekundzie – przemoczony do nitki. Nacisnął dzwonek przy bramie i czekał długo – dobre pięć minut – na zjawienie się odźwiernego. Widok stojącego tak na deszczu Clarence'a z pewnością rozbawiłby pannę Walsh i utwierdził ją w jej teoriach o atomie. Kątem oka spojrzał przelotnie na szarogranatową chmurę deszczową. Zgarbił się. Jego jasna broda ściemniała. Wysoka brama otworzyła się. Odźwierny trzymał w brunatnej dłoni wielki parasol. Clarence ominął go. Za późno na parasole. Kiedy znalazł

się w połowie dróżki prowadzącej do willi, deszcz ustał.

Był więc stanowczo w gorszej sytuacji od swojego gospodarza Guzman del Nido, który teraz wyszedł mu na spotkanie. Clarence szedł bowiem niepewnym krokiem. Jego wełniane ubranie było całkowicie przemoczone i zalatywało przykrym zapachem wilgotnego psa.

– Witam pana, Señor Feiler. Co za pech z tym deszczem. Zrujnował panu ubranie, ale za to dał panu piękne rumieńce.

Podali sobie ręce i Clarence uświadomił sobie nagle z radością – patrząc na wydatny nos i ciemną, delikatną cerę señora del Nido – że oto stoi jak gdyby w obliczu samego Gonzagi, że ten lekko przygarbiony mężczyzna w lnianym garniturze, pokazujący w uśmiechu ostre zęby i witający go pochYLENIEM głowy, że ten człowiek o gładkich dłoniach, grubych przegubach rąk i szerokich biodrach był przyjacielem Gonzagi, że jest częścią jego legendy. Clarence zorientował się natychmiast, że Guzman chętnie zrobiłby z niego durnia – wskazywała na to cała jego ironiczna postawa i wytworny, typowy hiszpański sposób bycia. Del Nido należał do gatunku ludzi, którzy każdego potrafią ustawić na odpowiednim miejscu. Nawet sam Gonzaga z pewnością nie miał u niego ulgowej taryfy. „Precz! Wszak nie ma żadnych świętości!” – napisał przecież.

– Mój list do pana – udało się powiedzieć Clarence'owi,

ale del Nido nie pozwolił mu skończyć. Prowadził go szybkim krokiem do jadalni. Tam już czekali inni goście.

– Później o tym poznamy.

– O ile mi wiadomo, przekazał pan pewne wiersze hrabinie del Camino – powiedział Clarence.

Ale del Nido rozmawiał już z kim innym. Zapalono świece, goście zasiedli do stołu.

Clarence nie miał apetytu. Siedział pomiędzy włoskim monsignore i jakąś damą z Egiptu, która mieszkała kiedyś w Nowym Jorku i mówiła amerykańskim slangiem. Wśród biesiadników znajdował się także niemiecki dżentelmen, dyrektor towarzystwa ubezpieczeniowego. Siedział pomiędzy señorą del Nido a jej córką. Sam del Nido prezydował przy stole – pochylając swoją wąską, wytworną głowę i szczerząc w uśmiechu lekko wystające, błyskające kosztownymi koronkami zęby – i kierował konwersacją. Jego oczy otoczone były skomplikowaną siecią zmarszczek. Zafascynowany i przerażony zarazem Clarence zastanawiał się, dlaczego Gonzaga obdarzył zaufaniem takiego człowieka. Dowcipnisią, jak określiliby go Pascal, marną kreaturę. Kiedy Clarence'owi przyszła na myśl definicja Pascala, zwrócił się do monsignore, jako do człowieka, który powinien się z nim zgodzić. Ale ten interesował się prawie wyłącznie filatelistyką. Clarence zupełnie się na tym nie znał, toteż nie miał na ten temat nic do powiedzenia. Monsignore był masywnym,

ponurym mężczyzną z czupryną gęstych włosów zarastających niskie czoło przecięte jedną głęboką bruzdą.

Guzman del Nido mówił bez chwili przerwy. O nowoczesnym malarstwie, o powieściach kryminalnych, o carskiej Rosji, o filmach, o Nietzschem. Jego córka siedziała – głęboko zamyślona – i zdawała się nie słyszeć. Żona dorzucała od czasu do czasu kilka słów do tyrady męża. Córka wpatrywała się – blisko osadzonymi oczami – w płomienie świec. Egipską damę rozbawił silny zapach mokrego ubrania Clarence'a. Powiedziała coś na temat wilgotnej wełny. Clarence był wdzięczny, że pokój nie jest oświetlony światłem elektrycznym.

– W Cordobie aresztowano jakiegoś Amerykanina – opowiadał Guzman del Nido. – Ukradł kapelusz oficerowi Guardia Civil, na pamiątkę.

– To niesłychane.

– Przekona się, że cele więzień hiszpańskich są mniejsze niż w Ameryce. Mam nadzieję, że nie poczuje się pan dotknięty, jeżeli opowiem historyjkę o Amerykaninie, który uważał, że w Hiszpanii wszystko jest szalenie małe?

– Ależ skąd! – odpowiedział Clarence.

– Świetnie. Otóż przyjechał tu, do Hiszpanii, pewien Amerykanin i jego gospodarz nie potrafił mu niczym zaimponować. Wszystko, według niego, było większe w

Ameryce. Drapacze chmur większe od naszych pałaców. Amerykańskie samochody większe od naszych, amerykańskie koty też. W końcu gospodarz wsunął pomiędzy prześcieradła swojego gościa ugotowanego homara, a kiedy przerażony Amerykanin przybiegł do niego, oświadczył: „To jest hiszpańska pluskwa”.

Z niewiadomych przyczyn historyjka ta rozbawiła Clarence'a bardziej niż pozostałych biesiadników. Roześmiał się tak gwałtownie, że płomyki świec zadygotały.

– A może teraz pan opowie nam jakąś amerykańską anegdotę? – zwrócił się do niego del Nido.

Clarence zastanawiał się przez chwilę.

– Proszę bardzo – odparł wreszcie. – Dwa psy spotykają się na ulicy. Starzy przyjaciele. Jeden mówi „halo”. Drugi odpowiada mu „kukuryku”. „Co to ma znaczyć? – dziwi się pierwszy pies. – Cóż to znowu za kukuryku?” „Uczę się obcych języków” – odpowiada drugi pies.

Zapadła grobowa cisza. Nikt się nawet nie uśmiechnął. Wreszcie odezwała się egipska dama.

– Obawiam się, że to jakoś panu nie wyszło – powiedziała.

Zirytowało to Clarence'a.

– Czy pan mówił po angielsku, czy po amerykańsku? – zainteresował się del Nido.

To wywołało dyskusję. Czy język amerykański jest narzeczem? Czy samodzielnym językiem? Nikt nie miał pewności. Wreszcie odezwał się Clarence:

– Nie wiem, czy jest to prawdziwy język, czy nie, ale faktem jest, że ludzie się nim posługują. Słyszałem, jak rozpaczano w tym języku i tak dalej, tak samo, jak w każdym innym.

– Zasłużyliśmy sobie na to – uśmiechnął się del Nido. – Jesteśmy niesprawiedliwi w stosunku do Amerykanów, to fakt. W gruncie rzeczy są oni jedynymi autentycznymi Europejczykami, jacy pozostali na świecie.

– Jak to?

– Europejczycy nie mają dość spokoju ducha na to, żeby cenić to, co najlepsze. Nasza egzystencja jest zbyt trudna, życie naszych społeczeństw zbyt niespokojne.

Clarence zorientował się, że del Nido kpi sobie z niego, że robi z niego durnia. Dawał do zrozumienia, że jego zdaniem Clarence nie jest w stanie pojąć twórczości Gonzagi. Poczul gwałtowną nienawiść do tego człowieka. Miał ochotę uderzyć go, udusić, skopać, chwycić go i rzucić o ścianę. Na szczęście odwołano del Nido do telefonu. Clarence wbił rozgorączkowany Wzrok w pozostałe po nim miejsce, w serwetkę, w sztukę, w

oparcie jego krzesła. Jedynie señorita del Nido rozumiała chyba, że poczuł się dotknięty.

Po raz drugi Clarence uświadomił sobie, że istnieje fałszywa droga dotarcia do wierszy Gonzagi, fałszywa, bo sprzeczna z ich duchem. Uspokoilo go to w dużej mierze. Z trudem przełknął kilka łyżeczek lodów i odzyskał równowagę.

– Dlaczego tak interesuje pana twórczość Gonzagi? – zapytał go del Nido. Siedzieli w ogrodzie pod daktylowymi palmami o bladych liściach.

– W college'u studiowałem hiszpańską literaturę i wtedy zetknąłem się z jego dziełami.

– Czy to nie jest raczej niezwykle? Niech mi pan daruje, ale ja wciąż widzę tego mojego nieszczęsnego przyjaciela, który był najbardziej hiszpańskim z Hiszpanów, odzianego w ten okropny mundur, który nam wszystkim wtedy fasowano, z twarzą i rękami pomarszczonymi i wysuszonymi przez pustynne słońce, i zastanawiam się nad tym, dlaczego właśnie on zrobił na panu takie wrażenie...

– Nie wiem. Sam tego nie rozumiem. Ale jest to fakt i to jest najważniejsze.

– Nasunęła mi się interesująca obserwacja dotycząca poetów i ich życia. Niektórzy są lepsi niż ich twórczość. Zdarza się, że czytamy bardzo gorzkie wiersze, a potem

poznajemy ich twórcę i okazuje się, że jest to człowiek szczęśliwy i pogodny. Niektórzy zaś są znacznie mniej sympatyczni, niżby to wynikało z ich twórczości. Ci są – w pewnym sensie – w lepszej sytuacji, ponieważ mają szansę naprawienia swoich błędów, no i samych siebie. Ale najlepszą sytuację mają ci, którzy w środku i na zewnątrz są tacy sami, którzy piszą i mówią to samo. Być naprawdę takim, jakim się człowiek wydaje – oto znamię autentycznej kultury. Gonzaga należał do drugiej kategorii.

– Czyżby? – Clarence pomyślał, że del Nido usiłuje robić z siebie człowieka bardziej interesującego niż Gonzaga i w ten sposób wyprzeć poetę z jego kręgu zainteresowań.

– Wydaje mi się, że będę mógł panu wytłumaczyć, dlaczego Gonzaga mnie tak fascynuje – powiedział. – Gonzaga potrafił zrezygnować z rozwiązywania własnych problemów. Często myślę o tym tak: wiersz jest wielki wtedy, kiedy jest absolutnie konieczny. Nie było go, była cisza. Powstał i znowu jest cisza. Zaczyna się, kiedy musi się zacząć. Kończy, kiedy musiał się skończyć i dlatego nie jest zjawiskiem osobistym. Jest owym „dźwiękiem naprawdę nie moim”.

Chciał przekonać del Nido, że jest wnikliwy, ale zdawał sobie sprawę, że wysiła się nadaremnie. Guzman del Nido był po prostu człowiekiem obojętnym. Obojętnym,

obojętnym, obojętnym! Z zasady nie przejmował się niczym. A co robić z ludźmi, którzy z zasady nie przejmują się niczym?

– Ale pan przecież wie, dlaczego przyszedłem do pana. Chcę się dowiedzieć, co stało się z ostatnimi wierszami Gonzagi. Jakie one są?

– Były to wspaniałe wiersze miłosne. Ale nie mam pojęcia, gdzie się znajdują. Pisał je do hrabiny del Camino. Jej miałem je przekazać. Zrobiłem to.

– Czy istnieją kopie? – zapytał Clarence. Kiedy del Nido zaczął mówić o wierszach, przeszył go dreszcz emocji.

– Nie, były przecież przeznaczone dla hrabiny.

– Oczywiście. Ale należą do całego świata.

– Tyle jest poezji na świecie, że wystarczy jej dla Wszystkich. Homer, Dante, Calderon, Szekspir. Czy pan zdaje sobie sprawę, że to właściwie nie ma znaczenia?

– Naturalnie. Ale to nie jest wina poetów. Poza tym Calderon nie był pańskim przyjacielem. A Gonzaga był. Gdzie mieszka hrabina? Mam nadzieję, że nie umarła. I co się stało z tymi wierszami? Jak pan myśli, gdzie mogą być?

– Nie wiem. Miała sekretarza nazwiskiem Polvo, bardzo uroczego, starszego pana. Ale zmarł przed kilku

laty. Jego bratankowie mieszkają w Alcala de Henares. Wie pan, tam gdzie urodził się Cervantes. Urzędnicy państwowi. Podobno bardzo porządni ludzie.

– A pan nigdy nie zapytał ich, co się stało z ostatnimi utworami pańskiego przyjaciela? – zapytał Clarence ze zdumieniem. – Czy nie pragnął ich pan przeczytać?

– Myślałem, że zajmę się nimi kiedyś. Jestem przekonany, że hrabina doskonale je zabezpieczyła.

W tym miejscu rozmowa skończyła się i Clarence był nawet zadowolony, że tak się stało. Czuł, że Guzman del Nido za chwilę opowie mu jakieś wstrętne plotki o Gonzadze, rewelacje o jego stosunkach z kobietami, pijaństwie, zażywaniu narkotyków, historie o łapówkach, chorobach wenerycznych, a może nawet o morderstwach. Gonzaga uciekł od życia do wojska, co było raczej znamienne. Ale Clarence nie miał ochoty na wysłuchiwanie wspomnień del Nido.

Spodziewamy się, oczywiście, że ludzie, którzy zetknęli się z wielkim człowiekiem, zareagowali odpowiednio na jego wielkość, ale kiedy ludzie okazują się nie lepsi niż Guzman del Nido, zaczynamy się zastanawiać, czy wielkim ludziom potrzebne jest ich uwielbienie.

Oto, co powiedział Clarence – w kilka dni później – do panny Ungar.

– On jest z pewnością zadowolony, że nie ma tych wierszy – odparła. – Gdyby je miał, musiałby coś z nimi zrobić, a bałby się ze względu na swoje stanowisko.

– Racja. Oczywiście – zgodził się Clarence. – Jednakże, chcąc nie chcąc, oddał mi przysługę. Powiedział mi o tych bratankach sekretarza hrabiny. Napisałem do nich, a oni zaprosili mnie do siebie, do Alcala de Henares. W liście nie wspomnieli o wierszach, z pewnością przez ostrożność. Myślę, że i ja powinienem być trochę ostrożniejszy. Mam wrażenie, że dzieje się dokoła mnie coś niedobrego.

– Co takiego?

– Policja mnie śledzi.

– Wydaje się panu.

– Mówię poważnie. Wczoraj przeszukano mój pokój. Jestem tego pewien. Kiedy wspomniałem o tym właścicielce pensjonatu, nie odpowiedziała ani tak, ani nie. Nie zadała sobie żadnego trudu.

– To zupełnie niesłychane – roześmiała się zdumiona panna Ungar. – Ale po co mieliby robić rewizję w pańskim pokoju? Czego szukali?

– Myślę, że wydają im się po prostu podejrzany. A poza tym byłem nieostrożny w rozmowie z właścicielką pensjonatu. Nazajutrz po mojej wizycie u del Nido. Widzi

pani, ona jest wielką patriotką. Mieszka u niej na stałe emerytowany generał. Kiedy rozmawiałem z nią tamtego ranka, mówiła mi, między innymi, że cieszy się doskonałym zdrowiem, że jest silna i twarda jak skała – *una roca* – skała Gibraltaru. A ja, jak idiota, zapomniałem się i dodałem: „Gibraltar Español”. To było straszne głupstwo.

– Dlaczego?

– Widzi pani, w czasie wojny, kiedy Wielka Brytania dostawała w skórę od Hitlera, rozpętano tu kampanię mającą na celu odzyskanie Gibraltaru dla Hiszpanii. Ukuto slogan: „Gibraltar Español”. Są ludzie, którzy nie lubią, jak im się przypomina, że marzyli o tym, żeby Niemcy pokonali Anglików. Ona teraz na pewno wyobraża sobie, że jestem tajnym agentem czy czymś w tym rodzaju. Poza tym poczuła się po prostu dotknięta.

– No, ale jeżeli nie zrobi pan czegoś okropnie nielegalnego, nic się panu nie stanie.

– Kiedy człowiek jest pod ścisłą obserwacją, to prędzej czy później czymś się narazi.

W niedzielę po południu Clarence pojechał do Alcala de Henares, gdzie poznał dwóch bratanków Dona Francisco Polvo, ich żony i ich córki.

Okazało się, że jest to rodzina śmieszków. Bawiło ich wszystko, co mówili, i każda odpowiedź. Całe miasteczko

składało się z grubych, sennych murów, spragnionych deszczu drzew i kamieni. Bracia byli przysadziści, mieli wydatne brzuchy i włosy koloru piasku.

– Napijemy się herbaty w ogrodzie – powiedział Don Luis Polvo. Reszta rodziny nazywała go „Anglikiem”, ponieważ dwadzieścia lat temu spędził kilka miesięcy w Londynie. Zwracali się do niego per „My Lord”, a on – żeby zrobić im przyjemność – zachowywał się jak „Ingles”. Nawet jego szkocki terier wabił się Douglas.

– Masz okazję porozmawiać sobie po angielsku. Powiedz coś do pana – wołały panie.

– *Jolly country, eh?* – powiedział Luis. To wszystko, na co było go stać.

– Bardzo.

– Jeszcze coś! Jeszcze coś!

– Charing Cross – powiedział Luis.

– Mów dalej, Luis, no, mów!

– Piccadilly. Więcej nie pamiętam.

Podano herbatę. Clarence wypił i zlał się potem. Wśród cudacznie wygiętych karłowatych winorośli i dokoła studni buszowały jaszczurki. Żony haftowały obrusy. Rozchichotane córki szczebiotały po francusku, najwyraźniej na temat Clarence'a. Żadne z nich nie

wierzyło temu, co im opowiedział. Długonogi, przybity siedział w swoim workowatym ubraniu z filiżanką w ręku. Miał wrażenie, że trzyma nie spodek, ale że chwycił się kurczowo krawędzi Saturna.

Po herbacie zaproszono go do domu. Miał grube ściany, był wielki, stary, zimny, ponury, pełen portretów przodków i należących do nich przedmiotów. Pełno tam było broni, zbroi, hełmów, sztyletów, strzelb. Kiedy weszli do pokoju, w którym wisiał portret generała wojen napoleońskich, braci ogarnął frywolny nastrój. Zaczęli przymierzać kapelusze z piórami, przepasali się szablami, wreszcie nałożyli mundury. Cali w orderach, przy ostrogach, ze spleśniałymi rękawiczkami na rękach wrócili biegiem na taras, na którym siedziały panie. Don Luis włókł za sobą szablę, siedzenie spodni opadało mu niemal na pięty, a wielki kapelusz pęknięty na wierzchu odstaniał rzadkie, wyblakłe włosy. Posługując się muszkietem z epoki napoleońskiej odprawiał coś w rodzaju musztry. Towarzyszył mu ogólny śmiech. Clarence śmiał się także, aż mu się policzki marszczyły. Nie mógł zrozumieć, dlaczego z minuty na minutę było mu coraz ciężej na sercu.

Don Luis przyłożył celownik muszkietu do oka i wrzasnął: – *La bomba atómica!* Bum! – Otrzymał duże brawa. Panie piszczwały wachlując się gwałtownie, a jego brat – płacząc ze śmiechu – wylądował pośladkiem w piaskownicy. Terier Douglas skakał w ogromnym

podnieceni uśiłując wylizać Don Luisowi twarz.

Don Luis rzucił mu patyk wołając: – Masz, Douglas! Masz! *La bomba atómica! La bomba atómica!*

Clarence poczuł, że krew uderza mu do głowy ze złości. Znowu kpiono sobie z niego. Och, myślał w rozpaczy, ileż ja muszę znosić upokorzeń! Jak się namordować dla uratowania tych wierszy!

Słyszał jak gdyby z wielkiej odległości głos Don Luisa wołający: – Hiroszima! Nagasaki! Bikini! Brawo!

Rzucił patyk w głąb ogrodu, a mały Douglas pędził na sztywnych nogach od zminiaturyzowanej postaci swojego pana do patyka i z powrotem – małe, białobrazowe zwierzątko – podczas gdy suche powietrze ogrodu drgało od nieustających wybuchów piskliwego śmiechu.

Nie był do dobry żart, mimo że Don Luis, przystrojony w zniszczony mundur i pęknięty kapelusz, kpił sobie w ten sposób z minionej wojskowej świetności własnego kraju. Ale to nie wyrównywało rachunku. Oczami wyobraźni Clarence widział koszmarny, śmiercionośny grzyb, w uszach brzmiał mu ohydny syk tej strasznej bomby.

Nie mógł tego dłużej znieść. Udało mu się przerwać błazenadę Doña Luisa. Podszedł do niego, położył dłoń na muszkiecie i poprosił go o chwilę rozmowy na osobności. To do reszty rozśmieszyło rodzinę. Panie zaczęły coś

poszeptywać na temat Clarence'a. Starsza dama powiedziała: – *Es gracioso* – ale dziewczęta zdawały się z nią nie zgadzać. – *Non, il n'est pas gentil* – mruknęła jedna z nich.

Clarence – wyniośle uprzejmy – udawał, że uwagi te do niego nie dotarły. „Niech piekło pochłonie to koszmarne popołudnie” – pomyślał. Koszula kleiła mu się do ciała.

– Nie odziedziczyliśmy dokumentów wuja – wytłumaczył Clarence'owi Don Luis. – No, już dobrze, Douglas!

Wrzucił patyk do studni.

– Mój brat i ja otrzymaliśmy w spadku po nim ten stary dom i trochę ziemi, ale jeżeli były jakieś dokumenty, to zostały one prawdopodobnie przekazane mojemu kuzynowi Pedrowi Alvarez-Polvo, który mieszka w Segowii. To bardzo interesujący człowiek. Pracuje w Banco Español, ale jest naprawdę kulturalny. Hrabina nie miała rodziny. Bardzo lubiła mojego wuja. A mój wuj przyjaźnił się z Alvarezem-Polvo. Mieli wiele wspólnych zainteresowań.

– Czy wuj rozmawiał z panem o Gonzadze?

– Nie przypominam sobie. Hrabina miała wielu wielbicieli wśród artystów. Widzę, że ten Gonzaga bardzo pana interesuje.

– Owszem. Czemu nie? Pan też może się kiedyś zainteresuje jakimś amerykańskim poetą.

– Ja? Skądże! – Don Luis roześmiał się, ale widać było, że jest zaskoczony.

Co za ludzie! I ten ich ohydny śmiech! Clarence czekał, żeby Don Luis przestał wreszcie zanosić się tym swoim – zrazu pełnym zaskoczenia, a potem zaambarasowanym rechotem – żeby stulił wreszcie ten swój szeroki pysk, w którym sterczały kiepskie zęby, no i żeby w końcu jego rozedrgane wargi przymknęły się i pozostały zamknięte.

– Czy sądzi pan, że pański kuzyn Alvarez-Polvo wie coś...

– Owszem, z pewnością wie on bardzo dużo – odparł Don Luis już poważnie. – Wuj zwierzał mu się ze wszystkiego. On będzie panu mógł powiedzieć coś konkretnego, może pan na to liczyć. Dam panu list polecający.

– Jeżeli to niezbyt wielka fatyga.

– Ależ skąd. Cała przyjemność po mojej stronie.

Don Luis był teraz wcieleniem kurtuazji.

Przemierzywszy autobusem spieczoną równinę Kastylii, Clarence znalazł się z powrotem w Madrycie i natychmiast zadzwonił do panny Ungar. Liczył na jej zrozumienie i współczucie. Ale nie zaprosiła go do siebie.

Powiedziała tylko:

– Jutro będę miała dla pana pesety.

Pilot powrócił i Clarence'owi zdawało się, że panna Ungar nie jest zachwycona tym faktem. Może nie kochała narzeczonego? Ten czarnorynkowy handel był prawdopodobnie jego pomysłem, a nie jej. Może dziewczyna wstydzi się tego. Ale jest lojalna.

– Przyjdę za kilka dni. Nie śpieszy mi się – powiedział.
– Jestem bardzo zajęty.

Wiedział, że na tym straci, ale postanowił zrealizować nazajutrz czek w American Express, po ich skandalicznie niskim oficjalnym kursie.

Rozczarowany odwiesił słuchawkę. To o n powinien mieć taką kobietę. Przyszło mu na myśl, że skoncentrowanie się na znalezieniu żywej kobiety byłoby mądrzejsze, niż uganianie się za spuścizną po martwym poecie. Ale dzieło poety istniało, a kobieta nie. Napisał list do Alvareza-Polvo. Wykąpał się, położył do łóżka i w świetle pobzykującej żarówki zwisającej z baldachimu jego łóżka zabrał się do czytania Gonzagi.

Do Segowii przyjechał w niedzielę, wczesnym rankiem. Miasto było zalane słońcem, jedwabistobiałe chmurki szybowały w górskim powietrzu. Ich cienie wędrowały po

łysych stokach sierry niczym zwierzątka szukające schronienia i ciepła w skalnych szczelinach. Po całej tej starej dolinie rozsiane były klasztory, pustelnie, kościoły, wieże, groby różnych świętych, a między nimi grób San Juana. Na najwyższym wzgórzu Segowii wznosił się Alcazar Izabeli Katolickiej. Całe miasto, poprzecinane wrzynającymi się w nie granitowymi wzgórzami, opasywał akwedukt – szlachetna pozostałość po rzymskich czasach – krzaczasty niczym I uszy starca. Clarence stał w oknie swojego hotelu i patrzył na ten magiczny, kamienny łuk wznoszący się nad ulicami. Wzruszony wchłaniał w siebie cały ten widok – stare wzgórze zdeptane walkami Jakuba z aniołem, strzeliste wieże, iskrzące się, suche powietrze, pustelnie ukryte w gęstej zieleni, słuchał brzęczenia dzwoneczków pasących się w oddali owiec, plusku kapiącej z cysterny wody. Wszystko to oświetlone było promieniami słońca spływającymi na ziemię prosto jak struny harf i przygniatało go swoim łagodnym ciężarem, lecz otwierało go jednocześnie. Miał wrażenie, że każdy oddech wkrada się do jego wnętrza niczym małe, przyjazne zwierzątko.

Zszedł na podwórze. Tam cysterny, zbudowane z grubo ciosanych kamieni, mieniły się zieloną wodą, w której odbijały się złotymi błyskami mosiężne krany. Nad nią, w sklepionym przejściu, wisiał plakat pokazujący fryzury sprzed dwudziestu lat – reklama brylantyny. Jakieś dziesięć pięknych señoritas patrzyło spod grzywek,

potrząsało lokami, kokieteryjnie obnażało podstrzyżone karki. Uśmiechały się niczym boginie miłości. Clarence'owi przyszło na myśl, że cysterna jest fontanną młodości. A także, że ma w sobie coś arkadyjskiego.

– O, nimfy cudne! – zawołał i roześmiał się. Był szczęśliwy. Czuł się wspaniale! Słońce spływało mu na głowę, obejmowało plecy gorącym uściskiem.

Uśmiechnięty ruszył na ulicę. Poszedł do Alcazaru. Żołnierze w niemieckich hełmach stali na warcie. Clarence wszedł do katedry. Była bardzo stara, ale kamienie, z jakich ją zbudowano, wyglądały jak nowe. Po obiedzie usiadł w kawiarni przed akweduktem, gdzie umówił się z Alvarezem-Polvo. Na szerokim, lekko skośnym chodniku stało kilkaset składanych krzeseł. Były puste, spod lakieru wyglądało surowe drzewo, szare jak spłowiałe złote rybki. Długie, wąskie okna były otwarte, tak że to, co wewnątrz, i to, co na zewnątrz, zlewało się – żółte z ciemnym, brąz kontuaru z błękitem bezchmurnego nieba. Młoda Cyganka minęła stolik Clarence'a i zrobiła do niego oko. Była z pewnością artystką, ale trudno się było domyślić, czy jest autentyczną Cyganką. Słyszał, że określano niektóre z tych dziewcząt jako *gitanas de miedo* i że należało trzymać się od nich z daleka. Ale Clarence siedział, patrzył na akwedukt i próbował sobie wyobrazić urządzenia, przy pomocy których wznoszono te kamienie na taką wysokość.

Pod głównym łukiem przejeżdżał czarny karawan, cały w piórach, rzeźbionych aniołach i trupich główkach, a za nim ciągnęli powoli żałobnicy. Po dziesięciu minutach karawan powrócił, tym razem pędząc galopem. Woźnica w jedwabnym kapeluszu na głowie stał na koźle i okładał konie wrzeszcząc na nie zajadle. Niedługo potem ten sam karawan pojawił się po raz trzeci, a za nim długa procesja żałobników, którzy głośno płakali i podtrzymywali się nawzajem. I ten kondukt przeszedł pod łukiem. A po chwili karawan znowu powracał galopem. Clarence'a opadło nagle uczucie strachu. Dlaczego taka ilość pogrzebów jednego dnia? Czyżby miasto nawiedziła jakaś epidemia? Spojrzał na brzeg swojej szklanki, w której pieniało się piwo. Wydała mu się niezbyt czysta.

Ale Alvarez-Polvo uspokoił go.

– Karawan był przez cały tydzień w naprawie – powiedział. – Trzeba pochować wszystkich, którzy zmarli w tym czasie.

Alvarez-Polvo miał raczej niezwykłą powierzchowność. Na jego twarzy widniały ślady trzech a może czterech chorób, które kolejno nawiedziły go i opuściły. Miał duży obrzmiały nos, przy którym oczy wydawały się małe. Usta równie szerokie jak u jego kuzyna Don Luisa. Głowę nakrytą beretem, a brzuch owinięty żółtą szarfą. Clarence już dawno zauważył, że mężczyźni o wielkich brzuchach często chodzą z

ramionami rozłożonymi jak do obrony przed napaścią, mimo że w głębi duszy z pewnością spodziewają się porażki. Tak właśnie trzymał się Alvarez-Polvo. Jego oświetlona słońcem twarz – brązowa, cała w ciemnych plamach i zmarszczkach – okolona była skreconymi, siwymi kosmykami włosów, które wymykały się spod beretu. Brzuch miał jak bęben i taką samą zapewne duszę. Gdyby go uderzyć, zadudniłby, ale nie poczułby się z pewnością dotknięty.

– Pan wie, po co przyjechałem? – zapytał go Clarence.

– Owszem, wiem. Ale nie zaczynajmy od biznesu. O ile mi wiadomo, jest pan po raz pierwszy w Segowii, więc pozwoli pan, że będę robił honory domu. Jestem dumny z mojego miasta – z naszego starego, pięknego grodu – i chciałbym je panu pokazać.

Kiedy Alvarez-Polvo wypowiedział słowo „biznes”, serce Clarence'a aż podskoczyło z radości. Czyżby cała sprawa była po prostu kwestią ceny? Ten człowiek z pewnością ma wiersze Gonzagi! Radość w piersi Clarence'a zatrzepotała jak flaga na wietrze.

– Ależ bardzo chętnie. Mam trochę czasu. Tu jest bardzo pięknie. Nigdy w życiu nie widziałem wspanialszego miasta.

Alvarez-Polvo chwycił ramię Clarence'a.

– Jeżeli pan pozwoli, że go oprowadzę, zobaczy pan nie

tylko zabytki, ale zrozumie duszę naszego miasta. Znam je bardzo dobrze. Uwielbiam architekturę. Ale rzadko zdarza mi się okazja do ujawnienia moich zamiłowań. Gdziekolwiek zabieram żonę, ona siedzi i czyta *novelas morbosas*. W Wersalu czytała Ellery Queena. To samo było w Paryżu. W Rzymie także. Gdyby żyła do końca świata, i tak nie przeczytałaby wszystkich *novelas morbosas*.

Następnie przeszedł na temat kobiet w ogóle i udało mu się zainteresować Clarence'a. Kobiety, kobiety, kobiety! Wszystkie typy hiszpańskiej urody. Dziewczęta z Grenady, Malagi, Kastylii, Katalonii. A potem Niemki, Greczynki, Francuzki, Szwedki! Coraz silniej przyciskał ramię Clarence'a i chwalił się, żalił, wspominał i wyliczał. Oświadczył, że jest zrujnowany. Kobiety pozbawiły go majątku, zdrowia, czasu, ba, życia. Ach te kobiety – niewinne, bezmyślne, piękne, urzekające, podstępne, złe, blondynki, szatynki, brunetki, rude... Clarence poczuł się osaczony przez kobiece twarze i kobiece ciała.

– Czy nazwałby pan ten kościół romańskim? – zapytał Clarence w pewnym momencie i stanął.

– Oczywiście. Proszę zwrócić uwagę na stojący obok renesansowy pałacyk. Zbudowano go w tym miejscu specjalnie dla uzyskania efektu równowagi.

Clarence przyglądał się filarom zakończonym lekko już zniszczonymi rzeźbami przedstawiającymi głowy

uśmiechniętych półdiabłów, półzwierząt, kamiennym ptakom, demonom z wywieszonymi jęzorami, postaciom apostołów. Minęli ich dwaj mężczyźni. Ciągnęli wózek, na którym leżało stare łóżko i materac. Wyglądali jak pokonani przez Abrahama królowie Szinaru i Elamu.

– Chodźmy na szklaneczkę wina – zaproponował Alvarez-Polvo. – Od czasu mojej operacji nie wolno mi pić, ale dotrzymam panu towarzystwa.

Kiedy będzie można wreszcie pomówić o wierszach Gonzagi? Clarence był zniecierpliwiony. Rozumiał, że poezja nie może odgrywać większej roli w życiu tego człowieka, ale sądził, że pomimo jego nie kończącego się gadulstwa, samochwalstwa, tego chełpienia się erotycznymi wyczynami i narzekania na utratę zdrowia w służbie młodości i piękna, był Alvarez-Polvo najprawdopodobniej bardzo przebiegłym starym lisem. Chciał po prostu przetrzymać Clarence'a i zorientować się, ile można z niego wyciągnąć. Toteż Clarence nie dawał poznać po sobie niecierpliwości i patrzył prosto przed siebie albo mrużył powieki.

W winiarni stało mnóstwo ogromnych beczek, pełno tam było mosiężnych okuć, butelek odbijających się w czerwonych lustrach, półmisków pełnych *mariscos* wybałuszających szkliste oczy i raków, którym wąsy zastygły w różnych, ostatecznych pozycjach. Na środku sali znajdowały się strome kręcone schody prowadzące

nie wiadomo dokąd. Clarence próbował się zorientować, ale bezskutecznie. Mała dziewczynka w łańchmanach weszła z ulicy i zaproponowała im bilety na loterię. Stary lubieżnik zaczął ją głaskać. Zrobiła zręczny unik, chwyciła jego rękę i przyłożyła ją sobie do policzka. Nie przerywając monologu głaskał ją po włosach. Kiedy miał tego dosyć, odprawił ją przy pomocy drobnej monety.

Clarence wypił słodką, żółtą malagę.

– A teraz – oświadczył Alvarez-Polvo – pokażę panu kościół, do którego rzadko wstępują turyści.

Zeszli po brudnych kamiennych schodach, minęli rząd podobnych do jaskiń domów i plac, na którym kilku karłowatych chłopców kopało, podrzucało głowami i dryblowało piłkę.

– Proszę zwrócić uwagę – zauważył Alvarez-Polvo – że ta ściana pochodzi z dziesiątego wieku, a ta z siedemnastego.

Powietrze we wnętrzu kościoła było ciężkie, ciemne, chłodne, gęste jak maź. Powoli wyłaniały się z ciemności jakieś ciemnoczerwone, granatowe i musztardowe kształty, wreszcie oczom Clarence'a ukazał się ołtarz i rząd kolumn.

Alvarez-Polvo milczał. Stali teraz przed figurą Chrystusa, który dźwigał na głowie ciężką cierniową koronę. Wielka rana z boku ukrzyżowanego mieniła się

czerwonawą rdzą. Korona cierniowa była zbyt ciężka i zbyt wielka. Wpatrując się w nią Clarence poczuł się nagle zagrożony, tak jak gdyby te ciernie miały za chwilę wbić mu się w serce.

– Sprawa, która nas obydwu interesuje... – powiedział nagle Alvarez-Polvo.

– Tak, tak. Chodźmy gdzieś i porozmawiajmy na ten temat. Wiem, że pan znalazł te wiersze w papierach po pańskim wuju. Czy ma pan je tutaj, w Segowii?

– Wiersze? – zdziwił się Alvarez-Polvo. – To nie jest odpowiednie słowo.

– Czy to znaczy, że nie są to utwory rymowane? Proszę mi powiedzieć, w jakiej formie są pisane?

– No cóż, w normalnym języku prawnym. Tak, jak trzeba.

– Nie rozumiem.

– Ja też nie. Ale mogę je panu pokazać i przekona się pan sam. Proszę bardzo. Przyniosłem to specjalnie dla pana.

Wyciągnął z kieszeni kartkę papieru.

Clarence wziął ją do ręki. Drżał na całym ciele. Pomacał gruby, błyszczący, tłoczony, opatrzony pieczęcią papier. Co hrabina zrobiła? Czyżby kazała te wiersze

wygrawerować? I ozdobić złotą gwiazdą? Podszedł do światła i przeczytał obramowane falistą zieloną linijką słowa „Compania de Minas, S. A. ”

– Czy to... nie, to niemożliwe. To pomyłka. – Serce w piersi Clarence'a waliło jak młotem. – Niech pan to zabierze. Proszę sięgnąć jeszcze raz do kieszeni.

– Jak to, omyłka?

– To mi wygląda na jakieś akcje.

– No, oczywiście. To są akcje kopalni. Czy nie o to panu chodzi?

– Ależ skądże! Jakże znowu kopalnie?

– Kopalnie blendy smołowej w Maroku.

– A cóż mnie obchodzą akcje blendy smołowej?

– Jak to, co? Tyle co każdego biznesmena. Sprzeda je pan. Z blendy smołowej robi się uran. A uran jest niezbędny do produkcji bomb atomowych.

– O, Boże!

– *Claro. Para la bomba atómica.*

– Ja nie mam nic wspólnego z produkcją bomb atomowych. Niech to wszyscy diabli wezmą!

– Myślałem, że pan jest finansistą.

– Ja? Czy wyglądam na finansistę?

– Oczywiście, że tak. Tyle, że może raczej na angielskiego finansistę. Ale na pewno na finansistę. Czyżbym się mylił?

– Tak, tak. Przyjechałem tu po wiersze Gonzagi, które były własnością hrabiny del Camino. Miłosne wiersze, które pisał do niej poeta Manuel Gonzaga.

– Manuel Gonzaga? Taki mały, chudy facecik? Żołnierz? Już wiem. Był jej kochankiem w dwudziestym ósmym roku. Zginął w Maroku.

– No tak. Co pański wuj zrobił z tymi wierszami?

– Już teraz rozumiem, o co panu chodzi. Mój wuj nic z nimi nie zrobił. Hrabina kazała je sobie włożyć do trumny.

– Kazała się z nimi pochować, powiada pan? I nie zrobiono kopii?

– Bardzo wątpię. Mój wuj postąpił ściśle według instrukcji hrabiny. Był człowiekiem niezwykle lojalnym. Mój wuj...

– Psiakrew! A czy w papierach po nim nie ma nic, co należało do Gonzagi? Może jakieś bruliony albo listy, w których Gonzaga jest wspomniany?

– Pozostawił mi tylko te akcje. Wiem, że są dużo warte.

Może jeszcze nie dziś, ale gdybym mógł zdobyć trochę kapitału, to kto wie? Ale w Hiszpanii jest bardzo trudno o gotówkę. Kapitał hiszpański jest ostrożny, tchórzliwy. Nikt tu nie wierzy w postęp nauki. Hiszpania tkwi jeszcze w czasach kontrreformacji. Pan pozwoli, że pokażę panu, gdzie znajdują się te kopalnie?

Alvarez-Polvo rozłożył mapę i wskazał na góry Atlasu.

Clarence – nie zegnając się – wyszedł, a raczej wybiegł z kościoła. Zadyszany, dygocąc ze złości znalazł się wkrótce z powrotem w śródmieściu.

Wszedł do swojego pokoju i od razu spostrzegł, że przeszukano mu walizkę. Zatrzasnął jej wieko i zbiegł – taszcząc ją – ze schodów, minął cysternę i wpadł do hallu.

– Jakim prawem policja rozgrzebała mi rzeczy? – wrzasnął.

– Pan się myli! – odparł recepcjonista. Był blady i wystraszony.

– Nie mylę się. Przetrzęsnęli nawet kosz na śmieci.

W głębi hallu jakiś człowiek podniósł się gwałtownie z fotela. Miał na sobie zniszczone ubranie z żałobną opaską na rękawie.

– Ci Anglicy – warknął. – Żadnego szacunku dla

gościnności. Przyjeżdżają tu, bawią się doskonale, a potem wszystko krytykują i jeszcze narzekają na hiszpańską policję. Co za hipokryzja! W Anglii jest znacznie więcej policjantów niż w Hiszpanii. Cały świat wie, że w Liverpoolu jest ogromne więzienie, specjalnie dla masonów. W jednym tylko Liverpoolu pięć tysięcy masonów *encarcelados* za kratkami.

Cóż można było na to odpowiedzieć. Całą drogę do Madrytu Clarence przesiedział w przedziale drugiej klasy patrząc przed siebie w niemej rozpacz.

Kiedy pociąg zjechał z gór i znalazł się na równinie, niebo jak gdyby się rozdarło. Spadł nagły, gwałtowny deszcz, pola zaczęły parować.

Clarence pomyślał ze zgrozą o tym, co czeka go w czasie kolacji ze strony rudej panny Walsh.

Przyszły ojciec

Najdziwniejsze myśli potrafiły wkraść się w umysł Rogina. Skończył właśnie trzydzieści lat, był całkiem przystojny, miał krótkie, czarne włosy, niezbyt duże oczy, ale wysokie, otwarte czoło. Był chemikiem, zajmował się pracą badawczą i umysł jego odznaczał się na ogół precyzją i powagą. Ale pewnego śnieżnego niedzielnego wieczoru, kiedy ten przysadzisty młody mężczyzna w płaszczu typu Burberry, zapiętym wysoko pod szyją, szedł tym swoim dziwnym krokiem – stopy stawiał na zewnątrz – ku stacji kolejki podziemnej, ogarnął go bardzo szczególny stan ducha.

Znajdował się w drodze do swojej narzeczonej, z którą miał zjeść kolację. Zadzwoiła do niego przed chwilą i powiedziała:

- Chciałabym, żebyś kupił po drodze kilka rzeczy.
- Co takiego?
- Przede wszystkim trochę zimnego rozbefu. Kupiłam ćwierć funta, kiedy wracałam od ciotki.
- Czemu tylko ćwierć funta? – zirytował się Rogin. – Przecież to starczy zaledwie ma jednego sandwicza.
- Wstąp do Delikatesów. Zabrakło mi pieniędzy.

A co zrobiłaś z trzydziestoma dolarami, jakie dałem ci w środę? – chciał już zapytać, ale w porę zrozumiał, że byłby to błąd.

– Musiałam dać Phyllis pieniądze na sprzątaczkę – rzekła Joan.

Phyllis, młoda, bardzo bogata rozwódka była kuzynką Joan. Mieszkały razem.

– Rozbef – powiedział Rogin. – I co jeszcze?

– I buteleczkę szamponu, dobrze, kochanie? Skończył nam się właśnie. I pośpiesz się, złotko. Od rana strasznie za tobą tęsknię.

– Ja też – odparł Rogin, ale szczerze mówiąc od rana myślał wyłącznie o własnych kłopotach. Utrzymywał młodszego brata w college'u. Matka, która z powodu inflacji i wciąż rosnących podatków nie mogła wyżyć z renty, także potrzebowała od niego pomocy. Joan była bez pracy i w długach, więc jej też musiał dawać pieniądze. Szukała odpowiedniego dla siebie zajęcia. Piękna, doskonale wychowana, o arystokratycznych manierach nie mogła w końcu zostać sprzedawczynią w jakimś magazynie. Nie chciał, żeby była modelką (Rogin uważał, że uprawiające ten zawód dziewczyny stają się próżne i zarozumiałe). Nie mogła też zostać kasjerką czy kelnerką. Czym więc? No cóż, prędzej czy później na pewno coś się znajdzie, a na razie należało powstrzymać się od

narzekania. Płacił więc jej rachunki – za dentystę, za sprawunki w wielkich magazynach, za osteopatę, internistę i psychoanalityka. Na Boże Narodzenie Rogin o mały włos nie dostał ataku szału. Joan kupiła mu aksamitną bonżurkę z szamerunkiem z sutaszu, piękną fajkę i woreczek na tytoń. Dla Phyllis kupiła wysadzaną granatami broszkę, parasolkę z włoskiego jedwabiu i złotą cygarniczkę. Dla innych przyjaciół zakupiła szwedzkie szkło i duńskie naczynia z cyny. Wydała na to pięćset dolarów, oczywiście z kieszeni Rogina. Kochał ją zanadto, żeby pokazać jej, jak to odczuwa. Uważał, że z nich dwojga Joan ma znacznie lepszy charakter. Nie troszczyła się w ogóle o pieniądze. Miała wspaniałe usposobienie, była zawsze wesółą i w gruncie rzeczy psychoanalitik nie był jej potrzebny. Chodziła do niego tylko dlatego, że Phyllis to robiła, i była ciekawa, na czym to polega. Próbowwała stanowczo zbyt energicznie dotrzymać kroku kuzynce, której ojciec zrobił miliony na handlu dywanami.

Podczas gdy sprzedawczyni w drugstorze pakowała szampon, Rogin doznał olśnienia. Za życia człowiek przytłoczony jest pieniędzmi, a po śmierci ziemią. Stan nacisku jest zjawiskiem uniwersalnym. Któż jest wolny? Nikt. Któż nie dźwiga na sobie jakiegoś brzemienia? Wszyscy ludzie znajdują się pod stałą presją. Nawet skały, oceany, zwierzęta, dorośli, dzieci – wszystko i wszyscy – dźwigają na sobie jakiś ciężar. Idea ta wydawała mu się

zrazu bardzo prosta i mimo że po chwili zaczęła się trochę komplikować, był nią tak zafascynowany, jak gdyby otrzymał wspaniały prezent. (Zupełnie inny niż aksamitna bonzurka, której jeszcze ani razu nie nałożył, czy też fajka, której palenie przyprawiało go o duszności). Myśl o tym, że wszystko i wszyscy uginają się pod jakimś ciężarem, że wszyscy są w sytuacji przymusowej, zamiast zasmucić – rozweseliła go. Wprawiła w znakomity humor. To niesłychane, ale poczuł się bardzo szczęśliwy i – na dodatek – zaczął widzieć wszystko z niezwykłą wprost jasnością. Jakby nagle otworzyły mu się oczy. Z przyjemnością stwierdził, że farmaceuta i sprzedawczyni, która pakowała jego szampon, uśmiechają się do siebie zalotnie, że smutne bruzdy na jej twarzy przemieniły się w mgnieniu oka w wesołe zmarszczki i że obnażone szyjki zębów farmaceuty nie przeszkadzały mu w żartowaniu i prawieniu dziewczynie komplementów. Później, w Delikatesach, Rogin znowu stwierdził z radością, że widzi więcej niż zwykle i że samo przebywanie w sklepie sprawia mu ogromną przyjemność.

W niedzielne wieczory Delikatesy, które są jedynymi otwartymi sklepami spożywczymi, z reguły zdzierają z klientów skórę i Rogin zawsze miał się na baczności, ale dzisiaj stracił swoją czujność prawie całkowicie. Z satysfakcją wchłaniał zapach kiszonych ogórków, musztardy, kiełbasy i wędzonych ryb. Z politowaniem patrzył na ludzi, którzy kupowali sałatkę śledziową czy

sałatkę z drobiu. Czynili to zapewne tylko dlatego, że mieli słaby wzrok, bo jakże mogło być inaczej. Kawałki kury posypane były czarnym pieprzem, a sałatka śledziowa składała się przeważnie z marynowanych w occie kawałków starego chleba. Któż chciałby wydawać pieniądze na coś podobnego? Chyba tylko ludzie samotni, którzy przespali cały dzień, obudzili się pod wieczór i stwierdzili, że mają pustą lodówkę, albo tacy, którzy byli całkowicie wpatrzeni w siebie. Rozbef wyglądał nieźle, więc Rogin poprosił o pół kilograma.

Właściciel sklepu zaczął krajać mięso i właśnie wtedy zauważył, że jakiś chłopaczek – z wyglądu Portorykańczyk – sięgnął po paczkę biszkoptów czekoladowych.

– Hej, *chico*, zrzucisz mi wszystko na podłogę. Poczekaj pół minuty! – wrzasnął.

Sklepiarz, mimo że wyglądał jak członek bandy Pancho Villi – z tych, co to smarują wrogów syropem i przywiązują ich do wbitego w mrowisko pala – i miał wyłupiaste, żabie oczy i wielkie łapska wprost stworzone do chwytania zawieszonych na brzuchu pistoletów, wcale nie był taki zły. Typowy nowojorczyk zahartowany przez życie w tym zwariowanym mieście, gdzie każdy każdego o coś podejrzewa. Na obszarze jego królestwa, za kontuarem, panowała sprawiedliwość. A nawet tolerancja.

Mały Portorykańczyk ubrany był w pełen strój

cowbojski – miał zielony kapelusz przewiązany grubym, białym sznurem, skórzane spodnie, dwa pistolety, rękawice i ostrogi – ale nie mówił słowa po angielsku. Rogin zdjął z haczyka woreczek z biszkoptami i podał je chłopcu, który rozerwał woreczek zębami i zaczął zapamiętałe żuć suche, oblane czekoladą ciasteczka. Rogin wiedział, że chłopiec przeżywał jedną z największych uciech dzieciństwa. Były czasy, kiedy i on, Rogin, uważał te małe ciasteczka za wspaniałe przysmak. Teraz nie miał na nie ochoty.

Co jeszcze kupić, żeby zrobić przyjemność Joan? Rogin pomyślał o dziewczynie z czułością. Może truskawki?

– Poproszę jeszcze o mrożone truskawki – powiedział.
– Albo może lepiej maliny, ona woli maliny. I śmietanę. I z pół tuzina bułeczek, i biały serek, i kilka korniszonów. Tych, co to wyglądają jak z kauczuku.

– Co z kauczuku?

– Te, takie małe, ciemnozielone z oczkami. No i pudełko lodów.

Usiłował wymyślić jakiś komplement dla Joan. Coś, co mógłby jej powiedzieć, kiedy otworzy mu drzwi. Może jakieś trafne porównanie albo czułe słówko. Na temat jej cery? Ale właściwie bardzo trudno było znaleźć porównanie z czymkolwiek dla jej słodkiej, małej, ślicznej buzi, dla wyrazu jej oczu, nieśmiały, wyzywających, a

zarazem pełnych miłości. Trudna z niej była dziewczyna, ale jakże piękna!

Rogin zszedł do kolejki podziemnej. Buchnęło na niego zapachem metalu i wilgotnych ścian. Uwagę jego wzbudziła niechcący podsłuchana rozmowa. Jeden mężczyzna zwierzał się drugiemu. Obaj byli bardzo wysocy i okryci bezkształtnymi zimowymi płaszczami, które wyglądały tak, jakby kryły się pod nimi kolczugi.

– No to przypomnij sobie, od kiedy się znamy? – odezwał się jeden z nich.

– Od dwunastu lat.

– Chciałbym ci zrobić wyznanie. Tak sobie postanowiłem. Od wielu lat piję, i to sporo. A ty o tym nie wiesz. Jestem właściwie nałogowym pijakiem.

Ale jego przyjaciel nie zdziwił się.

– Wiem – powiedział.

– To niemożliwe? Jak się domyśliłeś?

Jak gdyby można to było ukryć, pomyślał Rogin. Wystarczy spojrzeć na tę długą, bladą, rozmytą przez alkohol twarz, ten bezkształtny nos, skórę zwisającą jak podgardle indyka, na te przygaszone oczy.

– No cóż, wiedziałem o tym.

– To niemożliwe. Nie wierzę ci. – Zmartwił się

wyraźnie, bo przyjaciel bynajmniej nie zamierzał go pocieszać. – No, jestem na dobrej drodze do wyleczenia. Znalazłem lekarza, który dał mi proszki, jakiś zupełnie przełomowy duński lek. Istny cud. Zaczynam wierzyć, że medycyna potrafi wyleczyć człowieka z każdej choroby czy nałogu. Duńczycy są nie do pobicia. Oni wszystko potrafią. Podobno zrobili niedawno z mężczyzny kobietę.

– Chyba nie w ten sposób zamierzają odzwyczaić cię od picia.

– Nie, mam nadzieję, że nie. Ten środek to coś w rodzaju aspiryny. Jakaś super-aspiryna. Nazywają ją aspiryną przyszłości. Jednakże wtedy, kiedy się ją zażywa, nie wolno pić.

Rogin rozważał w duchu, podczas gdy tłum wypełniający podziemną kolejkę chwiał się naprzód i w tył, a szczepione ze sobą przeszklone wagony przemykały się niczym rybie pęcherze przez podziemne tunele: jak to jest, jak to jest możliwe, że ten człowiek wyobraził sobie, iż nikt nie widzi tego, co musi się każdemu rzucić w oczy od pierwszego wejrzenia? Jako chemik, zastanawiał się również nad składem nowego duńskiego leku, a po chwili zaczął sobie wyliczać w myśli własne pomysły, które zamierzał opatentować, a więc syntetyczne białko, papieros, który się sam zapala, tanie paliwo do samochodów. O Boże, jakże potrzebował pieniędzy! Teraz bardziej niż kiedykolwiek. Matka stawiała się coraz

trudniejsza. W ubiegły piątek zapomniała pokroić mu mięso na talerzu, czym poczuł się dotknięty. Siedziała nieruchomo przy stole, z twarzą ułożoną w wyraz cierpienia, patrzyła na niego surowym wzrokiem i pozwoliła mu samemu krajać mięso, czego prawie nigdy nie robiła. Przez całe życie psuła go wzbudzając tym zazdrość brata. Ale teraz spodziewała się po nim Bóg wie czego. Boże, Boże. Jaką wysoką cenę trzeba płacić za wszystko! Dlaczego? Nigdy się tego nie spodziewał.

Rogin rozejrzał się za miejscem, usiadł i poczuł się zwykłym pasażerem. Odnalazł swój normalny, pogodny stan ducha, a po chwili zaczął znowu widzieć wszystko z niezwykłą jasnością. Myślenie o pieniądzach zrównywało go z wszystkimi innymi ludźmi. Rezygnacja z własnej indywidualności. Kiedy mówi się: nie zrobię tego czy tamtego za żadne skarby świata – ani za pieniądze, ani z miłości – to tak, jakby się powiedziało, że pieniądz i miłość to pojęcia przeciwstawne, że jedno jest wrogiem drugiego. Jakże mało ludzie wiedzą o tym wszystkim, myślał, jakże ślepo przechodzą przez życie, jakże nikły jest płomyk samoświadomości! Szczera twarz Rogina, zdominowana przez zadarty nos, promieniowała, serce biło mu radośnie w piersi, ożywione głębokimi myślami na temat powszechnej ignorancji. Wystarczyło wziąć za przykład tego alkoholika, który przez długie lata wyobrażał sobie, że jego najbliższy przyjaciel nie podejrzewa go nawet o to, że pije. Rogin zapuścił wzrok

w głąb wagonu, żeby raz jeszcze przyjrzeć się temu zadziwiającemu symbolowi rycerskości, ale już go nie znalazł.

Mimo to, było na co patrzeć. Niedaleko Rogina siedziała mała dziewczynka, trzymająca w rękach nową, białą mufkę, w którą wszyta była głowa lalki. Dziewczynka wyglądała na szczęśliwą i dumną, a jej ojciec, tęgi, ponury mężczyzna, posiadacz wielkiego, groźnego, rzec można, nosa, podnosił ją co chwila i sadzał z powrotem na ławkę, jak gdyby próbował, czy nie dałoby się jej zamienić na coś innego. Po chwili inna dziewczynka w towarzystwie matki weszła do wagonu. Także miała mufkę z wszytą głową lalki, fakt, który bardzo zirytował oboje rodziców. Kobieta, która robiła wrażenie trudnej i kłótliwej, pociągnęła swoją córeczkę dalej. Rogin odniósł wrażenie, że obie dziewczynki były tak zapatrzone w swoje mufki, że nie spostrzegły się nawzajem. Był nie wiadomo czemu przekonany, że wie, co dzieje się w sercach małych dzieci.

Następnie uwagę jego zwróciła cudzoziemska rodzina. Prawdopodobnie przybysze z centralnej Ameryki. Po jednej stronie siedziała matka, kobieta o śniadej cerze, stara, siwa, bardzo zniszczona. Po drugiej syn o sprawnych, bladych dłoniach pomywacza. Ale kim było siedzące pomiędzy nimi karłowate stworzenie? Chłopcem czy dziewczynką? Miało długie, wijące się włosy i gładkie policzki, ale ubrane było w koszulę z krawatem.

Płaszcz miało o męskim raczej kroju, ale buty nałożone na bosc stopy były zagadką. Sznutowane półbuciki z grubymi szwami, jak to w męskim obuwiu, o obcasikach w stylu Baby Louis, jak w damskich pantofelkach – zamknięte z przodu, ale z paseczkiem na klamerkę. Tak więc z obuwia trudno było cokolwiek wywnioskować. Na palcach dziwne to stworzenie miało kilka pierścionków, z których żaden nie był obrączką. Jego policzki przecinały dwie surowe bruzdy. Oczy miało głęboko osadzone i zapuchnięte, ale Rogin był pewien, że gdyby tylko chciało, mogłoby wyrazić nimi wiele dziwacznych myśli i doszedł do wniosku, że jest to karzeł obdarzony nieprzeciętną inteligencją. Od lat posiadał „Wspomnienia karła” Mare'a. Teraz powziął zdecydowane postanowienie przeczytania ich, co uwolniło go jakby od dalszego zastanawiania się, jakiej płci jest karłowate stworzenie, i mógł skoncentrować uwagę na siedzącym obok niego pasażerze.

W kolejce podziemnej można bardzo intensywnie myśleć. Dzieje się tak prawdopodobnie z powodu rytmu jazdy, anonimowości otoczenia oraz dziwnej w gruncie rzeczy sytuacji, w jakiej znajduje się człowiek przejeżdżający rozklekotanym pociągiem pod fundamentami wielkich gmachów, pod powierzchnią ulic i rzek, poza tym umysł Rogina był już wcześniej bardzo pobudzony. Przyciskając do siebie torbę z zakupami, z której wydobywał się zapach chleba i korniszonów, snuł

najrozmaitsze refleksje, najpierw na temat chromosomów X i Y, które determinują płeć, potem na temat dziedziczności, następnie funkcji macicy, w końcu nad tym, czy mógłby odliczyć od podatków sumy, jakie wydawał na brata. Przypomniały mu się także dwa sny z poprzedniej nocy. W jednym przedsiębiorca pogrzebowy zaofiarował się ostrzyć go, na co Rogin nie zgodził się. W drugim dźwigał na głowie jakąś kobietę. Smutne były to sny. Bardzo smutne. Kim mogła być ta kobieta? Matką czy też Joan? A przedsiębiorca pogrzebowy – czyżby to był jego adwokat? Westchnął głęboko i z przyzwyczajenia zaczął zestawiać składniki syntetycznego białka, które miało zrewolucjonizować przemysł jajczarski.

Przez cały ten czas nie przerywał obserwacji współpasażerów, a szczególnie siedzącego tuż przy nim mężczyzny. Był pewien, że nigdy w życiu nie widział tego człowieka, ale nagle poczuł się z nim niemalże organicznie związany. Był to mężczyzna w średnim wieku, silnie zbudowany, o jasnej cerze i niebieskich oczach. Miał kształtne, wypiełgnowane ręce, które jednak nie podobały się Roginowi. Ubrany był w dość chyba drogi płaszcz w niebieską kratę, taki, jakiego Rogin nigdy by na siebie nie włożył. Podobnie, jak nie nałożyłby półbutów z granatowego zamszu czy też bezbłędnie uformowanego filcowego kapelusza przybranego szeroką, grubą wstążką, kapelusza, który kojarzył się z bliżej nieokreślonym zwierzątkiem futerkowym. Wiele jest

rodzajów dandysów, ale nie wszyscy są ostentacyjni. Ten akurat należał do gatunku dyskretnych. Miał przystojny profil, prosty nos, ale było w nim coś płaskiego, co go zdradzało. Na ten swój płaski sposób zdawał się ostrzegać ludzi, że nie chce wchodzić z nimi w jakiegokolwiek konflikty i żeby trzymali się od niego z daleka. Poza tym miał na nogach półbuty z granatowego zamszu i zależało mu zapewne na tym, żeby mu ich nikt nie podeptał. Zatoczył dokoła siebie coś w rodzaju kręgu niedostępności. Przybrał minę mówiącą wszystkim, żeby pilnowali własnego nosa i dali mu spokojnie przeczytać gazetę. Trzymał w rękach *Tribune*. Byłoby może przesadą twierdzić, że czytał ją. Ale trzymał ją w rękach, to fakt. Jasna cera tego człowieka, jego niebieskie oczy i prosty, autentycznie rzymski nos – nawet sposób, w jaki siedział – wszystko to przywodziło Roginowi na myśl inną osobę... Joan. Próbował uwolnić się od tego skojarzenia, ale na próżno. Ten człowiek był nie tylko bardzo podobny do ojca Joan, którego Rogin szczerze nie lubił, ale – niestety – również do samej Joan. Tak będzie wyglądał – za lat czterdzieści – jej syn. A syna tego ojcem będzie on, Rogin. Jako że twarz Joan była znacznie bardziej charakterystyczna od twarzy Rogina, ich dzieci z pewnością wrodzą się w nią, a nie w niego. O tak, wystarczyło wyobrazić sobie, że minęło czterdzieści lat i człowiek podobny jak dwie krople wody do faceta, który w tej chwili siedzi obok Rogina dotykając kolanem jego kolana, w rozpedzonej kolejce, w tłumie uczestników

wielkiego karnawału podziemnego tranzytu – że taki właśnie człowiek będzie przedłużeniem istnienia Rogina.

Dlatego właśnie poczuł się z nim nierozzerwalnie związany. Czymże bowiem jest czterdzieści lat w porównaniu z wiecznością? Czterdzieści lat minęło i patrzył na swojego syna. Oto on. Rogin przestraszył się i wzruszył jednocześnie: „Mój syn! Mój syn!” – powtarzał sobie w duchu i zrobiło mu się tak smutno, że z trudem powstrzymywał łzy. Święte i przerażające dzieło panów życia i śmierci takie właśnie przynosi rezultaty. Jesteśmy ich instrumentem. Wydaje nam się, że zmierzamy do własnych celów. Nonsens! Jakież to wszystko niesprawiedliwie! Cierpimy, harujemy, z trudem omijamy pułapki, jakie zastawia na nas życie, przedzieramy się przez najciemniejsze jego jaskinie, zwycięsko wychodzimy z najtrudniejszych prób, uginamy się pod ciężarem znojów codzienności, w pocie czoła zarabiamy na chleb – i co z tego wszystkiego pozostaje? Syn, trzeciorzędny, pospolity dandys o ordynarnej, gładkiej, różowej, płaskiej, pospolitej twarzy zadowolonego z siebie zwykłego mieszczucha. Być ojcem głupiego syna – co za przekleństwo! Syna, który nigdy nie potrafiłby zrozumieć swojego ojca. Nic, ale to nic nie łączyło Rogina z tym schludnym, lekko nalanym, niebieskookim mężczyzną. Jest tak zadowolony, myślał Rogin, że wszystkiego, co ma, ze wszystkiego, co robi, i z tego, czym jest, że z pewnością trudno mu jest porozumieć się z

kimkolwiek. Wystarczyło spojrzeć na jego dolną, lekko odstającą wargę podobną do małego kolca albo dziobu ptaka. Z pewnością nie zadawał się z byle kim. Nie wykluczone, że za czterdzieści lat będzie to zjawisko powszechne. Czy osobowość ludzka będzie coraz to chłodniejsza w miarę starzenia się i stygnięcia ziemi? Myśl o zaniku humanizmu w przyszłych pokoleniach zirytowała Rogina. Ojciec i syn niezdolni do porozumienia się ze sobą! To straszne! Nieludzkie! Co za potworna wizja przyszłości! Osobiste cele człowieka są niczym, są iluzją. Siła życia nawiedza każdego z nas po kolei, ale w rzeczywistości dąży tylko do spełnienia samej siebie, toteż niszczy naszą indywidualność, wykorzystuje nas do własnych celów, zupełnie jakbyśmy byli pszczołami lub dinozaurami. Bezlitośnie eksploatuje nasze uczucia, zmusza nas do brania udziału w życiu społecznym, do pracy, do walki o pieniądź, do poddawania się prawu nacisku, owemu morderczemu narzędziu adwokatów! Niebotyczna bezczelność!

W co ja się, u licha, wdaję, zastanawiał się Rogin. Miałbym zostać ojcem dziecka, które byłoby dziedzicem cech jej ojca? Przed oczami stanął mu obraz siwego, prostackiego, opryskliwego starca o brzydkich, pełnych egoizmu, niebieskich oczach. Otrząsnął się ze wstrętem. Tak właśnie będzie wyglądał jego wnuk. Joan – która się teraz Roginowi coraz mniej i mniej podobała – nic na to nie poradzi. Dla niej jest to nieuniknione. Ale dla

niego chyba nie. W takim razie, drogi Roginie, nie bądź idiotą i nie pozwól zrobić z siebie bezwolnego narzędzia. Zjeżdżaj z drogi!

Ale na to było za późno, albowiem poznał już uczucie, jakiego doznaje się siedząc obok syna – syna spółzonego z Joan. Przyglądał mu się intensywnie czekając, żeby coś powiedział, ale jego domniemany syn milczał niewzruszenie, mimo że z pewnością zdawał sobie sprawę z wbitego weń wzroku Rogina. Wyszli nawet na tym samym przystanku – na Sheridan Square. Kiedy znaleźli się na peronie, tamten – nie spojrzawszy nawet na Rogina – oddalił się w odwrotnym kierunku, w tym swoim wstrętnym, granatowym płaszczu w kratę, z tą swoją różową, obrzydliwą gębą.

Cała ta historia przygnębiła Rogina. Kiedy stanął pod drzwiami Joan i zanim jeszcze zastukał, usłyszał szczekanie pieska Phyllis, Henriego. Nie dam zrobić z siebie narzędzia, myślał. Mam prawo do własnej egzystencji. Niech Joan ma się na baczności. Za łatwo przechodzi do porządku dziennego nad sprawami, które mnie skłaniają do myślenia. Zakłada, że jej nic naprawdę przykrego nie może się przytrafić. Ale on, Rogin, nie może sobie pozwolić na tak lekkomyślny, tak beztroski stosunek do życia, a to dlatego, że musi ciężko pracować i zarabiać pieniądze, właśnie po to, żeby nic przykrego mu się nie przytrafiło. No cóż, na obecną sytuację nie ma rady, a jeżeli idzie o pieniądze, to co mu tam,

najważniejsze, że na razie nie jest ona jeszcze matką takiego syna jak ten człowiek z podziemnej kolejki i w końcu jest czymś więcej niż córką tego swojego wstrętnego, obleśnego ojca. Ostatecznie Rogin też nie był szczególnie podobny do żadnego ze swoich rodziców i wyglądał zupełnie inaczej niż brat.

Joan otworzyła mu drzwi. Miała na sobie jedną z kosztownych podomek Phyllis. Było jej w niej bardzo do twarzy. Kiedy Rogin spojrzał na jej rozpromienioną twarz, zauważył przelotne podobieństwo do człowieka z kolejki – właściwie tylko cień podobieństwa. Cień tak lekki, że prawie niedostrzegalny. Mimo to przeszedł go zimny dreszcz.

Joan zaczęła go całować szepcząc:

– Och, dzieciaku. Masz pełno śniegu we włosach. Dlaczego chodzisz bez kapelusza? Cała główka mojego chłopca...

Lubiła mówić do niego pieszczotliwie i w trzeciej osobie.

– Zaraz, pozwól mi tylko odstawić zakupy. Daj mi zdjąć płaszcz – marudził Rogin uwalniając się z jej objęć. Czy nie mogła trochę poczekać ze swoimi przeprosinami?
– Strasznie tu gorąco. Już mam wypieki. Dlaczego utrzymujesz tu taką wysoką temperaturę? Czy ten przeklęty pies nigdy nie przestanie szczekać? Gdybyś

wychodziła z nim częściej na spacer, nie byłby taki rozpieszczony i hałaśliwy. Dlaczego nikt tego nie robi?

– Tu wcale nie jest gorąco! Wydaje ci się, bo na dworze jest mróz. Czy nie uważasz, że ten szlafroczek wygląda lepiej na mnie niż na Phyllis? Bo jestem węższa w biodrach. Ona też tak uważa. Może mi go sprzeda.

– Mam nadzieję, że nie! – krzyknął Rogin.

Joan przyniosła ręcznik, żeby zetrzeć resztki śniegu z jego krótkich, czarnych włosów. Rytmiczny ruch, jakim masowała mu głowę, szalenie podniecił psa, toteż Joan musiała zamknąć go w sypialni, gdzie zaczął rzucać się na drzwi i drapać je pazurami.

– Czy pamiętałeś o szamponie?

– Owszem.

– W takim razie umyję ci włosy przed kolacją. Chodź.

– Nie mam na to najmniejszej ochoty.

– Chodź, chodź – roześmiała się Joan.

Jej całkowity brak poczucia winy zdumiewał go. Zupełnie tego nie rozumiał. Ten zastawiony meblami, wyłożony dywanem, oświetlony licznymi lampami, zawieszony zasłonami pokój denerwował go. W ogóle był rozdrażniony, rozgoryczony, zgorzkniały i zły, ale jakoś nie wypadało jej tego okazać. Zaczął się obawiać, że za

chwilę przyczyna irytacji zatrze się w jego pamięci.

W łazience zdjął marynarkę i koszulę, a Joan na* puściła wodę do umywalki. Rogin był wciąż pełen niepokoju. Siedząc tak z obnażoną piersią odczuwał go może jeszcze bardziej dojmująco i przyrzekł sobie, że za chwilę wygarnie jej wszystko. Nie pozwolę sobą rządzić. „Czy tobie się wydaje – powie Joan – że zostałem stworzony po to, żeby dźwigać na sobie wszystkie ciężary świata? Czy uważasz, że urodziłem się po to, żeby dać się wykorzystywać, żeby poświęcać się za innych? Przestań mnie traktować jak źródło surowca, jak coś w rodzaju kopalni węgla, nafty czy Bóg wie czego! Pamiętaj, to że jestem człowiekiem, nie znaczy jeszcze, że można na mnie wszystko zwałać. Mam duszę, która wcale nie jest twardsza i silniejsza od twojej.

Zapomnij na chwilę o cechach zewnętrznych, takich jak większe mięśnie, głębszy głos i tak dalej, i co zostaje? Dwie dusze, w gruncie rzeczy zupełnie identyczne. Czemuż więc nie mielibyśmy mieć równych praw? Nie mogą być zawsze tym silniejszym”.

– Usiądź tu – odezwała się Joan stawiając stołek kuchenny przed umywalką. – Włosy zmierzwiły ci się od tego śniegu.

Rogin – usiadł opierając pierś o chłodną porcelanę i wparł podbródek w brzeg umywalki. W połyskliwej, zielonej, gorącej wodzie odbijały się szklane buteleczki,

kolorowe kafelki, delikatny, pachnący szampon spłynął mu na włosy. Joan zabrała się do mycia mu głowy.

– Masz szalenie zdrową skórę na głowie – powiedziała.
– Jest zupełnie różowa.

– A powinna być biała – zdenerwował się Rogin. – To niedobry znak.

– Nic podobnego, jesteś w świetnej formie – powiedziała Joan i przylgnęła do niego. Otaczała go całym swoim ciałem, delikatnie polewała mu głowę ciepłą wodą, aż po chwili zaczęło mu się zdawać, że ta woda wylewa się z jego własnego wnętrza, że jest płynnym wyrazem jego najgłębszych miłosnych uczuć, które łączą się ze spienioną, zieloną wodą. Wszystkie słowa, jakie powtarzał sobie jeszcze przed chwilą w myślach, ulotniły się, niechęć, jaką czuł do przyszłego syna, zniknęła, więc westchnął i powiedział do Joan głosem lekko zniekształconym, bo odbijającym się w napełnionej wodą misce umywalki:

– Joan, jakie ty masz cudowne pomysły! Wiesz, co ci powiem? Masz intuicję, a to jest prawdziwy dar.

Wspomnienia Mosby'ego

Ptaki ćwierkały. Ćwir, ćwir, ci-ci-ćwir. Zachowywały się dokładnie tak, jakby się wzorowały na opisach ornitologów. Ćwierkanie to było wyrazem ich niepohamowanego instynktu agresji i tylko człowiek – głupi człowiek – mógł dopatrywać się w nim naiwności. Wszyscy jesteśmy skłonni dopatrywać się niewinności we wszystkim, a to dlatego, że sami jesteśmy tak bezgranicznie źli. O tak, bezgranicznie!

Pan Willis Mosby właśnie zakończył sjętę i spoglądał w dół na miasto Oaxaca, gdzie wszystko jeszcze drzemało – usta, kupry, długie, czarne, indiańskie włosy, całe to antyczne piękno, tak wspaniale sfotografowane przez Eisensteina w filmie „Burza nad Meksykiem”. Pan Mosby – a właściwie doktor Mosby, erudyta, może nawet mędrzec, który często oddawał się rozmyślaniom i bardzo wiele osiągnął – popełnił kilka błędów, które można by uznać za jedne z najbardziej interesujących pomyłek dwudziestego wieku. Obecnie przebywał w mieście Oaxaca, gdzie zamierzał pisać wspomnienia. Otrzymał na to stypendium z fundacji Guggenheima. I czemuż by nie?

Wzgórze porośnięte było bougainville'ą, kolibry trzepotały skrzydełkami. Mosby'emu zrobiło się aż mdło od tego ich wirowania, od tych wszystkich barw i

zapachów grożących pochłonięciem go lada chwila. To piękno, ta żywotność, wszystko to wydawało mu się najeżone niebezpieczeństwami. Śmiertelnymi niebezpieczeństwami. Być może, że wypił za dużo meskalu przy obiedzie (piwa też). Pod czerwienią i zielenią, kolorami przeważającymi w tutejszej florze i faunie, widział grubą warstwę matowej czerni, podobną do warstwy tlenku srebra pokrywającej odwrotną stronę lustra.

Ale Mosby nie czuł się zbyt dobrze. Tak silnie zaciskał zęby, że widać było zarysy mięśni na jego niemłodej, ale przystojnej, śniadej twarzy. Oczy miał wyraziste, niebieskie, lekko przymrużone, inteligentne, sceptyczne i szczere zarazem, włosy wciąż jeszcze gęste, z przedziałem na środku głowy, i głębokie bruzdy pomiędzy brwiami, na górnej wardze i na karku.

Uznał, że nadszedł czas, by wprowadzić nutę humoru do wspomnień. Dotychczas napisał: Fundamentalistyczna rodzina w Missouri – Ojciec, wzięty przedsiębiorca budowlany – Szkoła podstawowa – Uniwersytet stanowy – Stypendium Rhodessa – Przyjaźnie intelektualne – Czego nauczyłem się od profesora Collingwooda – Imperium i intelektualna teżyzna Wielkiej Brytanii – Moja oryginalna interpretacja dzieł Johna Locke'a – W Hiszpanii dla koncernu prasowego Hearsta – Osobowość generała Franco – Moi nowojorscy przyjaciele ze sfer radykalnych – Praca w czasie wojny w organizacji O. S. S. –

Ograniczony horyzont myślowy Franklina D. Roosevelta – Nowe odczytanie Comte'a, Proudhona i Marksa – De Tocqueville raz jeszcze.

Ale w tym wszystkim nie było nic zabawnego. A przecież tysiące studentów, jak i innych osób, powie: „Mosby miał kolosalne poczucie humoru”. Dzieciom swoim będą opowiadali: „Ten sam Mosby, którego znałem w O. S. S. 'ie" albo „Willis Mosby był ze mną w Toledo, kiedy padł Alcazar, i opowiadał tak śmieszne historyjki, że mało nie umarłem ze śmiechu”, albo „Do śmierci nie zapomnę, co powiedział o Haroldzie Łaskim”. „O nominacjach do Sądu Najwyższego”, „O czystkach i procesach moskiewskich”, „O Hitlerze”.

Najwyższa była więc pora, żeby zrobić coś w tym kierunku. Mosby zastanawiał się nad tym problemem od dłuższego już czasu. Za chwilę przyniosą mu lód z baru hotelowego (mieszkał w osobnym, porośniętym krzakami pawilonie na tyłach głównego budynku i trochę zazdrościł innym gościom widoku na Sierra Madre), wrzuci go do meskalu – ciepły meskał jest obrzydliwy – i zaraz potem zabierze się do pisania o tym, jak to w 1947 roku w Paryżu zetknął się z całą masą ciekawych ludzi. Znał księcia de la Mine-Crevec, który wziął do siebie Gary'ego Davisa, tak zwanego „obywatela świata”, po tym, jak tenże „obywatel świata” spalił publicznie swój paszport. Znał Juliana Huxleya w UNESCO. Z Levi-Strausem rozmawiał na tematy socjologiczne, ale nigdy nie był

przez niego zaproszony do domu na kolację, jadali w Musee de l'Homme. Sartre w ogóle nie chciał go przyjąć. Uważał, że wszyscy Amerykanie – z wyjątkiem Murzynów – są tajnymi agentami. Mosby z kolei uważał wszystkich Rosjan przebywających na Zachodzie za pracowników G. P. U. Mosby dobrze znał francuski, hiszpański doskonale, niemiecki nieźle. Ale Francuzi nigdy nie dostrzegają oryginalności myślenia w cudzoziemcach. Na tym polega I przekleństwo przynależności do starej cywilizacji. Jest to cięższa planeta. Nawet jej najlepsze umysły muszą podwoić wysiłek, żeby pokonać siłę przyciągania grawitacyjnego pola tradycji. Zaledwie kilku z nich potrafi się od niego oderwać. Oderwać od Kartezjusza. Od anachronizmów, jakimi są lewica, prawica, centrum – pojęć pokutujących tu od 1879 roku. Mosby uważał Francuzów za ludzi beznadziejnie banalnych. Oni jego za człowieka suchego i pozbawionego fantazji. Ubierał się w doskonale skrojone garnitury, był elegancki, szczupły, miał zdrową cerę, blade oczy, wydatny nos, kształtne usta i podkreślające jego męskość bruzdy – *un type sec*.

Tak więc obydwie strony – to znaczy Mosby i Francuzi – miały całkowicie ustalone poglądy. Fałszywe – jak zaczął od niedawna rozumieć – z gruntu fałszywe. Prawdopodobnie jednakowo dalekie od prawdy, ale wywodzące się z odmiennych źródeł błędu. Francuzi byli w gorszej sytuacji, ponieważ ich błędy były kolektywne.

Moje, mówił sobie Mosby, są przynajmniej nietuzinkowe. Francuzi byli rozgoryczeni z powodu upadku ich kraju w 1940 roku, „La France Pourrie”, mawiali, z powodu niechęci narodu do walki zbrojnej, powszechnej kolaboracji z okupantem, braku oporu przeciwko masowym deportacjom (Duńczycy, a nawet Bułgarzy utrudniali Niemcom deportację Żydów), poza tym czuli się upokorzeni tym, iż wyzwoliły ich wojska alianckie. Mosby, który w czasie wojny pracował w O. S. S. , miał wiele informacji potwierdzających te tezy. Miał również znajomości w Departamencie Stanu – dawnych studentów, kolegów ze studiów. Spodziewał się, że po zakończeniu wojny otrzyma jakieś wysokie stanowisko państwowe, do czego kwalifikowała go idealnie praca szefa kontrwywiadu w Ameryce Łacińskiej. Ale Dean Acheson po prostu go nie lubił. Dulles także nie żywił do niego sympatii. Mosby, fanatyk idei, nie podobał się arystokratom biurokracji. Powiedział kiedyś, że służba zagraniczna składa się z ludzi nie mających kwalifikacji do rządzenia własnym krajem. Młodzi dżentelmeni, absolwenci dobrych college'ów wschodniego wybrzeża, którzy nie nadawali się do pracy w wielkich zespołach adwokackich obsługujących nowojorską finansjerę, zasilali maszynę biurokratyczną Departamentu Stanu, gdzie pozwalano im pracować na rzecz domniemanych interesów swojej klasy. W zagranicznych konsulatach mogli za to być nieuprzejmi w stosunku do uchodźców i uprawiać antysemityzm rodem z eleganckich klubów

sportowych, który zanikał już nawet w tych klubach. Poza tym w czasie wojny był Mosby zwolennikiem teorii Burnhama, który twierdził, że hitlerowcy dlatego wygrywają, iż pierwsi dokonali rewolucji menażerów. Alianci ze swoją przestarzałą strukturą ekonomiczną nie są w stanie pokonać narodu, który wspiął się na nowe wyżyny życia organizacyjnego, wyzwolił nowe gospodarcze siły napędowe, wkroczył w nowy okres historyczny i tak dalej. Ponadto wiadomo było, że Mosby na zebraniach towarzyskich gromadzących waszyngtońskich amatorów szkockiej whisky wypowiadał się wprawdzie stanowczo przeciwko hitlerowskim obozom koncentracyjnym, ale stwierdzał jednocześnie, że są one niewątpliwie dowodem racjonalizmu niemieckich idei politycznych. Amerykanie w ogóle nie mają idei. Nie wiedzą, co czynią. Działają bez planu. Anglicy nie są o wiele lepsi. Dywanowy nalot na Hamburg, twierdził – argumentując jak zwykle stanowczymi, krótkimi, ale pełnymi zdaniem – jest najlepszym dowodem bezmyślności i braku logiki, charakteryzujących przywódców Zachodu. Wreszcie powiedział kiedyś, że jak Dean Acheson ma katar, kicha robakami.

Pobitym Francuzom Mosby przyznawał się do tego, że jest zgorzkniały. Jego dowcipy na ten temat były wcale niezłe. No i, oczywiście, sporo pił. Studiował dzieła Marksa i Tocqueville'a i pił. W dalszym ciągu uprawiał współzawodnictwo intelektualne. Książę de la Mine-

Creveś (własna improwizacja Mosby'ego na temat starego i szacownego nazwiska) dostarczał mu alkoholu ze sklepów amerykańskiej armii i wymieniał mu pieniądze na czarnym rynku. Opowiadał mu o swoich kantach i był szalenie zabawny.

Mosby zamierzał napisać – wzorując się na sir Haroldzie Nicolsonie, Santayanie lub Bertrandzie Russellu, których pamiętniki darzył najwyższym podziwem – że Paryż roku 1947, podobnie jak połowa arki Noego, czekał na pojawienie się osobnika odmiennej płci każdego gatunku. Albowiem osobnik jednej płci każdego gatunku był już z pewnością na miejscu. Szczególnie wśród Amerykanów. Miasto było rozgoryczone i ponure. Wody Sekwany miały wygląd i zapach paskudnego lekarstwa. Podczas jakiegoś amerykańskiego przyjęcia były student romanistyki z Minnesoty, który obecnie prowadził podejrzanę przedsiębiorstwo specjalizujące się w przekupstwie, śledzeniu ludzi na zlecenie prywatnych osób i dostarczaniu dziewcząt wysoko postawionym osobistościom, powiedział coś szalenie emocjonalnego na temat Paryża nazywając go Miastem Człowieka oraz o znaczeniu Europy dla Amerykanów i o tym, że Ameryka straciła poczucie skali i proporcji. Nie omieszkał przy tym dodać, że „człowiek jest jedyną miarą wartości”. Po czym dorzucił wszystkie komunały, jakie zapamiętał sobie z lektury Randalla: „Jak powstawała współczesna myśl” czy

też „Wypisów z intelektualnej historii Europy”. „Miałem ochotę” – zamierzał powiedzieć Mosby (lód został mu przyniesiony w szklanym kubelku wraz ze, szczypcami; tubylcy nie chodzili już tak jak dawniej w brudnych białych szortach). „Miałem ochotę... – zaczął sobie pocierać czoło, które było wypukłe niczym szybka w obserwacyjnym wagonie pociągu – ... powiedzieć temu pijaczkowi i mistyfikatorowi, który był kiedyś pacyfistą i jaroszem, a jako student Uniwersytetu Minnesoty zwolennikiem Ghandiego, teraz zaś jeździł regularnie pięknym Bentleyem na kaczkę z pomarańczami do słynnej »Tour d'Argent«, tak, miałem wielką ochotę powiedzieć mu: Owszem, ale my przyjeżdżamy tu, na drugą stronę Atlantyku, po to, żeby się trochę nacieszyć przeszłością. Przypomnieć sobie, co to kiedyś powiedział Ezra Pound. Że stać nas w każdej chwili na zbudowanie drugiej Wenecji – ot tak sobie, bez specjalnego powodu – na przykład na błotach stanu Jersey, jeżeli taka nam przyjdzie ochota. Po prostu dla zabawy. Żeby się trochę rozerwać. Potrafimy zreprodukować każdą rzecz, jeżeli uznamy, że sprawi nam przyjemność. Specjalnie tresowane małpy będą nas wiozły gondolami na zebrania dyskusyjne poświęcone astrofizyce. Tam, gdzie ludzie teraz palą śmieci, tuczą świnie i magazynują stare samochody, będziemy lądowali, by słuchać muzyki”.

Myśliciel Mosby, podobnie jak wielu bardzo zajętych ludzi, nigdy nie miał czasu na muzykę. Poezja też nie

należała do jego ulubionych lektur. Parlamentarzyści, członkowie rządu, organizatorzy przemysłu, planiści z Pentagonu, przywódcy partyjni czy prezydenci nie miewają takich zainteresowań. Nie mogliby być tym, czym są, gdyby czytali Eliota, słuchali Vivaldiego i Cimarosy. Ale to oni właśnie tak planują, żeby inni ludzie mogli cieszyć się dobrami kultury i korzystać z jej skarbów. Mosby miał z pewnością więcej wspólnego z przywódcami politycznymi, szefami sztabów i prezydentami. W każdym razie poświęcał im więcej czasu niż Oimarusie czy Eliotowi. Z nienawiścią w sercu zastanawiał się nad ich błędami, nad płytkością ich umysłów. Żeby ich demaskować, wykladał filozofię Locke'a. Prawowita władza jest tworem niczym nieskrępowanej woli większości społeczeństwa. Jedynym autentycznym demokratą w Ameryce był Mosby (być może, że nawet na świecie – chociaż, kto może być pewny świata, który składa się z tylu miliardów umysłów i dusz) i to mimo jego suchego, zwięzłego, nietolerancyjnego sposobu prowadzenia konwersacji (a raczej egzaminowania rozmówcy), jego wysokiej, chudej postaci, jego arystokratycznego szkieletu. Mimo jego ciemnych, końskich niemal chrap wskazujących na drażące go utrapienia, których pokonanie wymagało siły odzwierciedlonej w sposobie, w jaki zaciskał szczęki. Wreszcie mimo tego, że miał zawsze lekko przymrużone, jak gdyby zbolące od słońca oczy.

Dziwne, niewinne, zgłodniałe, rozmarzone, ale nieszczęsne zwierzę, które nazwawszy siebie człowiekiem uwierzyło, że zdoła uniknąć swojego przeznaczenia. Nawet nie chodzi tu w ostatecznej analizie o jego definicję, lecz o samą jego egzystencję. Niech sobie mówi, co chce.

*Królestwa są gliną,
Cała ta ziemia, pogardliwe błoto,
Zarówno żywi ludzie jak bydłęta,
Jedynym życiem szlachetnym tak robić.*

Tak robić, w tym przypadku znaczy kochać. Lub żywić jakieś inne wzniosłe uczucie. Mosby doskonale znał swojego Szekspira. Tym między innymi różnił się od prezydenta. O wiceprezydencie powiedział kiedyś: „Nie powierzyłbym mu zrobienia mi nawet jednej tabletki. Mimo że był kiedyś farmaceutą”.

Popijał swój meskal powoli i wytwornie. Służący w pomarańczowej kurtce ze zgrzebnego płótna z metalowymi guzikami przypomniał mu, że o czwartej godzinie zajedzie samochód, żeby zawieźć go do Mitli na zwiedzanie ruin.

– *Yo mismo soy una ruina* – zażartował sobie Mosby.

Rosły Indianin uśmiechnął się tyle, ile należało – ani odrobinę więcej – i skłoniwszy się uprzejmie, wycofał się. A może chciałem go sprowokować do komplementu, zastanowił się Mosby. Żeby mi powiedział, że jeszcze nie jestem stary. Ale jakżeby mógł to zrobić. Skoro dla niego jestem właśnie ruiną.

Być może Mosby nie miał lekkiej ręki. Był jednakże przekonany, że doskonale wyczuwa pewien specyficzny gatunek humoru. Postanowił koniecznie znaleźć sposób na wprowadzenie odrobiny lekkości do trzeźwego opisu swoich intelektualnych zmagania. Poza tym uzmysławiał sobie doskonale, że w owym czasie w Paryżu ludzie – jeden po drugim – stawali w humorystycznym świetle. Widział to w ten sposób. Rue Jacob, rue Bonaparte, rue du Bac, rue de Verneuil, Hotel de l'Universite – wszędzie pełno szalenie śmiesznych ludzi.

Zaczął od napisania na kartce papieru jednego nazwiska: Lustgarten. O właśnie, tego człowieka było mu w tej chwili potrzeba. Hyman Lustgarten, marksista, były marksista ze stanu New Jersey. Chyba z Newarku, tak mi się przynajmniej zdaje. Był sprzedawcą obuwia i należał do różnych heretyckich, fanatycznych, bolszewickich ugrupowań. Najpierw był leninowcem, potem trockistą, następnie wyznawcą Hugo Oehlera, później Thomasa Stamma i na koniec Włocha o nazwisku Salemme, który

rzucił politykę i został malarzem, abstrakcyjnym malarzem. Lustgarten także rzucił politykę. Postanowił zająć się biznesem i zrobić pieniądze. Wierzył święcie, że noce, jakie spędził pochylony nad „Kapitałem” Marksa i nad „Państwem a rewolucją” Lenina, nie poszły na marne i że nabyta wówczas wiedza teraz mu się przyda. Mieszkaliśmy w tym samym hotelu. Z początku nie mogłem się domyślić, z czego on i jego żona żyją. Wkrótce jednak zorientowałem się. Uprawiali handel czarnorynkowy. Nie było to wówczas zajęcie hańbiące. Taka była Europa tuż po zakończeniu działań wojennych. Roilo się w niej od uchodźców, awanturników i amerykańskich żołnierzy. Robił to w końcu nawet książę de la M. – C. Europa wciąż jeszcze drżała po ciosach, jakie jej zadano. Rządy były nowe, niepewne siebie, kalekie. Nikt nie miał powodu, żeby szanować ich autorytet. Żołnierze amerykańscy dawali przykład. Wymyślali sobie najdziwaczniejsze sposoby na robienie pieniędzy. Wywozili do kraju maszyny, całe fabryki, kradzione dzieła sztuki. Pewien amerykański pułkownik, właściciel tartaku, zabrał się do wycinania Schwarzwaldu i wysyłał drzewo do Wisconsin. Hitlerowcy oczywiście robili wszystko, żeby ukryć zagrabione w obozach koncentracyjnych kosztowności. Zatapiali klejnoty w austriackich jeziorach. Melinowali dzieła sztuki, gdzie tylko się dało. Złoto wyrywane z zębów pomordowanych więźniów przetapiali na cegiełki i wmurowywali w ściany domów. Istniały więc doskonałe warunki do robienia

majątku i Lustgarten zamierzał z tego skorzystać. Ale niestety, po prostu nie nadawał się do tego.

Od pierwszego wejrzenia widać było, że jest zupełnie nieszkodliwy. Mimo śmiałych kontaktów z najrozmaitszymi wywrotowcami, mimo głoszonych przez siebie rewolucyjnych idei. Mimo pozornej gotowości do krwawego rozprawienia się z wrogiem klasowym, Lustgarten nie potrafiłby sobie dać rady z byle agresywnym facetem w pisuarze. Był przysadzisty, śniady, miał łagodny wyraz twarzy, życzliwy uśmiech na fioletowych, szerokich, żabich wargach, uśmiech, który był wymiennikiem skomplikowanego układu zmarszczek i fałd ciągnących się od kącików ust aż po uszy podobne do rybich skrzelii. Być może, myślał Mosby, przypomniałem go sobie właśnie teraz w Meksyku dlatego, że był taki podobny do tych wszystkich Tolteków, Zapoteków i Miksteków, jakich tutaj pełno – był tak jak oni przysadzisty, miał krucze włosy, zwisający jak gdyby nos z ciemnymi dziurkami, które rozdymały się nieśmiało, kiedy spotykał się z przychylnym odzewem na swój przyjazny grymas. Albo może dlatego, że i on robił wrażenie człowieka lekko przestraszonego ludzką niegodziwością z jednej i dostojeństwem życia z drugiej strony, ale który, mimo to, nie poddawał się i – z pełnym respektem – korzystał z wszystkiego, co, jak sądził, należało mu się. Był niby to pełen energii, zorganizowany i sprawny, ale w środku drażył go zdradliwy brak

pewności siebie. Obawa, że wybrał fałszywą drogę. Dokonał fałszywego wyboru. Popełnił fatalny błąd. Ale mimo wszystko trwał przy swoim.

Rozmowy prowadzone z nim w czasie posiłków bawiły mnie. Był dumny ze swojej działalności rewolucyjnej, która polegała głównie na obracaniu korbą powielacza. Biuletyny wewnętrzne. Tysiące stron zawiłych komentarzy do trudniejszych tez doktryny przeznaczonej dla członków organizacji. Czy amerykańska klasa robotnicza powinna nieść materialną pomoc republikańskiemu rządowi Hiszpanii, mimo że był on całkowicie zdominowany przez stalinowców? Trzeba walczyć z Franco, ale równocześnie ze Stalinem. Nie było, oczywiście, żadnej materialnej pomocy do udzielania, ale gdyby była, to co robić? Udzielać jej czy też nie? Ten czysto retoryczny problem stał się przyczyną kilku rozłamów, wiele osób usunięto z organizacji. Zawsze starałem się być poinformowany o tych zdumiewających i – jakże bolesnych dla jego ofiar – skutków sekciarstwa, pisał Mosby. Jedyna próba – ze strony hiszpańskich republikanów – zakupienia w Stanach Zjednoczonych broni, storpedowana została przez tego wielkiego orędownika wolności, Franklina Delano Roosevelta, który wprawdzie dopuścił do tego, żeby załadowano ją na statek – Mar Cantabrico – ale natychmiast po jego wyruszeniu wysłał Straż Przybrzeżną, która zawróciła go do portu.

Odpowiedzialny za to był – o ile się nie mylę – „genialny” dyplomata, pan Cordell Hull, ale decyzja należała, oczywiście, do prezydenta, którego Huey Long dowcipnie nazwał Franklinem de la NO! Ale najbardziej zapewne wyrafinowana dyskusja tocząca się na skrajnej lewicy, uwieczniona w dokumentach powielanych przez tego Jimmy Higginsa – okrągłego jak beczka i bezgranicznie oddanego sprawie partii pana Lustgartena – dotyczyła wojny fińskiej. W tym przypadku chodziło o rozstrzygnięcie bardzo bolesnego zagadnienia, a mianowicie, czy państwo proletariackie może prowadzić imperialistyczną wojnę. Albowiem imperializm był nieodłącznie związany z burżuazją. Z teorii wynikało więc, że stalinizm nie jest imperializmem. Z samej swojej istoty. Cóż mogła więc autentycznie rewolucyjna partia radzić Finom? Czy powinna namawiać ich do opierania się Rosjanom, czy nie? Rosjanie byli wprawdzie potworami, ale z pewnością wywłaszcza białogwardzistów i mannerheimowskich obszarników i skierują kraj – będzie to zapewne bolesna operacja – na historycznie słuszny szlak. Jako pilnego obserwatora wszelkich sekt politycznych bawiło mnie to wielce. Ale dla wielu sekciarzy były to zagadnienia zbyt subtelne. Byli to w końcu Amerykanie. Czyli w głębi serc swoich, pragmatyści. Lustgarten uznał, że wszystko to przekracza jego inteligencję. Postanowił po wojnie zrobić pieniądze – co nie powinno było być trudne. Wziął więc swoje oszczędności i jak – o ile się nie mylę – opowiedziała mi

jego żona, również oszczędności matki i wyruszył za granicę, by zdobyć fortunę.

W ciągu jednego roku stracił wszystko. Został oszukany. Szczególnie dotkliwie przez niemieckiego partnera. Został również przyłapany na szmuglu przez władze belgijskie.

Kiedy Mosby zetknął się z nim po raz pierwszy (Mosby zaczął pisać o sobie nagle w trzeciej osobie wzorując się na „Edukacji Henry Adamsa”) – kiedy więc Mosby go poznał, Lustgarten pracował dla armii amerykańskiej w wydziale Rejestracji Grobów. Zajmował się zamawianiem krzyży, a może pielęgnacją trawników. Z tytułu stanowiska miał dostęp do sklepów wojskowych. Naprawiał swoją sytuację finansową handlując nielegalnie papierosami. I kuponami na benzynę, jakie rząd francuski – bardzo potrzebujący dolarów – wydawał tym, którzy wymieniali dewizy po oficjalnej cenie. Kupony benzynowe trafiały na czarny rynek. Lustgartenowie – mąż i żona – namówili Mosby'ego, żeby zrobił to dla nich tylko raz. Wymienił więc trochę dolarów w banku, a nie za pośrednictwem la Mine-Crevsée. Lustgartenowi bardzo na tym zależało. Musiał natychmiast jechać do Monachium. Handlował tam lekami i narzędziami dentystycznymi na spółkę z pewnym niemieckim stomatologiem, który teraz nie przyznawał się do jakiegokolwiek z nim znajomości.

Liczne konsultacje pomiędzy Lustgartenem (ubranym w źle dopasowany płaszcz deszczowy tak charakterystyczny dla międzynarodowych kombinatorów; z głową, szyją i ramionami lekko przechylenymi do tyłu iście żabim łukiem) a jego żoną, młodą kobietą w koronkowej bluzce i aksamitnej spódnicy, z aksamitną wstążką na wypukłej, jędrnej szyi. Lustgarten stojący pośrodku okrągłej podłogi banku, odsunięty od niej na odległość kilku kroków, starający się wytłumaczyć jej, o co chodzi. Bezgranicznie udręczony usiłował przemówić jej do rozumu wyjaśniając jej szczegół za szczegółem. Biedny Lustgarten – jego cierpliwość była niemal wyczerpana. Gestykulował coraz to słabiej. Albowiem Trudy stawiała mu albo typowe kobiece pytania, albo kwestionowała jego racje, zmuszając go do wysuwania dalszych, coraz to dla niego bardziej żenujących argumentów. Próbował być racjonalny, ale to nie było łatwe. Z tej prostej przyczyny, że w tym, co zamierzał zrobić, nie było nic racjonalnego. Po prostu nie miał prawa robić jakichkolwiek interesów z Niemcami. Wszelkie tego rodzaju spółki wymagały zezwolenia władz okupacyjnych. Było to więc przedsięwzięcie nielegalne i kiedy zaczęło przynosić dochody, Niemiec po prostu wyrzucił Lustgartena za drzwi. W pełnym przeświadczeniu o swojej – jak to rzecz – bezkarności. Niemcy doszli już dawno do wniosku, że cywilizowane metody karania są ograniczone w przeciwieństwie do nieskończonych wprost odmian przestępczej działalności.

Paryski bank, w którym toczyła się rozmowa pomiędzy Lustgartenem i Trudy, był wyłożony w środku czymś w rodzaju czerwonego porfiru. Przypominającym surowe mięso. W kolorze, który kojarzy się burżuazji francuskiej, nie wiadomo dlaczego, z ideą potencji, odwagi i wielkości. Grobowiec Napoleona w Inwalidach także jest z polerowanego czerwonego kamienia – ogromna, rozłożysta, połyskliwa kołyska zawierająca niewielkie, zielone ciało. (Informacja o kolorze ciała cesarza zaczerpnięta jest z zeznań pana M. Rideau, historyka i bonapartysty). Jeżeli zaś chodzi o samego Bonapartego, to Mosby zgadzał się z Augustem Comte, że był on po prostu anachronizmem. Rewolucja stanowiła konieczność dziejową. Zjawisko w pełni uzasadnione socjologicznie. Z punktu widzenia polityki i ekonomii należało ją uznać za krok w kierunku demokracji. Ale sama epopeja napoleońska należała do archaicznej kategorii zjawisk z kręgu osobistych ambicji, feudalnych idei o wojnie. Starszych niż sam feudalizm. Starszych niż Rzym. Komendant na czele armii – cóż w tym było racjonalnego? Społeczeństwo – już całkiem wtedy logicznie zorganizowane – mogło się obejść bez tego zjawiska. Ale ludzkość najwidoczniej pragnęła go jeszcze. Wojna jest przyjemnością wielce luksusową. A skoro uznaje się pierwszą przesłankę hedonizmu, trzeba zaakceptować całą resztą. Racjonalne podstawy nowoczesności człowiek w chytrłości swojej traktuje jak wyrzutnie służące do lansowania coraz to śmielszych idei.

Mosby spisywał te refleksje niebieskawozielonym atramentem, jak gdyby wysublimowanym z otaczającego go krajobrazu. Podobnie jak napój, który był ekstraktem zadziwiająco ostrych, ciemnozielonych, mięsistych cierni meskalu zarastającego okoliczne pola.

Dolary, franki, bony benzynowe, bank przypominający kopalnię befsztyków, w którą zainwestował swój kapitał W. C. Fields, i skulony, ale uparty, śniady Lustgarten wsiadający do swojego samochodu na mokrej paryskiej ulicy. Niewiele było wówczas w Paryżu samochodów. Mnóstwo miejsc do parkowania. A ulice były takie żółte, takie szare, pomarszczone i ponure. Ale nawet wtedy Francuzi głosili z ferworem na prawo i lewo, że posiadają tajemnicę *savoir-vivre'u*, tego swojego *gai savoir*. Amerykanie – ludzie głęboko przesiąknięci protestancką etyką – musieli tego wysłuchiwać. Człowieku, usiądź, napij się wina, zakaś serem, odłam sobie kawałek bułki, posłuchaj muzyki, naucz się kochać, zatrzymaj się w biegu i ucz się starych, europejskich prawd życiowych. Jakby nie było, Lustgarten ściągnął mocniej pasek trencza i nasunął na oczy rondo złodziejskiego, filcowego kapelusza. Zgarbiony na przednim siedzeniu, z małymi, śniadymi dłońmi zaciśniętymi na kierownicy Simki Osiem, uśmiechał się rozpaczliwie na pożegnanie.

– *Bon voyage*, Lustgarten.

Ten nos Zapoteka. Te zęby, jak białe pestki granatu.

Przekładnia małego samochodu zaszlochala i Lustgarten ruszył w drogę do zrujnowanych Niemiec.

Rekonstrukcja kraju to wielki biznes. Najpierw demolujemy go, dziesiątkujemy jego ludność i zaczynamy od początku. Powstają nowe fortuny. Lustgarten uważał prawdopodobnie, że jako Żydowi, należy mu się zrobienie majątku na niemieckim boomie. Że każdy Żyd ma naturalnie prawo do wszystkiego po tamtej stronie Renu. Na tej ziemi wzbogaconej popiołem ze spalonych żydowskich kości. Kiedy siadało się tu na kanapie, nie można było mieć pewności, czy nie jest ona wypchana żydowskimi włosami. Za nic w świecie nie używałby niemieckiego mydła. Mył sobie ręce, jak powiedziała Mosby'emu Trudy, mydłem marki Lifebuoy pochodzącym ze sklepów amerykańskiej armii.

Trudy, absolwentka seminarium nauczycielskiego Montclaira w New Jersey, znała francuski, uczyła się kompozycji, miała nadzieję, że uda jej się dostać na studia do kogoś takiego jak Nadia Boulanger, ale musiała zrezygnować z tych ambicji. Po pożegnaniu się z Lustgartenem, który odjechał – mokrą od deszczu ulicą – z przeczuciem klęski, ze łzami w oczach, ale mimo to pełen rozpaczliwej odwagi, Trudy zaprosiła Mosby'ego do sali Pleyela na koncert czeskiego pianisty, który miał grać Schonberga. Człowiek ten uderzał w klawisze z herkulesową siłą. Przekazywał jedynie ogrom swojego trudu, gigantyczność wysiłku, jakiego wymagało ocalenie

sztuki w zmaltretowanej Europie, skalę poświęcenia i dyscypliny. Trudy miała twarz doskonale nadającą się na koncerty. Przyjemnie pachniała. Była wzruszona. W jej lewym profilu poruszało się oko. Mosby – człowiek o kamiennym sercu – naigrawał się w duchu z ludzi, z tych nędznych śmiertelników i ich krótkich litanii wyliczających dobro i zło. Patrzył na nieszczęsnego Czecha ubranego w granatowy blezer z ozdobnymi metalowymi guzikami, na napięte mięśnie jego czoła protestujące jak gdyby przeciwko tabula rasa – na jego łąsą czaszkę.

Mosby umiał się wyłączać w takich momentach. W dalszym ciągu myślał o Comcie. Nie słyszał dźwięku fortepianu. Precz, starzy księża i feudalni żołnierze! Znikajcie, a wraz z wami Teologia i Metafizyka! W Epoce Pozytywizmu Oświecone Kobiety zaczną odgrywać swoją rolę pilnując, żeby menażerowie nowego społeczeństwa nie nadużywali swojej władzy. Najwyższe dobro weźmie górę nad Pracą.

Jak gdyby wyhaftowane na gałęziach drzew ptaki Meksyku przyglądały się Mosby'emu, podobnie jak koliber rozwibrowany i tak nieskazitelny w swojej ekstazie i jaszczurka przytulona do ziemi, wchłaniająca brzuchem buchające z niej ciepło. Należy podobno błogosławić małe zwierzątka.

Tak, ten Lustgarten był naprawdę bardzo zabawnym człowiekiem. Oszukany w Niemczech, wystrychnięty na dudka przez partnera i zniechęcony pracą w wydziale Rejestracji Grobów, postanowił zaimportować Cadillaka. Powojenni milionerzy Europy pilnie potrzebowali Cadillaków. Rząd francuski, który wolno reagował na wszystko, jeszcze nie zakazał importowania samochodów na szybką odsprzedaż. W 1947 roku takie transakcje nie podlegały opodatkowaniu. Lustgarten skłonił rodzinę w Newarku do wysłania mu nowego Cadillaka. Jego brat, matka i brat matki zebrali cztery tysiące dolarów i kupili wóz. Załatwili jego transport. Lustgarten miał klienta. Wziął od niego zaliczkę. Spodziewał się stuprocentowego zarobku. Ale akurat tego samego dnia, w którym samochód Lustgartena został wyładowany w Le Havre, weszły w życie nowe zarządzenia. Cadillac nie mógł zostać sprzedany. Lustgarten był – czy chciał, czy nie chciał – jego właścicielem. Nie mógł sobie pozwolić nawet na benzynę. Pewnego dnia widziano, jak Lustgartenowie opuszczają hotel i wsiadają do Cadillaka. Żona Lustgartena wprowadziła się do przyjaciół-muzyków. Mosby pozwolił Lustgartenowi korzystać ze swojej umywalki, do mycia się i golenia. Co rano zdeprymowany, przybity i ciężko teraz przestraszony własną lekkomyślnością Lustgarten zeskrobywał sobie zarost z policzków z chrobotem przypominającym brzęczenie świerszcza, przy czym od czasu do czasu wzdychał. Tyle pieniędzy – wszystkie oszczędności matki

i cała niemal renta brata. Nic dziwnego, że zsiniały mu powieki i że jego uśmiech coraz bardziej przypominał woreczek z pachnącymi ziołami w wyprawowej bieliźnie starych panien, który już dawno zwietrzał. Mimo to jego wąskie, żabie wargi wciąż trwały w kurczowym uśmiechu.

Mosby zdawał sobie sprawę, że człowiek ten zasługuje na współczucie. Jednakże, kiedy nocą przechodził obok błyszczącego, zamkniętego samochodu i widział uśpionego Lustgartena, skulonego pod dwoma płaszcami na luksusowym siedzeniu niczym Jonasz w brzuchu wieloryba, nie byłby uczciwy, gdyby twierdził, że to, co wówczas odczuwał, było współczuciem. Myślał po prostu, że ten sprzedawca obuwia, który w Ameryce wyznawał obce doktryny i nie potrafił się w żaden sposób rozstać ze swoimi europejskimi ideami, znalazłszy się na powrót w Paryżu spał w Cadillaku zamknięty w jego rewelacyjnej fisherowskiej karoserii rodem z Detroit. Człowiek ten był w Ameryce oryginałem, a w Europie Jankesem. Wszystko robił nie w porę. Sam to rozumiał. Ale wolał myśleć o sobie jako o prekursorze. Pionierze. Mówił na przykład – głosem aż skrzekliwym od nieśmiałej stanowczości – że Francuzi teraz dopiero zaczynają być marksistami. A on przeszedł przez to wiele lat temu. Co ci ludzie w ogóle wiedzą? Proszę zapytać ich chociażby o proces inżynierów górniczych. Albo o leninowski centralizm demokratyczny! O moskiewskie

procesy! Banda nieuków. Teraz, kiedy Rewolucja została do reszty zdradzona, Europejczycy nagle odkrywają Marksa i Lenina. „Eureka!” – krzyknął piskliwie. A za tym wszystkim kryła się zimna wojna. W przypadku amerykańskiej porażki francuscy intelektualiści gotowi byli kolaborować z Rosją. Gdyby jednak Stany Zjednoczone wygrały, pozostaną wolnymi, wyzywająco radykalnymi protegowanymi Ameryki.

– Pan mówi jak patriota – zauważył Mosby.

– No cóż, w pewnym sensie jestem nim – odparł Lustgarten. – Ale zaczynam być obiektywny. Czasami pytam samego siebie: „Gdybyś znajdował się poza granicami świata, gdybyś ty, Lustgarten, nie istniał jako człowiek, co myślałbyś wtedy o tym czy o tamtym?”

– Obiektywna prawda.

– Tak, to jest chyba to.

– A co zamierza pan zrobić z Cadillakiem?

– Wysyłam go do Hiszpanii. Mogę go sprzedać w Barcelonie.

– Ale jak go pan tam dowiezie?

– Przez Andorę. To już jest załatwione. Klonsky pojedzie nim.

Klonsky był Belgiem polskiego pochodzenia i mieszkał

w tym samym hotelu. Był jednym ze współników Lustgartena, zdaniem Mosby'ego człowiekiem z natury nieuczciwym. Miał skręcone włosy, malutkie oczka podobne do pomarszczonych greckich oliwek, nos i usta jak kot. Chodził w wysokich kozackich butach.

Gdy tylko Klonsky wyruszył Cadillakiem do Andory, Lustgarten otrzymał znakomitą ofertę na swój samochód. Jakiś kapitalista z Utrechtu chciał go natychmiast kupić, przy czym podjął się załatwienia wszelkich formalności celnych. Znał wszystkie kombinacje, posiadał odpowiednie znajomości. Lustgarten zadepeszował do Klonsky'ego do Andory, żeby się zatrzymał. Nie było chwili do stracenia. Lustgarten wsiadł do nocnego pociągu, dopędził Cadillaka i natychmiast ruszył nim w powrotną drogę do Paryża. Ale jako że przesiedział całą noc w *rapide*, zmożony poza tym ciepłym powietrzem Pirenejów, zdrzemnął się za kierownicą. Później w rozmowie z Mosbym stwierdził, że miał wielkie szczęście, gdyż staczając się z górskiego stoku samochód mógł przecież nie zatrzymać się na stercie kamieni. Był zaledwie metr lub półtora od śmierci, kiedy zbudził go hałas. Samochód został całkowicie rozbity. Nie był ubezpieczony.

Z ręką na temblaku, podpierając się laską, ale wciąż z nikłym uśmiechem na twarzy, Lustgarten podszedł do siedzącego w kawiarni na Bulwarze St. Germain Mosby'ego. Usiadł. Zdjął kapelusz odsłaniając swoją

wspaniałą, czarną czuprynę. Spytał, czy może oprzeć bolącą nogę na krześle.

– Czy pan prowadzi prywatną rozmowę? – zapytał.

Mosby rozmawiał z amerykańskim poetą Alfredem Ruskinem. Ruskin, mimo że brakowało mu kilku przednich zębów, mówił bardzo wyraźnie i szybko. Był to niezwykle czarujący człowiek. Zagorzały teoretyk. Mówił właśnie o tym, że Francja rozstrzelała swoich poetów kolaborantów. Ameryka zaś, która nie może sobie pozwolić na szafowanie poetami, umieściła Ezrę Pounda w szpitalu świętej Elżbiety. Ameryka nie ma własnej historii, ciągnął dalej nie zwracając najmniejszej uwagi na Lustgartena, nie jest społeczeństwem o historycznej motywacji. Powoływał się przy tym na Hegla. Zdaniem tego filozofa historia to dzieje wojen i rewolucji. Stany Zjednoczone miały tylko jedną rewolucję i zaledwie kilka wojen. Przeto ich historia jest pustynią. Próżnią, rzecz można.

Ruskin także korzystał z urządzeń sanitarnych Mosby'ego, ponieważ brzydził się latryną swojego domu w jednej z algierskich uliczek Łacińskiej Dzielnicy. Kiedy wyłaniał się z łazienki, zawsze wygłaszał jakąś interesującą opinię.

– Odkryłem, na czym polega główny błąd Kierkegaarda.

Albo:

– Pascal bał się panicznie uniwersalnej pustki, ale Valery twierdzi, że różnica pomiędzy przestrzenią kosmiczną, a przestrzenią zawartą w butelce jest wyłącznie jakościowa, a jakość sama w sobie nie jest groźna. Co pan na to?

– Nie żyjemy w butelkach – brzmiała odpowiedź Mosby'ego.

Kiedy Ruskin odszedł, Lustgarten zapytał:

– Kto to jest? Naciągnął pana na kawę.

– Ruskin – odpowiedział Mosby.

– To jest Ruskin?

– Tak, a bo co?

– Mówiono mi, że moja żona widywała się z Ruskinem w czasie mojego pobytu w szpitalu.

– Nie przywiązywałbym znaczenia do takich plotek. Napije się pan kawy? A może aperitif?

– Kiedy mężczyźni powinie się noga, kobieta zazwyczaj jeszcze mu dokłada – powiedział Lustgarten.

– Przykro mi.

Mosby w Qaxace przesunął się wraz z krzesłem w cień – gdyż był już stanowczo zbyt zaczerwieniony od słońca,

cała jego twarz, jego kości i oczy zdawały się być spragnione wody – i przypomniał sobie, że Lustgarten powiedział:

– To była naprawdę koszmarna przygoda.

– Z pewnością. To musiało być straszne.

– Straciłem nie tylko samochód, ale i ostatnią szansę. Właściwie żałuję, że sam przy tym nie zginąłem. Ubezpieczenie pokryłoby przynajmniej straty, jakie poniósł mój brat. No i matka i wuj.

Mosby nie miał ochoty przyglądać się temu, jak dorosły mężczyzna płacze. Być świadkiem jego cierpienia. Nie znosił emocjonalnych scen. Niechęć ta była tak gwałtowna, że powinna mu była powiedzieć coś niecoś o własnym charakterze. Ale Lustgarten zapanował nad mimiką swojej twarzy. Nad swoim zdenerwowaniem, gdyż surowe, chociaż nie pozbawione sympatii milczenie Mosby'ego świadczyło o tym, że nie uznaje on takich demonstracji uczuć. Mosby był wyznawcą Seneki. A już na pewno podziwiał hiszpańską męskość – *varonil* Lorki. *Clavel varonil*, czerwony goździk symbolizujący właśnie ową męskość, klasyczną, twardą zasadę stanowczego panowania nad sobą.

– Przypuszczam, że sprzedał pan wrak na złom? – zapytał Lustgartena.

– Klonsky się tym zajął. Ale, Mosby, chcę panu

powiedzieć, że postanowiłem skończyć z tym wszystkim raz na zawsze. W szpitalu dużo czytałem, miałem czas na myślenie. Przyjechałem do Europy, żeby zrobić pieniądze. Jak ludzie w czasach gorączki złota. Sam nie wiem dlaczego. Trudy i ja podczas wojny objaliśmy się po prostu. Byłem za stary na żołnierza. Ale oboje chcieliśmy do czegoś dojść. Ona w dziedzinie muzyki. Chciała żyć pełnią życia. Marzyła o prawdziwych emocjach. Wie pan, jak to jest. Siedziała w tym swoim seminarium nauczycielskim i tęskniła za wielkim światem. A ja pragnąłem umożliwić jej to. Ten udział w życiu, sam nie wiem, jak to nazwać... Ale naprawdę – kiedy tak leżałem w tym moim szpitalu, uświadomiłem sobie, że rację miałem za pierwszym razem, w czasach młodości. Jestem socjalistą. Idealistą z natury. Kiedy czytałem życiorys Atlee'ego, poczułem się znowu w domu. Zrozumiałem, że wciąż jeszcze jestem zwierzęciem politycznym.

Mosby miał ochotę powiedzieć: – O nie, Lustgarten. Ty jesteś stworzony na ojca małych, śniadych bobasków. Żeby je huśtać na kolanach, nosić na barana. Jesteś typowym, sentymentalnym żydowskim ojczulkiem, Lustgarten.

Ale milczał.

– Poczytałem sobie też o Tito – ciągnął Lustgarten. – Jego koncepcja jest chyba najślusniejsza. Być może, że przyszłość socjalizmu tkwi gdzieś pośrodku, pomiędzy

Labour Party a jugosłowiańską doktryną rządzenia państwem. Wydaje mi się, że moim obowiązkiem jest zbadanie tej sprawy. Zamierzam pojechać do Belgradu.

– W jakim charakterze?

– No właśnie, o tym chciałbym z panem pomówić, jeżeli pan pozwoli. Pan jest nie tylko uczonym. Mówiono mi, że pan napisał pracę o Platonie.

– Tak, o Prawach.

– I kilka innych książek. Poza tym zna pan dobrze środowisko. Podobno ma pan wszędzie swoje wtyczki.

Używał żargonu lat czterdziestych.

– Czy zna pan kogoś w *New Leader*?

– To nie jest pismo w moim guście – zauważył Mosby.

– Jestem w gruncie rzeczy konserwatystą. Pan mnie zapewne uważa za „zgniłego liberała”, ale myli się pan. W rzeczywistości jestem zatwardziałym konserwatystą. Raz uściśnięciem nawet rękę Franco.

– Naprawdę?

– Ta ręka dotknęła dłoni Caudilla. Czy podać ją panu?

– Niby dlaczego?

– Proszę bardzo. To może nawet być symboliczne. Uściśnięcie pan dłoń, która ścisnęła dłoń.

I o dziwo, Lustgarten wyciągnął swoją rękę o grubych, śniadych palcach. Na jego twarzy pojawił się wyraz odrazy zmieszanej z ciekawością.

– Nareszcie zetknąłem się osobiście z wielką polityką – powiedział z uśmiechem. – Ale powróćmy do *New Leadera*. Pan prawdopodobnie zna Bohna. Muszę mieć listy polecające na Jugosławię.

– Czy pan pisywał do jakichś pism?

– Do tygodnika *Militant*.

– O czym pan pisał?

Lustgarten nie umiał dobrze kłamać. Mosby bawił się jego kosztem w okrutny sposób.

– Mam gdzieś teczkę z wycinkami – mruknął Lustgarten.

Ale okazało się, że nie trzeba było wcale pisać do *New Leadera*. Spotkany w dwa dni później na bulwarze niedaleko masarni, Lustgarten nie miał już ręki na temblaku i prawie nie potrzebował podpierać się laską.

– Jadę do Jugosławii – oświadczył. – Dostałem zaproszenie.

– Od kogo?

– Od Tito. Od rządu. Zapraszają ludzi interesujących się ich krajem i obwożą ich, żeby zobaczyli, jak się u nich

buduje socjalizm. Wiem, wiem – dodał szybko, jakby w przewidywaniu obiekcji doktrynalnych. – Wiem, że nie można zbudować socjalizmu w jednym kraju, ale sytuacja zmieniła się. Wierzę, że Tito zbawi marksizm przez reformę dyktatury proletariatu. To przywróciłoby mi młodość... moją pierwszą miłość – radykalizm społeczny. Nie nadaję się do robienia interesów.

– Chyba nie.

– Wraca mi nadzieja – powiedział Lustgarten nieśmiało. – A poza tym niedługo będzie wiosna.

Na głowie miał swój gruby, włochaty, brudnobrązowy kapelusz. Długa zima pozostawiła na nim liczne ślady. Wyglądał jak kandydat do zmartwychwstania. Cóż za okazja dla łaski boskiej, żeby się objawiła. Ale, myślał Mosby, taki człowiek jak Lustgarten zapewne w ogóle nie mógłby istnieć, gdyby nie mieszały się w jego sprawy nadprzyrodzone siły.

– A poza tym – dodał Lustgarten cichym głosem – może Trudy rozmyśli się przez ten czas.

– Nie wiedziałem, że tak mają się sprawy pomiędzy wami. Bardzo mi przykro.

– Żałuję, że nie mogę jej zabrać ze sobą, ale nie udało mi się namówić Jugosłowian. To jest wycieczka dla wybitnych osobistości. Myślę, że chodzi im o zdobycie sympatii w kołach zagranicznych radykałów. Będziemy

mieli seminaria z dziedziny dialektyki i różne imprezy. Bardzo się na to cieszę. Ale to nie jest dla Trudy.

Siedząc w swoim patio Mosby chwycił szczypce, wrzucił kilka kostek lodu do szklanki i dolał sobie meskalu zaprawionego aromatem *gusano de maguey* – liszki o bardzo delikatnym smaku. Było rzeczą pierwszorzędną, żeby w tej części wspomnień autor ich ujawnił nowe aspekty swojego intelektu. Poprzednie rozdziały były trudne. Zawierały wiele niekonwencjonalnych myśli na temat niedociągnięć rozmaitych teorii politycznych. Była w nich mowa o słabości doktryny konserwatywnej, o braku – w Ameryce – alternatywy konserwatywnej, o konieczności przeciwstawiania się liberalizmowi. Jako człowiek, który osobiście usiłował stworzyć bardziej rygorystyczne kryteria dla niechlujnie myślących intelektualistów, zmusić ich do intensywniejszej pracy, do uściślenia kategorii, w jakich mieściły się ich polityczne spekulacje, zdawał sobie sprawę, że zarówno lewica, jak i prawica nie mają społeczeństwu nic do zaoferowania. Że są całkowicie bezpłodne. Skretyniali amerykańscy intelektualiści marzyli o stworzeniu prawdziwego ruchu opartego na modelu europejskim. Wciąż jeszcze mieli na to ochotę. Nie mniej absurdalne były pomysły idiotów z prawicy. Nie można hodować róż w kopalni węgla. Doktoranci Mosby'ego spod znaku prawicy szczególnie go rozczarowali. Po prostu banda kłownów

telewizyjnych! Występowali regularnie w programie Susskinda, który wciągał ich w polemiki. Przekształcili styl mistrza polegający na ironicznej elegancji, szermowaniu nieodpartą logiką i bezbłędnej precyzji sformułowań na coś w rodzaju błyskotliwej potyczki słownej a la Noel Coward. Głęboki, oryginalny sposób myślenia Mosby'ego przyniósł mu nienawiść i doprowadził do usunięcia go z uczelni. Uniwersytet w Princeton zaofiarował mu bardzo wysoką jednorazową odprawę w zamian za odejście o siedem lat wcześniej na emeryturę. Sto czterdzieści tysięcy dolarów. Dlatego, że jego metody polemiczne tak silnie niepokoiły środowisko uniwersyteckie. Nie zapraszano go do udziału w żadnych programach telewizyjnych. Był jak ów słynny Mosby – partyzant z okresu Wojny Domowej. Gdzie tylko się pojawił, wszyscy ginęli.

Mosby studiował starannie wspomnienia Santayany, Malraux, Sartre'a, Lorda Russella i innych. Niestety, żaden z tych autorów nie był godny pełnego zaufania ani autentycznie wielki. Ludzie, którzy strawili życie na rozmyślaniach, którzy starali się ze wszech sił opanować chaos panujący w życiu publicznym, narzucić mu dyscyplinę jakiegoś intelektualnego autorytetu, tworzyć idee, które przyczyniłyby się do zbawienia ludzkości lub przynajmniej pomogły jej zbawić się samej, przemieniali się ni stąd, ni zowąd w beznadziejnych durniów. Chcieli zabić wszystkich. Na przykład Sartre, który nawoływał

Rosjan do rzucenia bomb atomowych na amerykańskie bazy na Pacyfiku motywując to tym, że Ameryka jest politycznym monstrum. Czarnych nawoływał do mordowania Białych. On, filozof moralista! Albo Russell, pacyfista jeszcze z czasów pierwszej wojny światowej, który żądał, żeby Zachód rozprawił się z Rosją natychmiast po zakończeniu drugiej. Poza tym bywał w swoich wspomnieniach – może z powodu sklerozy – dziwnie nielogiczny. Kiedy strącono nad Londynem zeppelin i ludzie na ulicy bili brawo na widok wypadających z niego Niemców, Russell rozplakał się, po czym napisał, że gdyby tej nocy nie miał w łóżku pięknej kobiety, która pocieszyła go, dowód tego straszliwego okrucieństwa załamałby go. Nie wspomniał oczywiście o tym, że ci Niemcy, którzy wypadli z zeppelinu, znaleźli się nad Londynem po to, żeby go zbombardować. Żeby zmasakrować owych brutalnych, którzy byli na ulicy, zgładzić kochanków. Tak to widział Mosby.

Należało tuszyć nadzieję – meskał zaczął najwyraźniej wpływać na jego styl – że on, Mosby, uniknie pułapek, w jakie wpadli wszyscy ci intelektualiści. Dygresja o Lustgartenie niewątpliwie przyczyni się do tego. Śmiech to doskonała odtrutka na pychę.

Pozostało jeszcze dwadzieścia minut przed zjawieniem się kierowcy, który miał zawieźć Mosby'ego do ruin Mitli. Można więc było jeszcze trochę popracować. We

wrześniu Lustgarten powrócił do Paryża. Wyglądał okropnie. Stracił co najmniej dwadzieścia pięć kilo. Był spalony od słońca, miał zaropiałe oczy i nosił wymięte, poplamione ubranie. Powiedział, że przez całe lato cierpiał na biegunkę.

– Czym oni tam karmili swoich dostojnych gości zagranicznych?

Cicho, z goryczą – zwracając ku Mosby'emu wychudzoną twarz, w której płonęły zaczerwienione oczy wyrażające tylko cierpienie i taką głębię, o jaką Mosby nigdy by go nie podejrzewał, Lustgarten powiedział: – To były po prostu ciężkie roboty. Morderczo ciężkie. Nie zrozumiałem zaproszenia. Myślałem, że będziemy po prostu ich gośćmi, tak jak panu mówiłem. Ale okazało się, że byliśmy ochotnikami, brygadzystami budującymi szosę przez łańcuch górski. W ogóle nie widziałem dalmatyńskiego wybrzeża. Spaliśmy na ziemi, pod gołym niebem. Jedliśmy potworne świństwa smażone na zjełczałym tłuszczu.

– Dlaczego pan nie uciekł?

– Jak? Dokąd?

– Do Belgradu. Mógł się pan zgłosić do amerykańskiej ambasady.

– Jakże to? Przecież byłem tam gościem. Przyjechałem na ich koszt. Nie dali mi biletu powrotnego.

– Nie miał pan własnych pieniędzy?

– Pan chyba żartuje. Byłem bez grosza. W Macedonii. W pobliżu Skopje. Głodny, pożerany przez komary, w nocy biegałem co kilka minut do latryny. Przez cały dzień tłukłem kamienie na szosie. Oczy mi zaropiały.

– A pierwsza pomoc?

– Pierwszą to oni może i mają, ale z drugą jest już gorzej.

Mosby uznał, że najlepiej będzie nie mówić o Trudy. Rozwiodła się z Lustgartenem w czasie jego nieobecności.

Należało mu jednakże okazać współczucie.

Mosby kiwał głową.

Chudy Lustgarten oddała się pełnym godności krokiem. Wydawał się nawet ubawiony swoją przygodą z kapitalizmem i socjalizmem.

Koniec? Chyba nie. Była jeszcze koda: Ta opowieść nabierała wcale niezłego kształtu.

Lustgarten i Mosby spotkali się jeszcze raz. W pięć lat później. Mosby w Nowym Jorku wchodzi do windy. Do ekspresowej windy, żeby pojechać na czterdzieste siódme piętro do dyrektorskiej jadalni Fundacji Rangeley. W windzie jest jeszcze jeden pasażer – Lustgarten. Który uśmiecha się. Wygląda znowu tak, jak dawniej, przybyło

mu z powrotem na wadze.

– Lustgarten!

– Willis Mosby!

– Co u pana słycać, Lustgarten?

– Wszystko w najlepszym porządku. Odmieniło mi się. Jestem szczęśliwy. Mam sukcesy. Żonę. Dzieci.

– W Nowym Jorku?

– Nie mógłbym już mieszkać w Stanach. To okropny kraj. Nieludzki. Przyjechałem tylko na kilka dni.

Bezbłędnie funkcjonujący mechanizm wypolerowanej na wysoki połysk windy, w której znajdowało się tylko dwóch pasażerów – on i ja – unosi nas bezszmerowo do góry. Ten sam Lustgarten. Mocne słowa, lekka chrypka, nos Zapoteka, a pod tym nosem – ten sam co kiedyś – żabi uśmiech i łagodne, obwisłe policzki.

– Jadę do redakcji *Fortune*. Chcę im zaproponować reportaż.

Był w niewłaściwej windzie. Ta nie wjeżdżała do redakcji *Fortune*. Powiedziałem mu o tym. Być może, że i ja się nie zmieniłem. Głosem, który przez długie lata informował ludzi, że nie mają racji, powiedziałem: – Musi pan wrócić na parter. Pańska winda jest po drugiej stronie hallu.

Wysiedliśmy na czterdziestym siódmym piętrze.

– Gdzie pan teraz mieszka?

– W Algierii – odparł Lustgarten. – Prowadzimy tam pralnię samoobsługową.

– Kto?

– Klonsky i ja. Pamięta pan chyba Klonsky'ego?

Byli teraz powszechnie szanowanymi obywatelami.

Prali burnusy. Lustgarten ożenił się z siostrą Klonsky'ego. Pokazał mi jej fotografię. Podobna jak dwie krople wody do Klonsky'ego kobieta o kociej twarzy, z czupryną ciasno skręconych włosów na głowie. Oczy jak na obrazie Picassa, na dwóch poziomach, spiczaste zęby. Gdyby drzemiące wśród skał ryby miały koszmary, śniłyby im się właśnie takie zęby. Dzieci także wdały się w rodzinę Klonskich. Lustgarten wyjmował zdjęcia z portfela zrobionego z północnoafrykańskiej skóry. Uśmiechał się od ucha do ucha i Mosby zrozumiał, że ta duma z sukcesu była jego narkotykiem, jego sztucznym rajem.

– Pomyślałem sobie – powiedział Lustgarten – że *Fortune* być może zechce wziąć ode mnie reportaż o tym, jak przebiliśmy się w Afryce Północnej.

Uścisnęliśmy sobie po raz drugi ręce. Ja podałem mu moją – tę, która ścisnęła dłoń Franco, on mnie swoją – tę,

która zasnęła zaciśnięta na kierownicy Cadillaka. Drzwi jasno oświetlonej klatki windy otworzyły się. Wszedł do niej. Drzwi zasunęły się za nim.

Później, oczywiście, Algierczycy wyrzucili Francuzów, przegnali Żydów. I Papa-Żyd-Lustgarten musiał ruszyć dalej. Był fanatycznym ojcem. Kochał te swoje dzieci ponad wszelką miarę. Dla Platona płodzenie dzieci jest najniższą formą wszelkiej ludzkiej działalności.

A mnie, myślał Mosby – już dobrze oszołomiony meskalem – mnie rodzice poczęli jak komitet dwojga.

Ogarnięty wzmacniającym się uczuciem oddalania się od rzeczywistości – mimo że zdawał sobie sprawę, że samochód, którym miał jechać do Mitli już czekał na niego, błyszczący, wypolerowany – Mosby spojrzał na góry oświetlone promieniami chylącego się już ku zachodowi słońca i napisał:

Przez pierwsze lata jego życia

Opiekowano się nim,

Chłodzono mu zupkę, śpiewano mu, rozweselano go.

Naciągano mu długie skarpety,

Niesiono uśpionego na górę.

Pamięta dostojny pepek ojca

Leżącego na zielonej łące,
I obrośnięte sutki podobne do psich oczu,
I uda matki z fioletową siatką żył,
Kiedy zabrała ich śmierć,
Zajął się własnymi sprawami
Niezbyt skromnie i niezbyt dobrze.
Ale oto znalazł się w Meksyku i kurzy papierosa,
I patrzy na brunatne góry,
Których tłuste łona przewalają się
Po czaszkach całych rodzin.

Towarzyszyły mu dwie Walijki. Jedna była bardzo stara i chuda. Istny Wellington wśród wojażujących dam. Albo C. Aubrey Smith, aktor, który w filmach, gdzie akcja rozgrywała się w Indiach, z reguły dowodził oddziałami Gurków. Wydatny nos, kościste szczęki, pomarszczone wargi i spore wąsy. Druga była młodsza. Miała wiszące podgardle, ale policzki jędrne i ciemne, wesołe oczy. Bardzo sympatyczne damy. Można by rzec obyczajne. W bardzo angielskim stylu. Jak wielu Amerykanów Mosby marzył o posiadaniu takich cech. O tak, cieszyło go towarzystwo Walijek. Ale przewodnik był fatalny. Zbyt

narzucający się. Poza tym prowadził stanowczo za szybko.

Najpierw zatrzymali się w Tule. Wyszli z samochodu, żeby obejrzeć słynny cyprys z Tule na dziedzińcu kościoła. Ten pomnik przyrody – wielki, kunsztownie powyginany, zielony – miał przeszło dwa tysiące lat. Jego korzenie wyrastały z dna wyschniętego jeziora. Był starszy niż religia, której służyła ta smutna, biała sterta kamieni, ten uroczy, wiejski kościółek. W miękkim pyłe drogi rozłożył się pies. Co było wyrazem braku szacunku. Ale nie zamierzonym, gdyż spał. Spokojna, nieustraszona stara Walijka założyła chustkę na głowę i weszła do kościoła. Przyklękła sztywno z autentycznym dostojeństwem. Była niewątpliwie chrześcijanką. Mosby zapuścił wzrok w gąszcz drzewa. Osobny świat! Być może, że żyły w nim całe społeczeństwa. Przypomniał sobie teorię Geralda Hearda o prymarnym drzewie zamieszkałym przez pierwszych ludzi, wyobraził sobie ludzką gromadę gnieźdzącą się w głębi takiego pociągającego, liściastego, wygodnego i jakże urzekającego organizmu. Jednakże fakty nie zdawały się potwierdzać złotej legendy o tym wszechobejmującym raj. Nasi przodkowie biegali najprawdopodobniej po ziemi i – potwornie agresywni – zabijali wszystko, co się dało. Jednakże ten sen o prostocie, to marzenie o cichej idylli wśród gałęzi drzewa było nie lada osiągnięciem dla potomków takiej ilości morderców. To drzewo starczy mi

za całą religię, myślał Mosby. Żaden kościół nie jest mi potrzebny.

Nie miał ochoty ruszyć dalej. Mógłby tu pozostać do końca życia. Na górze, oczywiście. Na dole byłby narażony na kapiące z drzewa ptasie ekskrementy. Ale walijskie damy już siedziały w samochodzie, a energiczny przewodnik trąbił na Mosby'ego. Przykro było czekać w tym upale.

Droga do Mitli była pusta. Rozedrgane gorącym powietrze odkształcało krajobraz czyniąc go jeszcze piękniejszym. Kierowca znał się na geologii, na archeologii. Zalewał ich potokiem słów. Poziom wody, groty, trias. Przestańże mnie dokształcać. Nie dręcz mojej duszy tyloma szczegółami! Nie potrafię nawet zużytkować tych, które już mam! Wreszcie ukazała im się Mitla. Droga rozchodziła się. Na prawo leżało Tehuantepec, na lewo Miasto Dusz. Stara pani Parsons (Elsie Clews Parsons według informacji wydobytej przez Mosby'ego z banku pamięci) studiowała tu etnografię, badała życie Indian zamieszkujących uliczki składające się z domków z suszonej na słońcu cegły i cuchnące od stert gnijących owoców. Z cienistych miejsc dochodzi ostry zapach moczu. Świnia o długich nogach szarpie się na sznurku. Maciora. Dzięki bystremu wzrokowi Mosby dostrzega mały, różowy otwór pod jej ogonem. Żyzna tutejsza ziemia żywi i zwierzęta, i ludzi.

Stoją tu fascynujące świątynie niemal idealnie zachowane. Hiszpańscy księża nie zniszczyli ich. Wszystkie inne zrównali z ziemią, a na ich miejsce zbudowali kościoły z tych samych kamieni.

Targ dla turystów. Szorstkie bawełniane sukienki, hafty indiańskie zawieszane pod białymi jak mąka płóciennymi daszkami, kurz osiada na regionalnych garnkach, czarne saksofony, czarne tace z polewanej gliny.

Idąc za angielskimi podróżniczkami i przewodnikiem, Mosby raz jeszcze przeżywa jedno ze swoich dziwnych i skomplikowanych urojeń. Wydaje mu się, że nie żyje. że umarł. Ale że mimo to żyje nadal. Jest skazany na dokonanie swoich dni jako Mosby. To jest jego osobisty czyściec. Kiedy nastąpiła jego śmierć? Kilka lat temu, na skutek wypadku. Wtedy zdawało mu się, że się uratował. Obydwa samochody zostały całkowicie zniszczone. Tamten Mosby zginął. Ale inny Mosby został wyciągnięty z rozbitego wozu. Policjant zapytał: – Jest pan w porządku?

O tak, był w porządku. Oddalił się z miejsca wypadku o własnych siłach. Ale musiał jeszcze przeżyć życie do końca, krok za krokiem, moment za momentem. Teraz słyszał paplanie papugi, dzieci szarpały go za rękaw, kobiety namawiały go do kupna czegoś tam, jego buty pokrywał kurz. Pracował nad swoimi wspomnieniami i wprowadził w nie element humoru w postaci zabawnego

człowieka, niejakiego Lustgartena. Na wzór sir Harolda Nicolsona, którego dygresje były może bardziej eleganckie, ale dlatego zapewne, że zgodne ze swoistym protokołem, z językiem dyplomacji, z ironią mandarynów. Jednakże Mosby pominął pewne fakty. Albowiem w rzeczywistości tak zaaranżował sprawy, że widywano Trudy z Alfredem Ruskinem, i w tym samym czasie, kiedy Lustgarten przeprowadzał się przez Ren, leżał z nią w łóżku. Jednakże w przeciwieństwie do pięknej przyjaciółki Lorda Russella Trudy nie potrafiła pocieszyć Mosby'ego, który borykał się (z powodu swoich intelektualnych zobowiązań) z całym szeregiem przykrości. Ale Mosby nie namawiał jej do porzucenia Lustgartena. Nie zamierzał mieszać się do tej sprawy. Jednakże jego pogląd na Lustgartena, jako na komiczną postać, udzielił się Trudy. Nie mogła pozostać żoną tak śmiesznego człowieka. A śmieszny to on niewątpliwie był, o tak! Był anachronizmem – jak Napoleon w oczach Comte'a. I marzył o tym, żeby zostać wielkim bohaterem, właśnie takim jak Napoleon. Zdobyć miliony, podbić Europę, zrobić majątek na upadku Hitlera. Ale zupełnie się do tego nie nadawał. *Źle* wymyślony był ten Lustgarten, mało oryginalnie, był po prostu zmodyfikowaną wersją starych pomysłów, do tego nieudaną. Lustgarten nie powinien się być w ogóle zdarzyć. No, a poza tym wszystkim był jeszcze, na dodatek, śmieszny. Chociaż Trudy także była śmieszna. Jakież ona miała tłusty brzuch! Trafia się, że człowiek jest

poczęty z podwójnie zapłodnionego jaja i wtedy organizm jego zawiera w sobie brata lub siostrę w szczątkowej postaci, co objawia się czasami w formie dodatkowego organu, takiego jak zaczątek ucha na plecach, oka w udzie albo dodatkowej nerki. Mosby wyobrażał sobie czasami, że Trudy nosi w sobie małą siostrzyczkę. Uważał ją za kłowna w spódnicy. Co wcale nie znaczy, że pogardzał nią. Lubił ją nawet. Jej oko obejmowało jak gdyby tylko jedną półkulę. Nie miała pojęcia, jak używać perfum. Jej atonalne kompozycje były po prostu idiotyczne.

W owym czasie Mosby lubił naigrawać się z ludzi.

– Dlaczego?

– Gdyż było mu to potrzebne.

– Dlaczego?

– Dlatego!

Przewodnik mówił teraz, że te budowle stawiano bez zaprawy murarskiej. Matematyczne obliczenia kapłanów były bezbłędne. Precyzja, z jaką przycinano kamienie, absolutna. Po tylu wiekach nie ma w tych murach żadnych szczelin, nie można by wsunąć nawet żyłki pomiędzy te kamienie. Geometryczne bryły równoważyły się własnym ciężarem. W tych domach mieszkali kapłani. Mury były kolorowe. Barwiono je wyciągiem z koszenili zwanej także pluskwiakiem z nadrodziny czerwców. Tuż obok znajdowały się ołtarze. Lud stał tu, gdzie my teraz.

Kapłani posługiwali się nożami z obsydianu. Piękni młodzieńcy grali na fletach. Potem łamano flety. Kaci czyścili noże z krwi przeciągając je sobie przez włosy. Włosy te – po pewnym czasie – musiały być sztywne od zakrzepłej krwi. A tutaj grobowce notabli. Schody prowadzą w dół. Zapotekowie pod wpływem Azteków już prawie w nowoczesnych czasach składali swoim bogom ofiary z ludzi.

Jakże dzielna była walijska staruszka. Po prostu nadzwyczajna. Bez niczyjej pomocy wchodziła i wychodziła z tych jam.

Oczywiście, nie można zrobić z siebie na siłę sympatycznego, powszechnie lubianego człowieka. Nie można się do tego zmusić nie uwzględniając pewnych konieczności. Nie dających się uniknąć zadań. Nie dających się uniknąć pojęć, monstrualnego poczucia obowiązku, które deformuje. Ludzie poddani takim imperatywom stają się wprost odstręczający. Jeden zostanie szefem służby wywiadowczej. Drugi mordercą.

Żeby przydać lekkości wspomnieniom, Mosby wydobył z głębi swej pamięci Lustgartena, robiąc z jego losu farsę. Lustgartena, który w ogóle nie powinien się być zdarzyć. Ale on, Mosby, także osobny twór boży, także skończony produkt, stojący teraz na słońcu, na wielkich głazach stanowiących schody prowadzące w głąb grobu, poczuł się spełniony. Spełnił się tu, w tej myślącej, pełnej

powagi, kamiennej, żelaznej, nonsensownej formie.

I wyzbywszy się wszystkiego, co ludzkie, powinien był spotkać Boga.

Czy zdarzy mu się to?

Bo przecież, skoro wyzbył się wszystkiego, to czy pozostał mu Bóg?

Zaprowadzono ich na dół, do grobowca. Stanęli przed grubą kratą, przed wrotami. Głazy były olbrzymie. Powietrze duszne. Wilgotne. Mosby poczuł się przytłoczony. Ogarnął go lęk. Ściany grobowca pokryte były zygzakami skomplikowanych płaskorzeźb i oświetlone przy pomocy cieniutkich rurek, które promieniowały fluoryzującym światłem. Umieszczone w płaskich pojemnikach wapno miało pochłaniać Wilgoć. Serce w nim zamarło. Płuca przestały pracować. Jezusie święty! Duszę się! A gdyby mnie tu zamknięto! Umrzeć tutaj! Zostać tu na zawsze. Przecież to całkiem możliwe. To nie to samo co wypadek, który może zabija, ale nie do końca. *Umrzeć* – *i* umrzeć. Nachyliwszy się zaczął się rozglądać za dziennym światłem. O tak, jeszcze istniało. Było jeszcze dzienne światło. Istniała jeszcze łaska życia. A jeżeli nie łaska życia, to przynajmniej powietrze. Uciekaj, póki możesz.

– Muszę wyjść stąd – zwrócił się do przewodnika. – Drogi panie, przepraszam, ale jest mi duszno.